tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 39 (1394)
21-27.09.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Bogdan Góralczyk
W jakiej roli Xi Jinping jedzie do USA?

Przemysław Grudziński
Czy Europa wie, jak ułożyć relacje z Rosją? cz. 2

Jacek Pałkiewicz
o samotnym rejsie Krzysztofa Baranowskiego

Tomasz Miłkowski
Wojciech Kuczok
Naród żyje „Lalkami"

Bogate życie Sopińskiego
Od Singapuru do Tajlandii

KLIKA ZIOBRY WALCZY O STOŁKI



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115 39>
9 771509 311607

eprasa.pl 1a9b1c2625



SBB

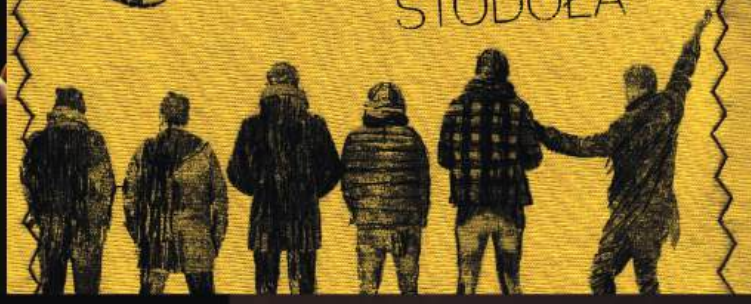
SKRZEK/ANTHIMOS/PIOTROWSKI

14 PAŹDZIERNIKA
FILHARMONIA
IM. M. KARŁOWICZA
SZCZECIN

HAPPYSAD 25 lat

XXV tour

15 10 26
warszawa
STODOŁA



SLEAFORD MODS
THE DEMISE OF PLANET X



EUROPE 2026 (PART 2)

1 LISTOPADA
WARSZAWA, KLUB STODOŁA

Elżbieta Jodłowska

KLIMAKTERIUM ...i już

20 LAT



3 listopada
Klub Stodoła, Warszawa

Elżbieta Jodłowska

KLIMAKTERIUM 2 czyli menopauzy szał



25 listopada
Klub Stodoła, Warszawa

SŁAWA PRZYBYLSKA

KONCERT URODZINOWY
Z ZESPOŁEM
TANGO ATTACK



4 LISTOPADA
KLUB STODOŁA



HOUK
+
WALUŚKRAKSAKRYZYS

KLUB STODOŁA
5 LISTOPADA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 1a9b1c2625

Kierowcy na łasce Nawrockiego



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Jeszcze jedno takie zwycięstwo Trumpa jak to z Iranem, a dzisiejsze ceny paliw będziemy uważali za całkiem skromne. Świat wie, że Trump to chaos. I że to jemu zawdzięczamy spiralę podwyżek cen paliw. Do Polski ta wiedza trafia w lilipucich dawkach. Dla prawicy ceny paliw to wina Tuska. A koalicja rządząca ma problem z nazwaniem faktycznego sprawcy. W imię szerszego interesu nie chce wchodzić w zwarcie z naszym wielkim sojusznikiem. Efekt jest taki, że niezależnie od tego, kto rządzi, na zakupy od Amerykanów idą dziesiątki miliardów dolarów. Takie są fakty. A reszta? Poklepywanie polskich polityków po plecach i deklaracje o uznaniu dla naszego kraju słabo się przekładają na mierzalne korzyści.

Są też w tych kontaktach takie absurdy jak jednostronne, co widać gołym okiem, relacje Trumpa z Nawrockim. Trump dostaje od Nawrockiego nie tylko wszystko, co chce, ale na dokładkę pakiet tego, co mógłby chcieć. A Nawrocki? W ciągu roku prezydentury nigdy nie wystąpił w obronie interesów polskiego państwa i polskich firm. Wie przecież, jak twardo i często brutalnie amerykańscy urzędnicy z ambasady i kolejne grupy przyjezdnych z USA potrafią walczyć o swoje interesy. Łatwo też wskazać całkiem liczną grupę polskich przyjaciół USA lobbujących na ich rzecz, choćby za tym, aby big techy nie musiały płacić w Polsce wyższych podatków. Takich branż pod specjalną ochroną jest wiele. I co gorsza, ciągle ich przybywa. Nie ja jeden mam wrażenie, że nasz wielki sojusznik zbyt często traktuje nas jak tłustą kurę do oskubania. Lękliwi politycy i przypadkowy prezydent to dla nich łatwy partner. Żywiący się mitami i złudzeniami.

Miało być „po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy", a jest „po pierwsze polityka, po pierwsze koncerny". Nie dość, że Nawrocki nie wydusił z siebie – i z pewnością nigdy tego nie zrobi – krytycznego słowa pod adresem Trumpa, jedynego sprawcy podwyżek cen paliw, to jeszcze blokuje rządową propozycję opodatkowania koncernów paliwowych z tytułu nadzwyczajnych zysków.

Do absurdu stulecia, jakim było wetowanie przez zwierzchnika sił zbrojnych programu SAFE, dochodzi kolejny absurd. Paliwowy.

Drodzy Czytelnicy,
ciągle kurczy się sieć sprzedaży prasy. Coraz trudniej kupić nasz tygodnik. Niestety, nie możemy zwiększyć nakładu, bo i tak są zwroty. Jest jednak na to rada. Prawie wszędzie są już paczkomaty. I ciągle przybywa nowych. Proszę się rozejrzeć po okolicy i wybrać ten najbliżej miejsca zamieszkania. Wiem, że macie opory przed taką formą kupowania „Przeglądu". Pomożemy więc i odpowiemy na wszystkie pytania.
Kontakt telefoniczny: 22 635 84 10, 503 159 027, 503 158 795, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl.
Zapraszam do paczkomatów. Naprawdę warto. Nasz tygodnik będzie czekał już w poniedziałek, od rana. Tuż za rogiem.

InPost Paczkomat 24/7

ZAMÓW PRENUMERATĘ **PRZEGLĄDU** sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI



eprasa.pl 1a9b1c2625

W NUMERZE

KRAJ

8 **Klika Ziobry walczy o stołki**
Czym była Akademia Wymiaru Sprawiedliwości

12 **Czy Europa wie, jak ułożyć relacje z Rosją?**
– rozmowa z Przemysławem Grudzińskim

16 **Paradoksy pracy zdalnej**
Jaki model jest najlepszy

19 **Dzieci, które czekają za długo**
Coraz mniej kandydatów na rodziców

26 **Prezydent miasta musi być poważny**
– rozmowa ze Sławomirem Pietrzykiem

28 **Tomasz Śrutkowski laureatem**
Nagrody im. Henryka Panasa 2026

30 **Krwawe żniwa**
Jak zapobiegać wypadkom w rolnictwie

ZAGRANICA

22 **Chiny kontra Zachód**
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem

33 **Od nowa zjednoczeni**
Kto będzie sekretarzem generalnym ONZ?

36 **Lewica zjednoczona, ale słaba**
Korespondencja z Holandii

39 **Nieświęci duchowni**
Korespondencja z Litwy

42 **Gaz z Algierii dla Europy**
Trzeba szukać kolejnych dostawców

KULTURA

44 **Qulturalia**

46 **Orkiestra młodych talentów**
Nowy sezon Sinfonii Iuventus

48 **We mnie jest dwu ludzi: jeden zupełnie rozsądny, drugi wariat**
Wokulski – bohater prawdziwy

66 **POLSKA – plakaty Ryszarda Kai**

OBSERWACJE

52 **Dopóki jest horyzont**
Krzysztof Baranowski znów opływa świat

KOŚCIÓŁ

55 **Chroniona patologia**
Afera nuncjusza Wesołowskiego

EKOLOGIA

58 **Drzewa mają coraz mniej czasu**
Wielkie wymieranie w lasach

SPORT

60 **Falstart w Lidze Europy**
Czas na Ligę Narodów

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Kierowcy na łasce Nawrockiego

25 **Jan Widacki**
Narodowe czytanie

29 **Roman Kurkiewicz**
Pół wieku KOR

45 **Tomasz Jastrun**
Demony i duchy

51 **Wojciech Kuczok**
Rozbrykanie zamiast bryku



DZIECI, KTÓRE CZEKAJĄ ZA DŁUGO
Coraz mniej kandydatów na rodziców



WE MNIE JEST DWU LUDZI: JEDEN ZUPEŁNIE ROZSĄDNY, DRUGI WARIAT
Wokulski – bohater prawdziwy





POLSKA – PLAKATY RYSZARDA KAI

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625

Kustosz Kresowej Atlantydy



Prof. Stanisław S. Nicieja, były rektor Uniwersytetu Opolskiego, z niezwykłą pasją, dociekliwością i kompetencją odsłania ciekawą historię i losy naszych wschodnich rubieży. W swojej wieloletniej pracy łączy warsztat naukowca z rzadką u ludzi nauki umiejętnością fascynowania czytelnika sposobem prezentowania wiedzy. Kolejne tomy, w sumie jest ich już 23, czyta się jednym tchem. Na ich kartach ukazane są miasta i miasteczka, ludzie prości i niezwykli, wpleceni nieraz w skomplikowane dzieje, walkę o trwanie przy Polsce, i płacący za to wysoką cenę, nierzadko cenę życia. W bardzo ciekawym wywiadzie czytelnik poznaje ludzi Kresów, ich pasje i zaangażowanie w tworzenie centrów czy ośrodków kultury i nauki, i to nie tylko we Lwowie. Jest coś w tamtych ludziach: ukochanie rodzinnej ziemi, serdeczność, a jak trzeba – walka o tożsamość i wierność tradycji i obyczajom. Wartościom, bez których bylibyśmy o wiele ubożsi, wszak nieubłagane, brutalne wichry historii przeniosły ich we wszystkie zakątki Polski – od Bytomia po Wrocław czy Szczecin. Wszędzie, gdzie los ich rzucił, czuje się ich wieloraką ożywczą obecność. Tak jest w nauce, sztuce, życiu społecznym i gospodarczym.

Autor „Kresowej Atlantydy" demaskuje też fałszywe mity i nieprawdy, wykazuje poza tym różnice między zaborami rosyjskim, pruskim czy austriackim i wpływ systemów państw zaborczych na kształt tych części pozbawionej państwowości Rzeczypospolitej. Swoje dociekania okrasza ciekawostkami i czyni to w taki sposób, że chce się czytać strona po stronie, czekając na kolejny tom kresowej wiedzy Autora. Gratuluję redakcji „Przeglądu" pozyskiwania tak ciekawych rozmówców.

Józef Musioł

•

Miałem okazję do licznych kontaktów z mieszkańcami Ukrainy i Białorusi, jak również z mieszkającymi tam naszymi rodakami. Sposób, w jaki prof. Nicieja przedstawił tematykę historyczną i obecną dawnych Kresów Wschodnich, jest bardzo uczciwy.

Jeśli chodzi o Białoruś i zamieszkałą tam Polonię, w pełni zgadzam się z gorzką opinią prof. Niciei o naszej polityce wobec tego państwa. To po prostu dramat. Jeszcze do połowy drugiego dziesięciolecia XXI w. Białoruś z wielkim szacunkiem odnosiła się do naszych związków historycznych, kulturowych i językowych. W muzeach widać było liczne polonika, które traktowano z wyraźną atencją. Pisząc o Białorusi, warto wspomnieć o wielkich zasługach mieszkających tam naszych rodaków, w tym ks. Zawalniuka, proboszcza czerwonego kościoła polskiego w Mińsku, usytuowanego naprzeciw siedziby prezydenta Łukaszenki.

W wywiadzie podkreślana jest znacząca rola uczelni lwowskich. Pracujący tam uczeni byli postaciami wybitnymi. Niestety, ze względu na swoje znaczenie duża ich część została przez Niemców zamordowana. Szkoda, że z powodu czysto nacjonalistycznego zachowania Andrija Sadowego nie zostali we właściwy sposób uhonorowani na Wzgórzach Wuleckich we Lwowie. Mer Lwowa, który początkowo budził nadzieję na dobrą współpracę, m.in. z Wrocławiem, całkowicie zmienił zachowanie, reprezentując nurt nacjonalistyczny.

Tadeusz Płuziński

Wielki backlash


Kapitalizm i realizm
Andrzej Stasiuk
Wielki backlash

Do obecnego regresu rękę przyłożyła w dużym stopniu także Koalicja Obywatelska. Miało być lepiej, premier dużo obiecywał, a nauczycieli nadal się nie szanuje i oferuje im „podwyżkę" 3%. Czy słabo opłacani i marginalizowani nauczyciele chcą podążać za „kompasem jutra"? Jeśli tak, to tylko w wyobraźni pań minister edukacji. Trudno wychodzić z ciemnoty, skoro wypłaca się nauczycielom marne pensje. *Damian Paweł Strączyk*

ZDJĘCIE TYGODNIA



W tym miesiącu podwójna premiera „Lalki". Nz. Julia Wyszyńska, Jacek Braciak i Sandra Drzymalska w serialu Pawła Maślony.

Więcej o „Lalce" na s. 48 i w felietonie Wojciecha Kuczoka na s. 51.

FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

eprasa.pl 1a9b1c2625

W czasie prezesury Daniela Obajtka szwajcarska spółka Orlenu zawarła kontrakt na dostawę ropy z Wenezueli. Wpłacono 378 mln dol. (1,6 mld zł) zaliczki. Surowca nie otrzymano. Zwrotu zaliczki oczywiście też. Aferę opisuje **„Financial Times”**.

•

Polska ciągle nie uczestniczy w rozmowach Amerykanów, Niemców, Francuzów i Brytyjczyków z Ukrainą. W czasie kolejnej wizyty doradców Trumpa w Kijowie Polaków nie było.

•

Prof. Victor Ambros, biolog molekularny, amerykański laureat Nobla z 2024 r., otrzymał polskie obywatelstwo. Jego ojciec Longin Bohdan Ambros urodził się we wsi Dorgiszki w województwie wileńskim II RP.

•

Marian Kmita, wieloletni szef sportu w Polsacie, pełni tymczasowo obowiązki prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Prezes Radosław Piesiewicz został aresztowany na trzy miesiące, a zażalenie jego obrony zostało odrzucone.

•

Już **235 gmin** w Polsce wprowadziło ograniczenie nocnej sprzedaży napojów alkoholowych.

•

Joanna Knapińska przejęła obowiązki Macieja Berka, nowego sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Jest prezesem Rządowego Centrum Legislacji, sekretarzem Rady Ministrów i przewodniczącą Stałego Komitetu Rady Ministrów.

•

Tajemniczym panem X, który obiecywał Przemysławowi Kralowi, prezesowi Zondacrypto, w razie skazania ułaskawienie od prezydenta Nawrockiego, okazał się Tomasz Sakiewicz, właściciel i szef TV Republika.

•

16,96 st. C to średnia globalna temperatura w sierpniu. Był to najgorętszy sierpień w historii pomiarów.

•

Około 61 tys. par rozwiodło się w 2025 r. W 77% spraw sąd orzekł o wspólnym wychowywaniu dzieci przez rozwiedzionych rodziców.

•

W 2025 r. statystyczny Polak zjadł **82 kg mięsa**, **218 jajek**, **43,1 kg cukru** i wypił **282 litry mleka.**

•

Szaleństwo na rynku suplementów diety trwa w najlepsze. Sprzedaż przekroczyła już 8 mld zł, a producenci suplementów reklamują je jako lecznicze i blokują propozycje zwiększenia kar za te oszustwa.

•

245,8 tys. cudzoziemców w wieku szkolnym uczy się w polskich szkołach. 86% to uczniowie z Ukrainy.

•

Największym posągiem sakralnym na świecie jest Wielki Budda z Lushan (Chiny). Wysokość miedzianej figury sięga 128 m. Wraz z cokołami ma 208 m **(„Angora”)**.

•

10,5% areału rolnego w Unii Europejskiej zajmują uprawy ekologiczne.

PRZEBŁYSKI



Kogo obroni Paweł Zalewski

Jak mało kto potrafi zadbać o swoje interesy. Partie zmieniał często. Traktował je wyłącznie jako trampolinę do kariery. Paweł Zalewski, aktualnie wiceminister obrony narodowej, żadnej pracy się nie boi. Choć jest wybredny i byle czego nie weźmie.

Co ma w głowie? Miszmasz, a po polsku groch z kapustą. Potrafi powiedzieć, że „Polska jest bezpieczna jak nigdy” („Rzeczpospolita”).

No pewnie, z takimi fachowcami w MON jak on i gen. Kukuła nic nam nie grozi. Będziemy przecież mieli 500-tysięczną armię i amerykańską bazę w Polsce. Skoro to Zalewski w imieniu ministerstwa prowadzi negocjacje w sprawie baz, to szykujmy się na kosmiczne wydatki. Ekipa w MON i Zalewski też wiedzą, że przyszła wojna będzie oparta na systemach bezzałogowych. Dlatego masowo kupują czołgi. Absurd? Nie. Fakty.



Interesy Agnieszki Piesiewicz

Gdy mąż Radosław siedzi w areszcie, mamy serię skandali z udziałem jego żony Agnieszki. Były prezes PKOl zostawił tę firmę nie tylko gołą, ale i mocno zadłużoną. Na Mariana Kmitę, nowego prezesa, czekała sterta niezapłaconych rachunków. Piesiewicz nie zapłacił nawet ponad 1 mln zł za leasing samochodów.

Długi są w PKOl, ale nie w rodzinie Piesiewiczów. Agnieszka P., która ze sklepu papierniczego trafiła na doradcę zarządu w Banku Pekao SA, zarobiła tam 1 mln plus 150 tys. zł. Prokuratura Rejonowa w Gdańsku bada też dziwną sprawę przejęcia przez nią wierzytelności wobec MKOl na kwotę 535 tys. dol. (ok. 2,2 mln zł). Zobaczymy, co jeszcze wypadnie z szaf PKOl.

Wikary i mężatki

Taki sąd to marzenie każdego oskarżonego. Srogi, ale bez przesady. W sam raz – taki jak sąd biskupi diecezji tarnowskiej, do którego trafił wikary parafii św. Rocha w Nowym Sączu. Za to, że przez dziewięć miesięcy uprawiał seks z matką jednego ze swoich uczniów, został ukarany przeniesieniem do innej parafii. Zdradzająca żona jest już po rozwodzie. A wikary to recydywa. W Ochotnicy Dolnej i innych parafiach też miał romanse z mężatkami. Za co też został ukarany przeniesieniem. Nowe parafie i wiele nowych mężatek. Ma dla nich taki sam, dość prosty tekst: „lubię cię dotykać, lubię, jak dotykasz mnie”.

Proboszcz deweloper



Dziś pisze książki i lansuje autorski projekt literacki „Wędrowcy Światła”. W tej roli ks. Andrzej Klimara, proboszcz parafii św. Pawła Apostoła w Wieliczce-Krzyszkowicach, jest uduchowionym artystą. Nie tak go jednak zapamiętali mieszkańcy Wysokiej, położonej na krańcach Beskidu Żywieckiego. Ks. Klimara był tam przez osiem lat proboszczem w parafii św. Marii Magdaleny. Jak podaje tygodnik „Fakty po Mitach”, oszukana przez proboszcza rodzina Lipków do dziś jest ciągana po sądach. Zaufali wielebnemu, który wcielił się w dewelopera i sprzedawał działki. Także tę, na której wybudowali wodociąg do swojego gospodarstwa. Nabywca gnębi rodzinę Lipków, zakazuje korzystania z wodociągu i sądzi się z nimi. A ich były proboszcz kasę wziął i poszedł w literaty.

FOT. ANDRZEJ WIŚNIEWSKI/POLSKAPRESSE/DZIENNIK POLSKI, SOK Z BURAKA, YOUTUBE.COM

eprasa.pl 1a9b1c2625

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Fundusz Kościelny rośnie, choć miał zniknąć?

PROF. PAWEŁ BORECKI,
ekspert prawa wyznaniowego, kierownik Pracowni Historii Prawa i Polityki Wyznaniowej UW

Wzrost Funduszu Kościelnego wynika wprost z podnoszenia płacy minimalnej – to od niej zależy dofinansowanie składek ZUS duchownych. Wszystko wskazuje też na to, że premier zawarł z episkopatem ciche porozumienie o zachowaniu status quo. Dzisiejsze rozwiązanie nie jest idealne, ale zmiana może być gorsza. Zastąpienie funduszu asygnatą podatkową to nieprzewidywalny wydatek dla budżetu, a dla Kościoła chaos – brak w nim solidarności i mechanizmu podziału środków między diecezje a zakony. Ponadto uderzyłoby to w uboższe mniejszości wyznaniowe na wschodzie kraju, gdzie dominuje ludność wiejska niepłacąca PIT. W obecnych realiach geopolitycznych wywoływanie zimnej wojny religijnej byłoby po prostu błędem.

PROF. LESZEK KOCZANOWICZ,
politolog, filozof, psycholog z Uniwersytetu SWPS

Do likwidacji Funduszu Kościelnego brakuje przede wszystkim woli politycznej. W polskiej polityce otwarto tyle frontów, że nikt w koalicji rządzącej nie chce kolejnego – zwłaszcza uderzającego w bazę ekonomiczną Kościoła. Choć społeczeństwo gwałtownie się sekularyzuje, w nieustannej atmosferze wyborczej wciąż rządzi mitologia o wielkim wpływie kleru na wyniki głosowania. Politycy kalkulują prosto: po co drażnić, jak nie ma potrzeby? Zresztą konserwatywne PSL wcale się nie pali do budowania świeckiego państwa. Sprawa funduszu, który rośnie wraz z inflacją i podwyżkami płacy minimalnej, jak w soczewce pokazuje jakość rodzimej polityki: to był jeden ze „100 konkretów", który świetnie brzmiał jako obietnica dla miejskiego elektoratu, lecz zgasł w zderzeniu z wyborczym pragmatyzmem.

DR MICHAŁ ZAWIŚLAK,
adiunkt w Katedrze Prawa Wyznaniowego KUL

Sytuacja wokół Funduszu Kościelnego to polityczna pułapka. Fundusz, utworzony na podstawie art. 8 ustawy z 20 marca 1950 r. jako następstwo przejęcia nieruchomości kościelnych, dawno utracił pierwotny charakter. Nie można go jednak zlikwidować jednym ruchem. Reformę ograniczają art. 25 konstytucji – zasada równouprawnienia Kościołów, oraz dwustronny tryb regulowania stosunków państwa z Kościołami, a w przypadku Kościoła katolickiego także konkordat. Pytanie brzmi więc: czym fundusz zastąpić? Optymalny byłby polski model mieszany: odpis podatkowy inspirowany rozwiązaniami włoskimi, uzupełniony mechanizmem chroniącym najmniejsze związki wyznaniowe.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 1a9b1c2625

KLIKA ZIOBRY WALCZY O STOŁKI

Bogate życie Sopińskiego. Od Singapuru do Tajlandii

Andrzej Sikorski

Afera wokół odwołania Michała Sopińskiego z funkcji rektora-komendanta Akademii Wymiaru Sprawiedliwości zamieniła się w groteskę. Jak wiadomo, nominat Zbigniewa Ziobry nie uznaje decyzji ministra Waldemara Żurka. Twierdzi, że nie doręczono mu skutecznie dokumentu o odwołaniu. Przyszedł więc do Ministerstwa Sprawiedliwości, aby – jak to ujął – „skonfrontować się z panem Żurkiem". „Chcę, żeby wręczył mi bezprawną decyzję o moim odwołaniu. Nie wykorzystywał funkcjonariuszy Służby Więziennej do tego, żeby ganiali do Karpacza. Nie wykorzystywał formacji mundurowych w charakterze listonoszy, ale żeby po prostu wręczył mi decyzję bezprawną, żebym mógł jako obywatel pójść z nią do sądu. Już widzę, że bramy są zamknięte, pan Żurek w tym ogromnym budynku chyba próbuje się schować", popisywał się w rozmowie z telewizją wPolsce24.

Bredząc o wykorzystywaniu funkcjonariuszy SW jako listonoszy, Sopiński nie wyjaśnił, dlaczego nie było go w miejscu pracy, czyli w siedzibie akademii w Warszawie. Okazało się, że pojechał na wycieczkę do Karpacza, gdzie w dniach 8-10 września odbywało się XXXV Forum Ekonomiczne. Mundurowi namierzyli Sopińskiego w Hotelu Gołębiewski. Przez recepcję przekazali mu, że mają dla niego korespondencję od ministra sprawiedliwości. Sopiński jednak stchórzył. Oświadczył, że nie zejdzie do funkcjonariuszy i nie odbierze decyzji o odwołaniu z funkcji rektora-komendanta. Zapomniał niestety, że zgodnie z Kodeksem postępowania administracyjnego w przypadku odmowy przyjęcia pisma przez adresata uznaje się, że zostało ono skutecznie doręczone. A posłużenie się przez ministra Żurka funkcjonariuszami SW było zgodne z prawem i przyjętą praktyką.

Bohaterska obrona stołka

Według moich informacji Sopiński, będąc jeszcze w Karpaczu, dał cynk propagandystom TV Republika, że „koalicja 13 grudnia" szykuje na niego zamach. Partyzanci wolnego słowa Tomasza Sakiewicza udali się do siedziby akademii, by na miejscu relacjonować zbrodnicze działania. Dołączyła do nich posłanka PiS Maria Kurowska. Wybranka narodu niczym Rejtan własnym ciałem zabarykadowała drzwi do gabinetu rektora-komendanta uczelni, nie dopuszczając do pracy prof. Sławomira Cudaka, którego minister Żurek tymczasowo wyznaczył do kierowania AWS.

„5. dzień protestu w Akademii. Dostaję dużo pytań, co się dzieje i jak się czuję? Czuję się dobrze. Mam już tylko wodę z kranu. Nie pozwalają przekazać mi żywności i ubrań. Bronię Akademii przed bezprawnym przejęciem przez uzurpatora! Bronię praworządności! Proszę Was o modlitwę za Polskę!", relacjonowała w poniedziałek 14 września na platformie X posłanka PiS.

Z odsieczą Kurowskiej pośpieszyła kilkunastoosobowa grupa sympatyków prawicy. Pod siedzibą AWS śpiewała patriotyczne i nabożne pieśni oraz odmawiała modlitwy. Przybyli też posłowie PiS, m.in. Antoni Macierewicz i Mariusz Gosek. Po przepychankach z policjantami nie zostali wpuszczeni na teren uczelni, ale wezwali do koleżanki pogotowie. Ta jednak odmówiła przyjęcia pomocy medycznej, bo – jak stwierdził Macierewicz – bała się, że zostanie podstępnie zaatakowana. Kurowska odmówiła również przyjęcia jedzenia dostarczonego przez prof. Cudaka, z obawy, że ten może ją otruć. Jak przypomniał poseł Dariusz Matecki, podejrzenia Kurowskiej były jak najbardziej uzasadnione, bo reżim Tuska specjalizuje się w mordowaniu niewinnych kobiet.

Pierwszą decyzją prof. Cudaka było zwolnienie dyscyplinarne Sopińskiego i jego najbliższych współpracowników: Mariusza Kuryłowicza, Kamili Chmiel i Iwony Lewandowskiej-Pierzynki.

Tuskowi siepacze musieli chyba zahipnotyzować Kurowską, bo ta nie upilnowała drzwi rektorskiego gabinetu. 16 września posłanka zamieściła w mediach społecznościowych filmik, na którym widać prof. Sławomira Cudaka siedzącego

eprasa.pl 1a9b1c2625



Po odwołaniu Michała Sopińskiego na terenie akademii doszło do przepychanek między policją a jego zwolennikami. Dariusz Matecki wykazał się dużą determinacją. 16 września 2026 r.

przy rektorskim biurku. „Prawdopodobnie wybili przejście w ścianie", ogłosiła pisowska wybranka narodu i zapowiedziała rozpoczęcie protestu głodowego. Jednak po kilku godzinach zmieniła zdanie, bo „wyłączono prąd w gniazdkach". Prąd był jej potrzebny do prowadzenia relacji w internecie, a bez naładowanego telefonu komórkowego bój o praworządność „nie ma sensu". Kurowska zakończyła okupację i wyszła przed budynek AWS w glorii i chwale, witana przez swoich stronników. „Zawsze wroga pokonamy, kiedy taką Marię mamy", śpiewano na jej powitanie.

Tymczasem prof. Cudak szybko zabrał się do pracy. Pierwszą decyzją było zwolnienie dyscyplinarne Sopińskiego i jego najbliższych współpracowników: Mariusza Kuryłowicza, Kamili Chmiel i Iwony Lewandowskiej-Pierzynki. Ciekawą postacią jest ta ostatnia. Lewandowska-Pierzynka to była pracownica resortu sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. W akademii zatrudniona była jako prorektorka ds. współpracy i rozwoju. Według ustaleń „Gazety Wyborczej" kobieta jest spokrewniona z Bartoszem Lewandowskim, obrońcą Marcina Romanowskiego i Zbigniewa Ziobry. W kampanii wyborczej w 2023 r. miała nadzorować druk nielegalnych plakatów wyborczych spoza środków komitetów wyborczych. W Aleksandrowie na Lubelszczyźnie w tajnej drukarni w garażu należącym do rodziny współpracowników wiceministra Romanowskiego produkowano banery wyborcze nie tylko Romanowskiego, ale także Daniela Obajtka i Jana Kanthaka.

Partyjna kuźnia kadr

Aby zrozumieć zamieszanie wokół Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, musimy się cofnąć do 2019 r. Wtedy to Zbigniew Ziobro zlikwidował Centralny Ośrodek Szkolenia Służby Więziennej w Kaliszu – cieszącą się renomą specjalistyczną szkołę kształcącą kadry więzienników. W jej miejsce powołał Wyższą Szkołę Kryminologii i Penitencjarystyki z siedzibą w Warszawie (w Kaliszu utworzono kampus uczelni). Po kolejnych przekształceniach WSKiP zmieniła ostatecznie nazwę na Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. Pierwszym rektorem uczelni był opisywany w „Przeglądzie" i oskarżany o liczne nadużycia Marcin Strzelec. Oficer ten zrobił oszałamiającą karierę za rządów PiS. Jeszcze w 2016 r. był skromnym kapitanem, a w 2021 r. otrzymał generalskie szlify i Srebrny Krzyż Zasługi od prezydenta Andrzeja Dudy, choć nie przepracował nawet jednego dnia w zakładzie karnym czy areszcie śledczym i nigdy nie miał kontaktu z osadzonymi. Jednak Strzelec miał inne zalety. Kolegował się z ówczesnym wiceministrem sprawiedliwości Patrykiem Jakim.

Akademia Wymiaru Sprawiedliwości stała się partyjną kuźnią kadr Solidarnej/Suwerennej Polski. Oprócz funkcjonariuszy SW uczelnia zaczęła kształcić cywilów. Odpowiednich kandydatów szukano w kościołach. Wiosną 2021 r. Strzelec wysłał list do proboszczów, w którym prosił duchownych o pomoc w rekrutacji, tj. o „rozpowszechnienie informacji

eprasa.pl 1a9b1c2625

wśród wiernych o otwarciu kierunku »Prawo« (…), poprzez na przykład wywieszenie załączonych materiałów promocyjnych w gablotce parafialnej". Rektor-komendant obiecywał, że studenci będą się kształcić „zgodnie z chrześcijańską etyką i poszanowaniem godności człowieka".

Kolejnym krokiem było utworzenie na terenie kampusu w Kaliszu kaplicy pw. św. Pawła Apostoła. Zachwalano, że to pierwszy tego typu obiekt w kampusie polskich uczelni mundurowych, a „w kaplicy będzie można sprawować Mszę św. oraz przechowywać Najświętszy Sakrament". Gdy zdziwieni dziennikarze pytali, po co kaplica, komendant Strzelec miał gotową odpowiedź. „W większości jesteśmy społeczeństwem deklarującym wiarę katolicką. Stąd uważam, że w miejscu, które jest niemal drugim domem dla dużej grupy naszych studentów, potrzebne jest miejsce, w którym będą mogli znaleźć chwilę spokoju na modlitwę", zakomunikował oficer oskarżany m.in. o molestowanie seksualne podwładnej i przetrzymywanie na służbowych komputerach materiałów o charakterze pornograficznym.

Konferencje naukowe akademii też miały religijny charakter. „Pozbawienie wolności prymasa Wyszyńskiego jako istotny etap na drodze jego dojrzewania do roli Interrexa" – to tytuł jednej z nich. Podczas konferencji wygłoszono kilka wykładów o fundamentalnym znaczeniu dla polskiego więziennictwa, m.in. „Wartości religijne, moralne i narodowe w nauczaniu społecznym kard. Stefana Wyszyńskiego" czy „Izolacja Prymasa Wyszyńskiego w Komańczy a geneza i znaczenie Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego".

Sami swoi

Kanclerzem resortowej uczelni został ppłk Piotr Sękowski, Wielki Rycerz Zakonu Jana Pawła II. Celem zakonu „jest formowanie mężczyzn na wzór i w duchu nauczania patrona zakonu św. Jana Pawła II Wielkiego", a „podstawowymi zadaniami członków jest dążenie do świętości własnej i wszystkich wokół siebie, obrona wartości chrześcijańskich, promowanie duchowości świeckich mężczyzn i wsparcie dla duchowieństwa oraz pielęgnowanie patriotyzmu i miłości do ojczyzny".

Uczelnia Ziobry stała się przytuliskiem dla ludzi związanych z pisowskim obozem władzy. Zatrudnienie znalazł tu m.in. dr hab. Jarosław Szymanek, ekspert prawny PiS. W 2016 r. został powołany przez marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego w skład zespołu prorządowych prawników, którzy usprawiedliwiali zamach PiS na Trybunał Konstytucyjny. Jak ujawnił portal OKO.press, Szymanek jako profesor Uniwersytetu Warszawskiego splagiatował tekst swojej magistrantki, za co dostał dwuletni zakaz nauczania.

W drukarni w garażu należącym do rodziny współpracowników Romanowskiego produkowano banery wyborcze Romanowskiego, Obajtka i Jana Kanthaka.

Wymienić należy też takie osobistości jak dr hab. Bogumił Szmulik, dyrektor podległego premierowi Mateuszowi Morawieckiemu Instytutu De Republica, pisowscy sędziowie Trybunału Konstytucyjnego dr Wojciech Sych i prof. Jakub Stelina, sędzia neo-KRS Jędrzej Kondek, sekretarz generalny Suwerennej Polski i wiceminister sprawiedliwości Piotr Cieplucha, Maria Dalkowska, córka Anny Dalkowskiej, zastępczyni Zbigniewa Ziobry w resorcie sprawiedliwości, wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski czy Martin Bożek, współtwórca CBA i zaufany człowiek Mariusza Kamińskiego. A do tego Przemysław Ostojski – zaufany prokurator Zbigniewa Ziobry, Błażej Kmieciak – były współpracownik Ordo Iuris i szef państwowej komisji ds. pedofilii, Urszula D. – pracownica Ministerstwa Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry i jedna z głównych oskarżonych w aferze Funduszu Sprawiedliwości, Helen Alvaré – profesorka na amerykańskim Uniwersytecie George'a Masona, antyaborcjonistka, specjalistka od życia rodzinnego, konsultorka papieskiej Rady Świeckich, doradczyni Konferencji Biskupów Katolickich USA.

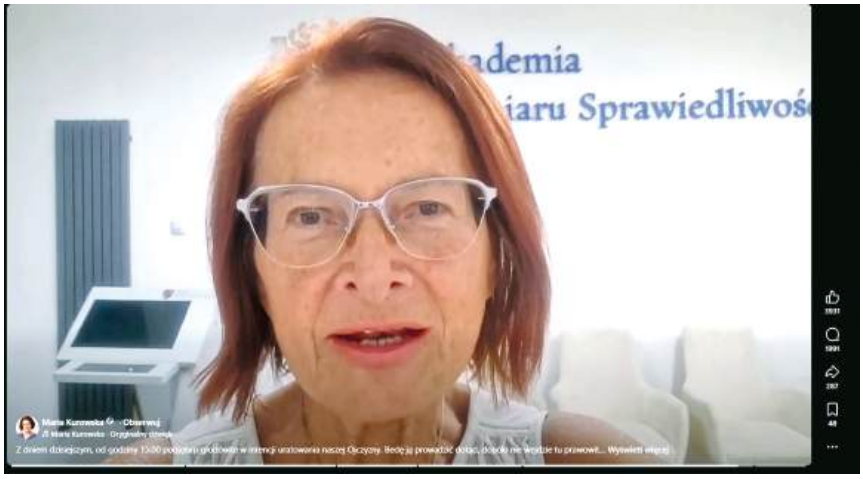
Do ziobrowej szkoły szerokim strumieniem płynęły pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości. Prawie 30 mln zł przeznaczono na bzdurne projekty badawcze, takie jak „Pracownia Innowacji Strategicznych" mająca m.in. wspierać pracowników resortu w kreatywnym myśleniu oraz „przywróceniu moralności, etyce i aksjologii należnego jej miejsca w systemie prawa", poruszać „problematykę władzy rodzicielskiej" w kontekście przeciwdziałania przestępczości czy przygotowywać opracowania regulacji prawnych mających pomóc w zwalczaniu fake newsów. Zdaniem Najwyższej Izby Kontroli resortowa szkoła „nie była przygotowana kadrowo i organizacyjnie do realizacji" projektów, te zaś były „nierzetelnie przygotowane" i „miały przede wszystkim teoretyczny charakter".

Jednak dzięki tym projektom uczelnia podniosła swój prestiż. Otrzymała kategorię naukową A (bardzo dobrą) w naukach o bezpieczeństwie i pedagogice, przyznano jej też status uczelni akademickiej. Tylko co z tego, skoro nie zdecydował o tym poziom badawczy? Przy podniesieniu kategorii naukowej wzięto bowiem pod uwagę „efekty finansowe badań", czyli pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości. Według NIK „osiągnięty efekt finansowy wynikał w dużym stopniu z arbitralnych decyzji" ministra Zbigniewa Ziobry o przyznaniu 30 mln zł, a nie z „konkurencyjności uczelni na rynku badań naukowych".

Przychodzi hejter do akademii

Wiosną 2023 r. gen. Marcin Strzelec nieoczekiwanie zrezygnował z funkcji rektora-komendanta AWS. Zastąpił go cywil, niespełna 30-letni Michał Sopiński, pełnomocnik Solidarnej/Suwerennej Polski w Kaliszu. Zbigniew Ziobro, lokując swojego nominata w akademii, nie przeprowadził konkursu. Zresztą Sopiński nigdy by go nie wygrał. Miał nikły dorobek naukowy – zaledwie doktorat,

eprasa.pl 1a9b1c2625



Posłanka PiS Maria Kurowska po odwołaniu Michała Sopińskiego ze stanowiska rektora-komendanta AWS okupowała uczelnię, nie dopuszczając do pracy prof. Sławomira Cudaka.

kilkanaście publikacji i zerowe pojęcie o więziennictwie i bezpieczeństwie. Rozprawę doktorską „Solidarystyczna wizja prawa i państwa w myśli Léona Duguit" obronił w 2022 r. na Uniwersytecie Warszawskim.

Miał za to Sopiński znakomite kwalifikacje na politycznego chuligana. Wziął na celownik badaczy Holokaustu Jana Grabowskiego i Barbarę Engelking. W mediach społecznościowych wezwał do odebrania naukowcom tytułów profesorskich i polskiego obywatelstwa oraz do golenia głów. Mariana Turskiego, więźnia obozu Auschwitz, nazwał „oprawcą z PZPR" i „nestorem antypolskiego stalinizmu". O Radosławie Sikorskim napisał: „Sikorski to rosyjski pachołek. Człowiek Moskwy i Putina. Być może zwerbowany przez KGB jeszcze w Afganistanie i przez lata uśpiony". O Donaldzie Tusku: „Tusk to zdrajca i pachołek Putina, co dobitnie wykazał dokument »Reset«. Won do Moskwy!". O sympatykach Platformy Obywatelskiej: „Byłeś w ZOMO, byłeś w ORMO, teraz jesteś za Platformą". Dostało się nawet Janinie Ochojskiej, która krytykowała bezprawne działania służb na granicy polsko-białoruskiej – stosowanie pushbacków wobec uchodźców, m.in. kobiet w ciąży i dzieci. Rektor-komendant resortowej uczelni stwierdził, że „Janina Ochojska za opluwanie polskiego munduru oraz kolaborację z Putinem i Łukaszenką powinna być sądzona za zamach stanu z art. 127 Kodeksu karnego".

Przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. w okręgu kaliskim pojawiło się ok. 100 bilbordów z dużym zdjęciem Sopińskiego, logo akademii i napisem zachęcającym do nauki w resortowej uczelni. Według plotek Sopiński przygotował sobie w ten sposób za państwowe pieniądze (szacowano, że mogło to być nawet 100 tys. zł) grunt do walki o mandat poselski. Jednak lokalni działacze PiS z Wielkopolski wyrugowali go z listy. Według innej wersji młody ziobrysta sam zrezygnował z kandydowania, gdy nie dostał biorącego miejsca.

Marcin Strzelec w 2021 r. dostał generalskie szlify i Srebrny Krzyż Zasługi, choć nie przepracował nawet jednego dnia w zakładzie karnym czy areszcie śledczym.

Po odsunięciu PiS od władzy ministerialna uczelnia stała się jednym z przyczółków walki politycznej z rządem Donalda Tuska. Sopiński w murach uczelni organizował konferencje i debaty z udziałem upolitycznionych pisowskich sędziów, zamieszanych zdaniem prokuratury w działalność przestępczą. Chodzi o Piotra Schaba i Przemysława Radzika, egzekutorów dyscyplinarnych Ziobry, którzy nękali sędziów walczących o praworządność, oraz Łukasza Piebiaka, herszta grupy „Kasta".

Ale nie tylko naruszenie apolityczności było powodem wszczęcia procedury odwołania Sopińskiego. Bezczelny nominat Ziobry zaczął publicznie ubliżać Beacie Najjar, powszechnie szanowanej prezes Sądu Okręgowego w Warszawie, twierdząc, że „nie jest sędzią, orzeka nielegalnie i stanowisko zajmuje nielegalnie". To dlatego nie podpisał z Sądem Okręgowym w Warszawie porozumienia w sprawie zajęć teoretycznych przy realizacji zadań związanych z aplikacją kuratorską. Zdaniem Ministerstwa Sprawiedliwości „działanie to stworzyło realne zagrożenie dla terminowej realizacji ustawowego zadania publicznego i prawidłowego przebiegu aplikacji kuratorskiej". Kolejne nieprawidłowości dotyczyły postępowań w sprawie nadania stopnia doktora. Minister Waldemar Żurek uznał, „że charakter, skala i powtarzalność stwierdzonych naruszeń uzasadniały ich zakwalifikowanie jako rażącego lub uporczywego naruszania przepisów prawa", a odwołanie Michała Sopińskiego wbrew kłamliwym opiniom polityków PiS „nie stanowi ingerencji w wolność badań naukowych ani autonomię Akademii, lecz wykonanie ustawowych kompetencji nadzorczych wobec uczelni służb państwowych".

Zdaje się, że zarzutów wobec Sopińskiego może być więcej. Prof. Sławomir Cudak w rozmowie z TVP Info wytknął, że były już rektor-komendant traktował nadzorowaną przez siebie uczelnię jak prywatny folwark. „Fundusz wyjazdów na konferencje międzynarodowe w ok. 80% był wykorzystany przez pana Sopińskiego i czasami jego kolegów – przypuszczam, że w celu skorumpowania. To dwa wyjazdy do Singapuru, dwutygodniowy wyjazd do Tajlandii. Uczelnia to sfinansowała", wskazał Cudak. Profesor wspomniał też o nieruchomościach, które akademia dostała od Służby Więziennej, m.in. o hotelu w Zakopanem, i o fundacji, „która miała w jakiś sposób wykorzystywać dochody z tych nieruchomości na swoje cele".

Andrzej Sikorski

FOT. DAWID WOLSKI/EAST NEWS, FB.COM/MARIA KUROWSKA

eprasa.pl 1a9b1c2625

CZĘŚĆ 2.

Czy Europa wie, jak ułożyć relacje z Rosją?

Mamy wystarczającą siłę, ale marne elity

Rozmawia Robert Walenciak



PRZEMYSŁAW GRUDZIŃSKI
– historyk, wykładowca akademicki, dyplomata

Radosław Sikorski mówił w Sejmie, że wojna między Rosją a Ukrainą jest wojną o to, kto będzie trzecią potęgą świata: Europa czy Rosja. Ten, kto będzie miał Ukrainę, będzie trzeci na świecie.

– Nie wiem, w jaki sposób państwo, które wyjdzie z tej wojny z dwudziestoparomilionową ludnością, ze zniszczonym przemysłem, z zasobami, które właściwie już są rozdane – bo surowce zostały przekazane w umowach zawartych ze Stanami Zjednoczonymi – będzie mogło decydować, kto zostanie trzecią siłą w świecie. Bardzo cyniczny jest pogląd, że to wojna o prymat na kontynencie euroazjatyckim, bo ona dokonuje się za cenę krwi setek tysięcy Ukraińców, a ci, którzy rzekomo walczą o prymat, nie chcą tam wysłać nawet jednego żołnierza, i to po zawarciu pokoju. Bardzo cyniczne jest także opłacanie zaciężnej armii, żeby walczyła o nasze drugie miejsce. To nie wydaje mi się ani rozsądne, ani prawdziwe.

Dlaczego?

– Nie jest prawdą, że to walka o jakikolwiek prymat. Europa w czasie wojny rosyjsko-ukraińskiej staje się coraz bardziej zależna od USA. Ukraina staje się coraz bardziej zależna od Zachodu, bo bez przepływów finansowych, pożyczek i broni nie byłaby zdolna utrzymać się jako równorzędny przeciwnik Rosji. Cała administracja, całe państwo funkcjonuje wyłącznie dzięki zastrzykom europejskim.

No więc Ukraina staje się zależna od Europy, natomiast Europa staje się coraz bardziej zależna od Ameryki. Jest wyzyskiwana jak lennik.

Płaci za amerykańską broń, przekazywaną Ukrainie.

– A jeżeli Ukraina wejdzie do Unii Europejskiej, nasze obciążenia finansowe będą jeszcze większe. Ponieważ Ukraina w tej chwili nie jest przygotowana, by wejść do Unii, i raczej będzie ją osłabiać, a nie wzmacniać. Sama odbudowa Ukrainy stanie się niesłychanie kosztowna, a wysiłek doprowadzenia jej do standardów europejskich rozciągnie się na lata. Poza tym bardzo wątpię, żeby po tym doświadczeniu obrony państwowości, suwerenności Ukraina

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1a9b1c2625

chciała się przyczynić do budowy jednej Europy. Będzie zazdrośnie strzec atrybutów niepodległości, suwerenności i flagi. Duma narodowa, związana z rozkwitem nacjonalizmu w czasie wojny, stworzy z Ukrainy bardzo trudnego członka UE.

A gdzie tu miejsce dla Rosji? Niby jest własnym klubem, ale coraz słabszym. Ta wojna ją osłabia i uzależnia od Chin.

– Rosja w tej chwili walczy o zachowanie wszystkich atrybutów niezależnego klubu. Ale przychodzi to jej z trudem i najwyraźniej jest w defensywie, wbrew temu, co się mówi o wielkiej ofensywie Kremla. Ta wojna jest na życzenie Kremla, ale uwarunkowana wcześniejszymi wydarzeniami. Państwo rosyjskie pokazało słabość prawie pod każdym względem. Mimo to zachowuje tożsamość, integralność i jest jednym z centrów obecnego klubowego świata. Jeżeli ktoś myśli, że można to państwo wykreślić, wymazać, to głęboko się myli. Państwa nuklearnego nie można wymazać ani nawet zwyciężyć. Można z nim tylko znaleźć jakieś modus vivendi.

Tak pan uważa?

– Jako kolosalną porażkę Europy na tym etapie widzę to, że jest skupiona jedynie na wojnie. Nie widząc własnego interesu i nie umiejąc go sformułować, nie jest w stanie przemyśleć, jak zorganizować pokój. Wielcy mężowie stanu, tacy jak Roosevelt czy Churchill, jeszcze w czasie II wojny światowej potrafili myśleć o przyszłej Europie. Nawet ze Stalinem urządzić Narody Zjednoczone. A tu cisza. To wbrew najbardziej elementarnym lekcjom historycznym. Po wojnie przychodzi pokój, trzeba mieć jego wizję, jak urządzić Europę, jak ułożyć sobie relacje z Rosją. To podstawowe zadanie czołowych polityków europejskich. A ich horyzont kończy się na wojnie i rozejmie. Na zamrożeniu konfliktu.

Rodzaj wariantu koreańskiego.

– Czyli co, zbrojny rozejm? Zamrożenie na linii frontu? Przecież to oznacza skazanie Ukrainy na to, żeby była zbrojnym przedmurzem Europy, a nas na to, żebyśmy byli przedmurzem w drugiej linii. A całą Europę skazuje na sytuację zależności od amerykańskiego chimerycznego suzerena.

To fantastyczna sytuacja dla Waszyngtonu.

– Fantastyczna dla Waszyngtonu i beznadziejna dla Europy. To sytuacja bez perspektyw.

Z drugiej strony to Rosjanie odrzucili Europę, zakochani są w sile Ameryki, postawili na Trumpa i na wspólne biznesy. Kirył Dmitriew obiecuje im złote góry i tunel między Alaską a Syberią. Tu widzę ten kłopot.

– Rosja nigdy nie była łatwym partnerem, łatwym państwem w Europie. Ale gdyby wsłuchać się w koncepcje rosyjskie z początku lat 90., to tam była obietnica współpracy i partnerstwa. A Zachód ogłosił swoje zwycięstwo, mimo że niewiele się przysłużył do tego, co było autodestrukcją imperium. Niesłychana rzecz w historii – pokojowe rozczłonkowanie imperium. Jak taki kolos się rozpada, to huk i straty są niewyobrażalne. Wystarczy zobaczyć, jak rozmontowywało się imperium brytyjskie – ile milionów ludzi zginęło – czy francuskie. A tutaj wielkie mocarstwo rozpływa się na naszych oczach. To trzeba było inaczej zagospodarować. Nie należało sytuacji przekształcać w jednostronne korzyści dla Zachodu.

Jaki był główny błąd?

– Rosji nie zostało zaproponowane równorzędne partnerstwo. Wtedy można było zbudować wspólną przestrzeń – Zachodu i Rosji. Nie zrobiono tego. Nie było nigdy uczciwej propozycji: wchodzicie na równych zasadach, jesteście mile widziani i tworzymy to, co nazywało się przestrzenią bezpieczeństwa, opisaną w Paryskiej Karcie Nowej Europy KBWE (OBWE) w roku 1990. Gdyby ją realizować, mielibyśmy dziś jednolitą przestrzeń bezpieczeństwa, jednolitą przestrzeń gospodarczą od Vancouver do Władywostoku.

Nie obyłoby się bez tarć i problemów.

– Oczywiście! Rosja z pewną odmienną kulturą polityczną i prawną stanowiłaby niemały problem. Tak jak Ukraina stanowi dzisiaj niemały problem. I możemy sobie opowiadać różne historie, ale to będzie ogromne wyzwanie, jak jej kulturę polityczną, np. kulturę korupcji, która jest powszechna, sprowadzić do poziomu europejskiego. Prawie niewykonalne zadanie! Niedawno prezydent Zełenski zlikwidował urząd, który zajmował się zwalczaniem korupcji, i to w trakcie negocjacji z Unią Europejską, która wymaga, żeby taki urząd istniał.

Ale przecież Ukraina nigdy nie zgodzi się być w jednej przestrzeni z Rosją.

– Teraz, po tej wojnie, nie będziemy już mogli mówić o jednej przestrzeni, wyłącznie o jakichś minimalnych warunkach koegzystencji. Musimy stworzyć minimalne warunki koegzystencji między Europą, Ukrainą i Rosją. To największy nasz, Polski, interes – żebyśmy nie musieli stać z bronią u nogi, co nas będzie kosztowało niewyobrażalną cenę w zakresie rozwoju Polski, cywilizacji.

Państwa nuklearnego nie można wymazać ani zwyciężyć. Można z nim znaleźć jakieś modus vivendi.

Bo zamiast przeznaczać środki na rozwój nauki, ochronę zdrowia i inne rzeczy, kupujemy amerykańskie czołgi i śmigłowce.

– W naszym interesie byłaby więc taka polityka, która wskazywałaby Europie przyszłość, a nie patrzyła na to, jak zamrozić obecną sytuację: my i wróg.

To Carl Schmitt.

– To jego żelazna zasada polityki, oś my i wróg. Dziś budujemy taką pseudoschmitteańską oś z Rosją. A doświadczenie europejskie jest inne. Ono podpowiada, że w XIX w., kiedy Europa była stosunkowo pokojowym kontynentem, najszybciej się rozwijała. Doświadczenie europejskie podpowiada też, że nie ma rzeczy niemożliwych, bo okazało się możliwe pojednanie niemiecko-francuskie – po tylu krwawych wojnach. Pojednanie polsko-niemieckie także jest

eprasa.pl 1a9b1c2625

faktem. Pojednanie polsko-ukraińskie również było zaawansowane, choć teraz się kruszy. A polsko-litewskie? Węgiersko-rumuńskie?

Oczywiście to są bardzo długie procesy, ale jeśli po tak straszliwej wojnie, którą wywołały Niemcy w 1939 r., możliwe było szybkie włączenie Niemiec do struktur zachodnich, to dlaczego nie mamy myśleć o Rosji? Co zrobili mądrzy przywódcy Europy na kongresie wiedeńskim w 1815 r.? Włączyli wroga, czyli Francję, od razu do rodziny europejskiej. A przeciwko tej Francji wszystkie strony kongresu walczyły. Dlaczego więc my nie możemy sobie wyobrazić sytuacji, w której odbywamy konferencję pokojową, na której układamy nasze sprawy w taki sposób, żeby zapewnić Europie pokój i stabilność?

Bo słyszymy, co mówią Putin, Ławrow i Pieskow, o Miedwiediewie nie wspominając. I nie są to słowa skłaniające do optymizmu.

– Jest kwestia retoryki i kwestia polityki, strategii. Jak słyszę język polityków europejskich, też nie dostrzegam dla Rosji żadnych szans w przyszłości. A nasze czyny? Jeżeli wykluczamy dostęp Rosji do wszelkiego rodzaju instytucji, odcinamy ją, łącznie ze społeczeństwem? Mam przyjaciół Rosjan, którzy są oponentami Putina. Oni tak samo podlegają sankcjom jak ci, którzy wspierają jego władzę. Czyli nie kształtujemy przyszłości ani przyszłych relacji. Nie myślimy nawet o nich!

A na Kremlu myślą o tych relacjach?

– Wypowiedzi Miedwiediewa traktuję z przymrużeniem oka. On odgrywa na tym dworze rolę błazna. A jeśli chodzi o prezydenta Putina, nie należy go traktować jako superrecenzenta. Każdy ruch polityczny, czy w Polsce, czy w Europie, jest oceniany pod kątem tego, czy się spodoba Putinowi, czy nie.

Że otwiera szampana.

– To całkowita rezygnacja ze swobody manewru. Jeżeli kryterium naszego działania jest to, czy z czegoś prezydent Putin będzie zadowolony, czy nie, to sami mu oddajemy narzędzia kontroli nad naszą polityką. Zastanówmy się: jakież to ma znaczenie, czy coś mu się spodoba, czy nie? To on ma oceniać jakość naszej polityki? Ma być jej arbitrem? Miejmy własny rozum, własne kalkulacje. Europa powinna realizować własne koncepcje, własną politykę. I to by się udało, ma wystarczającą siłę. Ale pod warunkiem, że jest to kontynent ludzi myślących. Kontynent prowadzony przez inteligentne elity. A nie tak marne jak obecne, tak słabych nie mieliśmy od niepamiętnych czasów.

A może to jest sposób Europy na kupowanie czasu? Żeby się uniezależnić cyfrowo i militarnie. Francuzi wprowadzają Linuksa do swojej administracji, Niemcy zaczynają myśleć o własnych konstrukcjach militarnych. Europa zmierza w kierunku samodzielności, choć pewnie w żółwim tempie.

– To nie Europa, tylko poszczególne państwa. Poza tym jaka jest perspektywa polityki francuskiej? Za chwilę prawica obejmie tam władzę. A Marine Le Pen i jej stronnicy nie będą budować potęgi Europy, tylko potęgę Francji, więc wrócimy do gaullistowskiej koncepcji Europy ojczyzn, do potencjalnych konfliktów między państwami europejskimi. Stany Zjednoczone Trumpa marzą o podzielonej Europie. Rosja też. Tu idą ręka w rękę, co widać na przykładzie brexitu, który wspomagali. I aż boję się wymówić nazwę następnego państwa, które może być dźwignią dalszego ruchu exitowego z Europy…

Chyba wiem, o jakim państwie pan myśli. Ale to nieszczęście może przyjść dopiero po roku 2027, gdy obecnie rządzący przegrają wybory i władzę wezmą wrogowie Brukseli.

– Proszę zwrócić uwagę: oni wołają, że chcą wolności, chcą uniezależnić się od jednego ośrodka, a jednocześnie chcą uzależnić się od drugiego. Tego pożądają. No to uzależnijmy się od Ameryki do końca! Zostańmy tym 51. stanem! Nie chce Islandia, nie chce Kanada, a my chcemy, prawda?

Skąd ta ślepa miłość, wbrew temu, co się dzieje na świecie?

– Ona niestety wiąże się z kultem bezwzględnej siły, która w Polsce ma tylu zwolenników, z magią prymitywnej geopolityki. Polscy politycy w ogóle nie znają teorii polityki, nie czytają książek o teorii ani o stosunkach międzynarodowych. Oni mają przekonania i na zasadzie trzech sekund potrafią skomentować na X najtrudniejszy problem. To bezrefleksyjne i niedyplomatyczne, to jest pomijanie wszystkich instrumentów, które ludzkość wypracowała do prowadzenia racjonalnej, samoograniczającej się polityki.

To prawda, siła zachwyca ich jak gimnazjalistów.

– Jesteśmy zachwyceni, jak wspaniale przebiegała operacja dekapitacji w Wenezueli. Nie zastanawiamy się, jak brutalna jest polityka zagładzania Kuby. To nie ma nic wspólnego z prawem międzynarodowym. Czy Europa ma coś w tej sprawie do powiedzenia? Gaza to już jest skrajny przypadek. To bardzo przykra historia z punktu widzenia dwoistości standardów, które Europa stosuje. I pokazuje, że nie ma siły, a przede wszystkim nie ma mądrości.

Co ważniejsze?

– Bruksela ma siłę, ale jest ona rozproszona. Gdyby zebrała ją na zasadzie sfederalizowania polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, to byłaby potęga. Ale do tego, by ją wykorzystać, potrzebna jest mądrość. Bo niemądre działania kosztują. Wielka Brytania wydobyła się z sieci zależności brukselskich i jak na tym wyszła?

Brytyjczycy uwierzyli, że przeskoczą do innego układu.

– Uwierzyli, że korzyści przyniesie jej special relationship ze Stanami Zjednoczonymi. A widzimy, jak jednostronna jest ta special relationship. Wielka Brytania myślała, że stworzy własny klub, bo będzie miała świetne, specjalne relacje ze Stanami

Musimy stworzyć minimalne warunki koegzystencji między Europą, Ukrainą i Rosją. To największy nasz, Polski, interes – żebyśmy nie musieli stać z bronią u nogi.

eprasa.pl 1a9b1c2625

Zjednoczonymi, dobre z Unią Europejską, ale w pełni niezależne, no i rozwinie fantastycznie relacje z Indiami, z Afryką, korzystając ze swojego dawnego klubu kolonialnego. Nic z tego nie wychodzi. Czyli nie można sobie założyć klubu życzeniowo, na zasadzie woli politycznej, bo suwerenności cyfrowej nie zbuduje się na zasadzie woli politycznej. Dolina Krzemowa jest tylko jedna i tych miliardów żaden kraj europejski nie zainwestuje w nowy system Windows czy sztuczną inteligencję. Są tylko dwa ośrodki na świecie, które są w stanie to zrobić – Chiny i USA.

Czy Europa na dłuższą metę potrafiłaby to zrobić?

– Być może tak, gdyby koncentrowała zasoby, ale przede wszystkim musiałaby konsekwentnie uniezależniać się od usług amerykańskich. Gdzieś przeczytałem, że Europa płaci 300 mld euro rocznie za usługi chmurowe. A to tylko cząstka wszystkich opłat. Ja płacę co miesiąc 20 euro za używanie czata GPT. Setki tysięcy Polaków, miliony Europejczyków płacą. Bez żadnej kontroli płyną pieniądze do Stanów Zjednoczonych.

Europa powinna realizować własne koncepcje i politykę. I to by się udało. Ale pod warunkiem, że jest to kontynent ludzi myślących.

A gdy chcieliśmy opodatkować na 3% amerykańskie big techy, zrobiła się wielka międzynarodowa awantura.

– Zrobiła się, dlatego że to uderzało w interesy tego nowego typu państwa, które reprezentuje Waszyngton. To państwo jest stopione z korporacjami, zwłaszcza cyfrowymi, z oligarchią finansową, z kompleksem przemysłowo-zbrojeniowo-technologicznym. Ta symbioza polega na tym, że państwo strzeże interesu korporacji, a korporacja określa ruchy państwa. Trudno odróżnić Trumpa od Muska.

Czy Trumpa od jego firm.

– Prywatyzacja jest też cechą nowego feudalizmu. Dawniej mówiliśmy, że państwo rosyjskie jest liche, bo tam ministerstwa i inne instytucje państwowe są sprywatyzowane. Tymczasem mamy do czynienia z powszechną prywatyzacją rządów w Stanach Zjednoczonych.

To wygląda na świat zabetonowany. Nie możemy się uwolnić od zależności od Ameryki. Nie możemy zbudować alternatywy, choć Europa od Władywostoku po Lizbonę byłaby najsilniejszym obszarem na świecie. Ale gdy to mówię, słyszę: zapominasz, kto rządzi w Rosji.

– Nie myślmy tylko o dziś. Myślmy o jutrze. Czy Hitler był wieczny? Stalin był wieczny? A przecież państwa, którymi rządzili, istnieją. Nie myśleć o przyszłości naszej, naszych dzieci i wnuków to więcej niż błąd, to zbrodnia.

Robert Walenciak
r. walenciak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 1a9b1c2625

PARADOKSY PRACY ZDALNEJ

Oceny wpływu pracy zdalnej na produktywność, zaangażowanie i dobrostan pracowników pozostają niejednoznaczne



Kornel Wawrzyniak

Choć część globalnych korporacji w ostatnich latach zaczęła przywracać obowiązkową obecność pracowników w biurach, tryb zdalny nie znika z europejskiego rynku pracy. Wręcz przeciwnie. Najnowsze dane pokazują, że tzw. praca hybrydowa stała się dominującym rozwiązaniem wszędzie tam, gdzie charakter obowiązków pozwala na wykonywanie ich poza siedzibą firmy. Polska jednak pozostaje w tyle za unijną średnią, a dyskusja o wpływie pracy zdalnej na produktywność, zaangażowanie i dobrostan pracowników jest daleka od jednoznacznych rozstrzygnięć.

Spór o produktywność

Według danych przywoływanych przez Polski Instytut Ekonomiczny 44% pracowników w Unii Europejskiej łączy pracę stacjonarną z pracą zdalną, podczas gdy 41% pracuje wyłącznie stacjonarnie. Oznacza to, że model hybrydowy stał się najczęściej stosowaną formą organizacji pracy w zawodach umożliwiających wykonywanie obowiązków poza biurem. Tendencja ta utrzymuje się mimo głośnych decyzji części międzynarodowych firm o powrocie do trybu stacjonarnego, uzasadnianych obawami o spadek produktywności czy osłabienie kultury organizacyjnej. Do biur ściągnęły pracowników takie potęgi jak Amazon, Google, Uber czy Intel, który wprowadził zasadę 4:1 – cztery dni w biurze i jeden poza nim.

Podobne działania podjęło również polskie Allegro. Zgodnie z informacjami przytaczanymi przez portal Bankier.pl 60% pracowników firmy zatrudniającej niemal 7 tys. osób pracowało zdalnie. Od początku 2026 r. mieli zacząć pracować w modelu 4:1. Wywołało to poruszenie wśród niektórych pracowników rodzimego giganta e-commerce. „Nie dopuszczacie do siebie, że ludzie się różnią. Piszecie, że »zmiany umacniają«, a nie dopuszczacie do siebie, że ludzie mogą mieć zaburzenia adaptacyjne. Piszecie, że »odżyją relacje«, a nie dopuszczacie do siebie, że część ludzi nie chce i nie lubi tworzyć relacji na siłę, bo ich to po prostu wyczerpuje”, cytował jeden z komentarzy serwis Wirtualnemedia.pl.

Eksperci od lat podkreślają, że praca zdalna nie jest uniwersalnym rozwiązaniem dla wszystkich organizacji i zatrudnionych. Jej efekty zależą od branży, rodzaju wykonywanych zadań, modelu zarządzania, a także indywidualnych predyspozycji pracowników. Po stronie korzyści dla tych ostatnich najczęściej wskazuje się oszczędność czasu i pieniędzy związaną z dojazdami oraz większą elastyczność w organizacji życia prywatnego. W metropoliach skala tych oszczędności może być znacząca. Oszacowano np., że przeciętny roczny koszt dojazdów do pracy w Londynie wynosi ok. 5 tys. funtów.

Praca zdalna oznacza jednak nie tylko większą swobodę w planowaniu dnia, łatwiejsze godzenie obowiązków zawodowych z życiem rodzinnym i ograniczenie czasu spędzanego w korkach czy środkach transportu. Wielu zwraca uwagę na możliwość pracy w bardziej komfortowym środowisku, bez biurowego hałasu i częstych rozpraszaczy. Równocześnie pojawiają się koszty, których nie da się łatwo zmierzyć finansowo.

Najczęściej wskazywanym problemem jest zacieranie się granicy między pracą a życiem prywatnym. Dom przestaje być przestrzenią odpoczynku, a stała dostępność online może prowadzić do przemęczenia i przeciążenia psychicznego. Pracownicy funkcjonujący w modelu zdalnym częściej sygnalizują też ograniczenie bezpośrednich kontaktów ze współpracownikami oraz poczucie izolacji społecznej.

Ale największe kontrowersje dotyczą wpływu pracy zdalnej na efektywność. Pracownicy zazwyczaj oceniają swoją wydajność wyżej, gdy wykonują obowiązki poza biurem. Pracodawcy częściej pozostają sceptyczni – mówią o trudnościach

eprasa.pl 1a9b1c2625



związanych z koordynacją zespołów, obiegiem informacji czy wdrażaniem nowych osób. Według ekspertów Polskiego Instytutu Ekonomicznego rozbieżności mogą wynikać z odmiennego rozumienia samej produktywności. Dla pracowników oszczędność czasu przeznaczanego wcześniej na dojazdy oznacza wzrost efektywności. Menedżerowie co jest szczególnie problematyczne w małych mieszkaniach. Niektórym z kolei tęskno było do owocowych czwartków, darmowej kawy i herbaty. Na końcu podnoszony jest argument o rosnących rachunkach za prąd i wodę.

Badania naukowe nie dają tymczasem jednoznacznej odpowiedzi co do efektywności pracy zdalnej.

Praca zdalna nie jest uniwersalnym rozwiązaniem dla wszystkich organizacji i pracowników.

natomiast częściej koncentrują się na jakości współpracy zespołowej, tempie rozwiązywania problemów czy sprawności komunikacji.

Wśród najczęściej wymienianych wad pracy zdalnej pojawiały się również problemy z koncentracją. Część pracowników przyznawała, że domowe obowiązki, takie jak sprzątanie czy przygotowywanie posiłków, utrudniają im skupienie się na pracy. Niektórzy tłumaczyli, że czują się w obowiązku posprzątać mieszkanie, skoro pracują z domu. Dodatkową trudnością staje się konieczność zaaranżowania miejsca do pracy,

Jeden z najbardziej znanych eksperymentów przeprowadzono w dużej chińskiej firmie turystycznej. Pracownicy losowo skierowani do pracy zdalnej osiągnęli produktywność wyższą o 13% od osób pracujących wyłącznie w biurze. Analiza wykazała jednak, że część tego efektu wynikała z dłuższego czasu pracy, rzadszych przerw i mniejszej liczby absencji. Z drugiej strony wiele analiz wskazuje potencjalne negatywne skutki pełnego modelu zdalnego.

Szczególnie interesujące wnioski płyną z badania opublikowanego w „Journal of Political Economy Microeconomics". Przeprowadzono je wśród ok. 10 tys. wysoko wykwalifikowanych pracowników indyjskiej firmy technologicznej. Naukowcy Michael Gibbs, Friederike Mengel i Christoph Siemroth stwierdzili, że pracujący całkowicie zdalnie osiągali wyniki o 8-19% niższe od wypracowanych przez osoby funkcjonujące w trybie stacjonarnym. Przyczyną nie była mniejsza liczba przepracowanych godzin, lecz ograniczenie spontanicznej wymiany wiedzy i pomysłów. Innowacyjność bowiem często rodzi się poza formalnymi spotkaniami: podczas rozmów przy kawie, przypadkowych konsultacji lub codziennych kontaktów w biurze. Właśnie te nieformalne interakcje okazują się trudne do zastąpienia za pomocą komunikatorów i wideokonferencji. Wnioski te sugerują, że choć wiele procesów można skutecznie realizować online, całkowita rezygnacja ze spotkań twarzą w twarz może osłabiać kreatywność i zdolność organizacji do generowania nowych rozwiązań.

W domu nie zawsze najlepiej

Coraz więcej badań dowodzi, że rozwiązaniem godzącym interesy pracowników i pracodawców może być model hybrydowy. To on najczęściej zapewnia równowagę między elastycznością a potrzebą budowania relacji i współpracy zespołowej. Potwierdzają to badania prowadzone przez ekonomistę z Uniwersytetu Stanforda Nicholasa Blooma w firmie Trip.com. Analiza wykazała, że pracownicy wykonujący obowiązki przez dwa dni w tygodniu z domu i trzy dni z biura byli równie produktywni jak osoby pracujące wyłącznie stacjonarnie. Nie różnili się też pod względem szans na awans. Jednocześnie odnotowano bardzo wyraźny spadek rotacji pracowników. Liczba rezygnacji z pracy zmniejszyła się o 33%, co przełożyło się na wielomilionowe oszczędności dla przedsiębiorstwa. Podobne wnioski przynoszą analizy amerykańskiej agencji Bureau of Labor Statistics. Widać w nich dodatnią korelację między wzrostem udziału pracy zdalnej i hybrydowej

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a9b1c2625

a produktywnością w dziesiątkach branż sektora prywatnego.

Dane Europejskiej Fundacji na rzecz Poprawy Warunków Życia i Pracy (Eurofound) pokazują, że najpopularniejszym modelem w Unii Europejskiej jest dziś model hybrydowy. W Polsce dominują natomiast tradycyjne formy organizacji pracy. Jak wskazuje Polski Instytut Ekonomiczny, 65-70% zatrudnionych pracuje wyłącznie stacjonarnie, podczas gdy w modelu hybrydowym funkcjonuje ok. 24% pracowników. Jeszcze większe różnice dotyczą pracy całkowicie zdalnej, która obejmuje 15% pracowników w UE i 5-9% w Polsce.

Innowacyjność często rodzi się poza formalnymi spotkaniami: podczas rozmów przy kawie, przypadkowych konsultacji czy codziennych kontaktów w biurze.

Eksperci zwracają uwagę, że wynika to w dużej mierze ze struktury polskiej gospodarki, w której znaczącą rolę odgrywają przemysł, produkcja i handel.

Coraz więcej uwagi badacze poświęcają jednak zjawisku określanemu mianem „paradoksu pracy zdalnej". Raport Instytutu Gallupa dowodzi, że osoby pracujące zdalnie są często bardziej zaangażowane w wykonywanie obowiązków niż pracownicy biurowi, ale gorzej oceniają własny dobrostan. Według globalnego badania Gallupa zaangażowanie deklarowało 31% pracowników zdalnych, podczas gdy wśród pracowników hybrydowych odsetek ten wynosił 23%. Jednocześnie wskaźniki dobrostanu okazywały się wyższe wśród osób pracujących hybrydowo niż całkowicie zdalnie.

Pracownicy wykonujący obowiązki poza biurem częściej wskazywali także poczucie samotności, smutku oraz wyższy poziom stresu. Zdaniem autorów raportu wynika to m.in. z ograniczenia codziennych relacji społecznych, konieczności samodzielnego organizowania pracy oraz przeciążenia technologią. Właśnie ten paradoks staje się obecnie jednym z najważniejszych wyzwań dla firm rozwijających model pracy rozproszonej. Wzrost efektywności nie zawsze idzie bowiem w parze z poprawą samopoczucia pracowników.

Sondaż przeprowadzony przez Experience Institute dla portalu Praca.pl pokazuje, że wśród osób mających możliwość pracy zdalnej aż 80% korzysta z tej opcji. Najpopularniejsza pozostaje formuła hybrydowa, z której korzysta 55% respondentów. Co trzeci badany pracuje całkowicie zdalnie. Choć poziom akceptacji dla pracy zdalnej pozostaje bardzo wysoki, widać pierwsze oznaki zmęczenia tym modelem. W 2024 r. 70% respondentów deklarowało zdecydowanie pozytywny stosunek do pracy zdalnej, podczas gdy dwa lata wcześniej było to 77%. Przybyło równocześnie osób, którym taka forma pracy nie odpowiada. Badanie pokazuje zarazem pewien spadek zaangażowania pracowników mających możliwość pracy zdalnej. Odsetek osób deklarujących wysokie zaangażowanie obniżył się z 63% do 57%. Jednocześnie osoby korzystające z pracy zdalnej nadal częściej deklarują satysfakcję zawodową niż pracownicy pozbawieni takiej możliwości.

Pracodawcy szukają równowagi

Wyniki badania „Praca zdalna po polsku" przeprowadzonego przez firmę EY pokazują, że po uregulowaniu zasad pracy zdalnej w Kodeksie pracy aż 88% organizacji zdecydowało się na model hybrydowy. Firmy najczęściej oczekują obecności pracowników w biurze dwa lub trzy dni w tygodniu. Pracodawcy wskazują przede wszystkim znaczenie bezpośrednich kontaktów dla budowania zespołów, kultury organizacyjnej i sprawnego wdrażania nowych pracowników, ale nie kwestionują korzyści wynikających z elastyczności pracy ani rosnących oczekiwań pracowników w tym zakresie.

Również przedsiębiorcy zrzeszeni w Związku Przedsiębiorców i Pracodawców podkreślają, że możliwość pracy zdalnej stała się ważnym elementem konkurowania o talenty. Kandydaci coraz częściej uzależniają decyzję o zatrudnieniu się od dostępności pracy zdalnej lub hybrydowej, 60% jest gotowych zmienić pracodawcę. 47% potrafiłoby nawet zmienić branżę, aby zachować większą elastyczność. Potwierdzają to dane No Fluff Jobs: oferty z możliwością pracy zdalnej cieszą się zainteresowaniem czteroipółkrotnie większym niż te wymagające stałej obecności w biurze.

„Udział ogłoszeń o pracy oferujących możliwość wykonywania obowiązków w trybie hybrydowym od 2024 r. zwiększył się z 20,5% do 35%. Jednocześnie odsetek ofert zawierających wymóg pracy stacjonarnej spadł z 46% do 33,5%, podczas gdy dostępność pracy zdalnej utrzymuje się na w miarę stałym poziomie (33,5% w 2024 r. i 31,5% obecnie)", czytamy w komunikacie wydanym przez portal. Dane zebrane przez NFJ pokazują, że największą dostępnością pracy zdalnej w Polsce mogą się pochwalić branża IT i marketing, gdzie oferty tego typu stanowią 39% wszystkich ogłoszeń. Z kolei model hybrydowy najczęściej pojawia się w rekrutacjach prowadzonych dla specjalistów HR (42%) oraz IT (40%). Na przeciwnym biegunie znajdują się sprzedaż i logistyka, gdzie dominują oferty wymagające stałej obecności w miejscu pracy, odpowiednio – 85% i 82%.

Po sześciu latach od pandemicznej rewolucji coraz wyraźniej widać, że debata o pracy zdalnej przestała dotyczyć pytania „czy", a zaczęła dotyczyć pytania „w jakim zakresie". Dane z Europy, Stanów Zjednoczonych, ale i Polski dowodzą, że całkowity powrót do modelu sprzed 2020 r. jest mało prawdopodobny. Jednocześnie wiadomo już, że pełna praca zdalna nie jest rozwiązaniem pozbawionym kosztów. Ograniczenie kontaktów społecznych, ryzyko izolacji i potencjalne problemy z innowacyjnością sprawiają, że coraz więcej organizacji wybiera model pośredni.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1a9b1c2625

DZIECI, KTÓRE CZEKAJĄ ZA DŁUGO



GDZIE SIĘ PODZIALI RODZICE ADOPCYJNI?

Maciej Belowski

O adopcji krąży w Polsce wiele opowieści: o latach czekania, wygórowanych wymaganiach i urzędniczych przeszkodach. Pracownice ośrodków adopcyjnych, eksperci, prawnicy i rodzice, którzy przeszli procedurę, system oceniają różnie. A najnowsze dane wyraźnie pokazują, że na rodziców czeka dziś znacznie więcej dzieci niż jest zakwalifikowanych kandydatów.

Z ewidencji Ministerstwa Sprawiedliwości publikowanej przez Główny Urząd Statystyczny w opracowaniu „Pomoc społeczna i opieka nad dzieckiem i rodziną w 2024 r." wynika, że w 2024 r. sądy orzekły przysposobienie wobec 2471 małoletnich. Choć liczba ta od kilku lat utrzymuje się na zbliżonym poziomie, to w porównaniu z 2013 r. (3537 adopcji przytaczanych m.in. w „Raporcie SDG 2024" GUS) spadek jest wyraźny.

Jednocześnie z corocznego sprawozdania rządu wynika, że pogłębiają się dysproporcje statystyczne: na koniec 2024 r. liczba dzieci zakwalifikowanych do adopcji, dla których nie zdołano dobrać rodziców, wzrosła do 2337 (o 8% rok do roku). A liczba oczekujących kandydatów na rodziców z pozytywną opinią kwalifikacyjną spadła do 925 (o 12% w porównaniu z poprzednim rokiem).

Z kolei z opublikowanego 23 kwietnia 2026 r. raportu GUS „Piecza zastępcza w 2025 r." wynika, że na koniec 2025 r. w placówkach instytucjonalnej pieczy zastępczej przebywało 7,7 tys. dzieci, których oboje rodzice zostali prawomocnie pozbawieni władzy rodzicielskiej, a 4,6 tys. z nich zgłoszono do ośrodków adopcyjnych. Mimo to odsetek wychowanków trafiających do rodzin adopcyjnych bezpośrednio z placówek wynosi rocznie niespełna 5% (w 2024 r. było to ok. 200 dzieci z 4,5 tys. opuszczających placówki, a w 2025 r. – 183 z 3,9 tys.). Znacznie częściej adopcje następują z rodzinnej pieczy zastępczej (1,4 tys. w 2024 r. i 1,2 tys. w 2025 r.).

Kryzys kandydatów

– Stwierdzenie „kryzys adopcyjny" jest niefortunne. Nie widzimy go w samej procedurze, lecz w tym, że zgłasza się coraz mniej kandydatów na rodziców – wyjaśnia Katarzyna Mężykowska, psycholog z Pomorskiego Ośrodka Adopcyjnego w Gdańsku. – Kiedyś dzieci zgłaszane do przysposobienia w ogóle nie czekały na nowych rodziców. Dziś zdarza się, że to my czekamy, aż nowi rodzice zostaną zakwalifikowani

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 1a9b1c2625

i ukończą proces diagnostyczny. Zastanawiamy się, na ile wiąże się to ze zjawiskiem ogólnej rezygnacji ludzi z posiadania potomstwa – dodaje specjalistka.

Podobne wnioski płyną także z południa kraju. Anna Wójcik, kierownik Oddziału ds. Adopcji i Wspierania Rodziny w Śląskim Ośrodku Adopcyjnym w Katowicach, wskazuje na tło socjologiczne: Zaczynamy obserwować spadek liczby kandydatów od momentu, kiedy w małżeństwach stopniowo zaczęła spadać liczba dzieci biologicznych. Młodzi ludzie odkładają rodzicielstwo najdłużej jak się da: najpierw jest szkoła, potem studia, praca, mieszkanie. Kiedy przychodzi stabilizacja materialna, często albo już po prostu nie chcą mieć dzieci, albo nie mogą ich mieć. Jeżeli ludzie nie chcą mieć dzieci biologicznych, nie zostają też rodziną adopcyjną ani zastępczą.

Pracownicy ośrodków tłumaczą, że czas oczekiwania nie wynika z długich kolejek chętnych – Katarzyna Mężykowska wprost mitem nazywa „paradoks kolejki", wskazując, że dziś kandydaci na rodziców czekają krócej niż dawniej. Trudność polega na zderzeniu wyobrażeń dorosłych z realiami. Wielu kandydatów marzy o adopcji niemowlęcia – całkowicie zdrowego i bez trudnej przeszłości. – Wtedy musimy spokojnie porozmawiać o rzeczywistości: dzieci zupełnie zdrowe, bez obciążeń praktycznie nie są do nas zgłaszane – podkreśla Katarzyna Mężykowska. – Gdy w prawidłowo funkcjonującej rodzinie dochodzi do tragedii, opiekę niemal zawsze przejmują krewni: ciocia, babcia. Dzieci kwalifikowane do przysposobienia to najczęściej maluchy z bagażem niewydolności wychowawczej rodziców, uzależnień, nieleczonych chorób psychicznych, niepełnosprawności intelektualnej czy przemocy. To niesie ryzyko zaburzeń z grupy FASD oraz traumę odrzucenia. Ośrodek nie dobiera dziecka do życzeń dorosłych – naszą rolą jest dobór rodziców do potrzeb konkretnego dziecka.

Język i procedury

W odbiorze społecznym relacje adopcyjne wciąż bywają traktowane z dystansem, jako rozwiązanie drugorzędne wobec biologii.

Zwraca na to uwagę dr Anna Krawczak z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę, antropolożka i ekspertka ds. praw dziecka. – W języku funkcjonują dwa określenia: „rodzina prawdziwa" oraz „rodzina naturalna". To pierwsze pojawia się w pytaniach o „prawdziwych rodziców", utożsamiających prawdę z biologią. Drugie zadomowiło się w żargonie urzędowym jako rzekomo neutralny synonim rodziny biologicznej. Skoro rodzina biologiczna jest „naturalna", to adopcyjna staje się w tym ujęciu „nienaturalna" czy sztuczna. To buduje krzywdzące przekonanie, że tylko krew decyduje o wartości relacji. Warto mówić po prostu „rodzina" i „dziecko", bez zbędnych etykiet. Ekspertka odnosi się także do zarzutów o rzekomo niebotyczne bariery stawiane kandydatom. – Opowieści o barierach często tworzą osoby z zewnątrz. Kryteria kwalifikacyjne to elementarny fundament bezpieczeństwa dziecka: zaświadczenie o niekaralności, brak uzależnień, środki na utrzymanie, opinia psychiatry i testy psychologiczne to minimum wymagań. Z kolei szkolenie trwa zgodnie z przepisami co najmniej 35 godzin dydaktycznych – to nie jest dużo czasu. Te procedury nie służą utrudnianiu życia dorosłym, lecz chronią dziecko przed powtórnym porzuceniem.

Anna Wójcik opisuje, jak wygląda to w Śląskim Ośrodku Adopcyjnym. – Ośrodki nie narzucają warunków w postaci posiadania willi z basenem. Sprawdzamy, czy rodzina ma warunki bytowe, miejsce dla dziecka i czy utrzyma się z własnych funduszy. Kluczowa jest dojrzała motywacja. Jeśli ktoś traktuje adopcję wyłącznie jako natychmiastowe lekarstwo na ból po niespełnionym rodzicielstwie biologicznym, radzimy dać sobie czas. Dziecko nie może być plasterkiem na cudze rany. Trzeba jednak pamiętać: im dłużej dziecko czeka na adopcję, tym trudniej jest mu zaufać i zbudować w nim poczucie, że jest dla kogoś ważne.

Praktyka kwalifikacyjna bywa różnie oceniana. – W teorii przepisy są jasne: przysposobić dziecko może osoba samotna albo małżonkowie, o ile spełniają wymagane warunki i uzyskają kwalifikację. Najsprawniej procedurę przechodzą pary wpisujące się w tradycyjny model: z kilkuletnim stażem małżeńskim, stabilną sytuacją zawodową i mieszkaniową oraz bez istotnych problemów zdrowotnych. Takie sprawy nie wymagają zwykle wsparcia prawnego – mówi adwokatka Joanna Parafianowicz, specjalizująca się w prawie rodzinnym. – Do kancelarii trafiają natomiast klienci, których sytuacja życiowa choćby nieznacznie odbiega od tego modelu. Wówczas pojawiają się trudności – zdarza się, że ośrodki adopcyjne formułują wymagania, które nie wynikają z powszechnie obowiązujących przepisów – dodaje.

Adwokatka zwraca też uwagę na sytuację dzieci w pieczy zastępczej. – Problemem jest również przewlekłość działań instytucji odpowiedzialnych za uregulowanie sytuacji prawnej tych dzieci. Część z nich przez długi czas nie może zostać zakwalifikowana do adopcji, ponieważ postępowania dotyczące ograniczenia lub pozbawienia władzy rodzicielskiej trwają zbyt długo.

W 2024 r. liczba zakwalifikowanych dzieci, dla których nie zdołano dobrać rodziców, wzrosła do 2337. A liczba oczekujących kandydatów na rodziców spadła do 925.

Najsprawniej procedurę przechodzą pary z kilkuletnim stażem małżeńskim, stabilną sytuacją zawodową i mieszkaniową oraz bez istotnych problemów zdrowotnych.

eprasa.pl 1a9b1c2625

Widzi też problemy o charakterze systemowym. – W mojej ocenie istotnym problemem są także ograniczenia organizacyjne po stronie ośrodków adopcyjnych: jest ich za mało, a przygotowanie kandydatów w dużej mierze koncentruje się na teorii. Po wydaniu postanowienia o przysposobieniu rodzina przestaje być objęta systematycznym wsparciem związanym z procesem adopcyjnym i w przypadku późniejszych trudności często pozostaje z nimi sama.

Test na determinację i dojrzałość

O tym, jak weryfikacja wygląda w praktyce, opowiada pani Kamila (imię zmienione na jej prośbę), która w wieku 44 lat samodzielnie adoptowała pięcioletniego chłopca. – Myśl o adopcji dojrzewała we mnie kilka lat. Adoptowałam syna rok temu – to był ostatni dzwonek ze względu na cezurę wieku. Reakcje otoczenia były różne: jeden ze znajomych stwierdził, że samotnej kobiecie nikt dziecka nie powierzy. W jednym z ośrodków adopcyjnych usłyszałam wprost, że przepisy pozwalają na złożenie wniosku, ale u nich dziecka nie dostanę, bo w bazie mają już kilka osób samotnych. Nie zniechęciłam się, zadzwoniłam do innego ośrodka, najbliżej domu, i tam spotkałam się z zupełnie innym podejściem.

Początki wymagały jednak siły psychicznej. Pierwszą rozmowę z dyrekcją pani Kamila odebrała jako próbę ostudzenia emocji. – Pytano mnie bez ogródek: „Czy pani wie, jak zmieni się pani życie? Że to nie jest american dream, ale że to będą problemy?". Wyszłam wkurzona. Dopiero mama uświadomiła mi, że to był test mojej determinacji. Podeszłam do sprawy zadaniowo. Od złożenia papierów do poznania syna minął dokładnie rok.

Rodzina i najbliższe otoczenie przyjęły chłopca z miłością, wparcia udzielili także dotychczasowi opiekunowie z rodziny zastępczej. Codzienność przyniosła jednak wyzwania: syn w momentach złości powtarzał wulgaryzmy wyniesione z dawnego domu. – Przez pierwsze miesiące zasypialiśmy ze „starą mamą". Mówił, że ją kocha i chciałby, żeby tu przyszła. Tłumaczyłam mu spokojnie, że to naturalne, ale z ważnych powodów nie mogą być razem. Trzeba założyć filtr i pamiętać, że złość zagubionego dziecka nie jest wymierzona w nas. Gdy po pół roku poczuł się bezpiecznie, zaczął po dziecięcemu stawiać granice i marudzić przy myciu zębów. Ucieszyłam się, bo to był znak, że czuje się u mnie dobrze. Nie bójcie się procedur, bo one naprawdę są do przejścia. I nie wstydźcie się prosić o pomoc – na każdym etapie. Otworzyłam swoje serce i dom dla drugiego człowieka. Nigdy w życiu nie byłam tak zakochana i tak szczęśliwa, jak jestem teraz – mówi.

Adopcja wymaga przede wszystkim czasu, szczerości i gotowości, by towarzyszyć dziecku w trudnych chwilach oraz dać mu siłę do poradzenia sobie z traumą przeszłości.

Pani Magda i jej mąż (ze wschodniej Polski) są małżeństwem od 10 lat. Od niedawna wychowują niespełna dwuletniego synka. – O adopcji myśleliśmy od pięciu lat. W pierwszym ośrodku, do którego trafiliśmy na wstępną rozmowę, pracownicy poradzili nam, byśmy dali sobie jeszcze czas na przemyślenie sprawy. Odebraliśmy to wtedy jako czepialstwo, bo przecież czytaliśmy książki i czuliśmy się gotowi. Z perspektywy czasu wiem, że dopuszczenie nas do kursu na tamtym etapie byłoby błędem. Mieliśmy naiwne wyobrażenie, że miłość wszystko wyleczy i wszystko będzie proste. Przy drugim podejściu mieliśmy już bardziej realistyczne wyobrażenia – mówią.

Formalności zajęły niecały rok. Gdy zadzwonił telefon z propozycją poznania karty chłopca, sprawy potoczyły się błyskawicznie – dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu maluch był z nimi w domu. – Najtrudniejszym momentem było zostawianie małego syna w placówce opiekuńczo-wychowawczej po naszych codziennych wizytach. Kursy częściej skupiają się na dzieciach z rodzin zastępczych, a nasz syn przebywał w placówce. Opiekunki robiły, co mogły, ale widok płaczącego malucha rozrywał serce. Mieliśmy szczęście do sędziego, który błyskawicznie wyznaczył rozprawę o osobistą styczność (często nazywaną sprawą o powierzenie pieczy preadopcyjnej – przyp. red.). Znamy jednak parę z kursu, która przez opieszałość sądu wciąż czeka na ten krok.

– Same badania i wywiady psychologiczne dotyczą bardzo prywatnych spraw – dodaje pani Magda. – To wielogodzinne, głębokie rozmowy o dzieciństwie, relacjach małżeńskich czy trudnych emocjach związanych ze staraniami o dziecko. Nie odebraliśmy ich jako inwazyjne, bo ośrodek musi wiedzieć, z czym człowiek potrafi sobie poradzić. Zaufaliśmy pracownikom i gdy u syna pojawiły się napady histerycznego płaczu, dostaliśmy wsparcie specjalistów.

Adopcja wymaga przede wszystkim czasu, szczerości i gotowości, by towarzyszyć dziecku w trudnych chwilach i dać mu siłę do poradzenia sobie z traumą przeszłości.

– Dzieci czekają. Warto przyjść do ośrodka choćby na rozmowę informacyjną. Nie każde przyjście łączy się z rozpoczęciem procedury. Pracują u nas psycholodzy i pedagodzy, bardzo otwarci i życzliwi – zachęca Anna Wójcik ze Śląskiego Ośrodka Adopcyjnego.

Oceny systemu adopcyjnego w Polsce pozostają podzielone: ilu pytanych ludzi, tyle spostrzeżeń. Rozmówczynie z ośrodków podkreślają, że wymagania służą dziecku, a prawniczka, że praktyka bywa surowsza niż przepisy. Opisane historie adopcji potoczyły się szczęśliwie, choć wiele zależało od ludzi, na których rodziny trafiły – od ośrodka po sędziego. Powinniśmy jednak pamiętać, że w centrum całego procesu jest dziecko, a odpowiedni rodzic to dla niego szansa na lepsze życie.

Maciej Belowski

eprasa.pl 1a9b1c2625

Chiny kontra Zachód

W jakiej roli Xi Jinping jedzie do USA?

Rozmawia Robert Walenciak



PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
– politolog, hungarysta, sinolog, były ambasador w państwach Azji i były dyplomata na Węgrzech, były dyrektor i wykładowca Centrum Europejskiego UW

Czy dojdzie do szczytu USA-Chiny? Chińczycy powiedzieli, że jeśli Ameryka zdecyduje się uruchomić nowy pakiet broni dla Tajwanu, to Xi Jinping do Stanów nie przyjedzie. To jest demonstracja siły.

– Xi Jinping w lutym br. sam zadzwonił – co chińskiemu cesarzowi się nie zdarza – do Trumpa i położył kwestię Tajwanu na stół: że jest to nieprzekraczalna czerwona linia w stosunkach chińsko-amerykańskich. Jesienią ub.r. administracja amerykańska obiecała Tajwanowi sprzęt wojskowy za 11 mld dol. Chińczycy więc zagrozili, że jeśli pakiet zostanie uruchomiony, szczyt planowany na 24 września nie dojdzie do skutku. Trump już odpowiedział: nie wyobraża sobie, by Xi Jinping do Waszyngtonu nie przyjechał.

Czyli Trump ustępuje.

– Czyli chyba do szczytu dojdzie. Chińczycy, swoim sposobem, przygotowywali się do niego niezwykle starannie, co w naszych mediach prawie nie zostało zauważone. W ostatnim dniu sierpnia i 1 września odbył się szczyt Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Biszkeku. Spotkali się tam Xi Jinping, Narendra Modi i Władimir Putin. A dwa tygodnie później, 12-13 września, mieliśmy w New Delhi szczyt BRICS Plus. I znowu spotkanie Narendry Modiego, Xi Jinpinga i Putina. Zwróćmy uwagę, jak przyjmowany był w Indiach Władimir Putin. Wielkimi oklaskami. Ostracyzm go nie dotyczy.

Chiny obydwa te szczyty wykorzystały do pokazania jedności antyzachodniej i antyamerykańskiej. Równocześnie neutralizowały Indie, które zawsze będą grały na siebie jako swing state, państwo obrotowe.

W jakim celu neutralizowały?

– Żeby były w miarę neutralne, gdyby Pekin zaczął coś robić z Tajwanem. To wystarczy. Putin oficjalnie podpisał w deklaracji, że popiera stanowisko chińskie w kwestii Tajwanu, więc ze strony Moskwy Chiny poparcie mają. Takiej deklaracji ze strony wspomnianych dwóch organizacji – Szanghajskiej Organizacji Współpracy i BRICS Plus – nie ma. Szczególnie jednak ważne jest to, że w obydwóch organizacjach pełnoprawnym członkiem jest Iran. W ten sposób spełnił się czarny sen Zbigniewa Brzezińskiego…

Oś Rosja-Chiny-Iran.

– Brzeziński mówił, że Stany Zjednoczone jako jedyne supermocarstwo mają nadrzędny strategiczny cel: nie dopuścić do utworzenia antyzachodniej i antyamerykańskiej koalicji na obszarze Eurazji, tego heartlandu Mackindera. A my ją mamy jak na dłoni! Chiny z Rosją, z Iranem, a jeśli trzeba, to jeszcze z Indiami. I być może z Koreą Północną! Kiedyś by to nazwano koalicją lub

eprasa.pl 1a9b1c2625

osią destabilizacji (Axis of Upheaval). Ale dziś największym źródłem destabilizacji na arenie międzynarodowej jest inny czynnik. Nazywa się Donald Trump.

Fatalnie to dla Zachodu wygląda.

– Jesteśmy w takim punkcie, który pokazuje, że świat gruntownie się zmienia, a w zasadzie – zmienił. Nasze elity polityczne, i mówię to z pełną świadomością, nie dostrzegają trzech megatrendów.

Pierwszy to taki, że centrum świata, w sensie gospodarczym i handlowym, a coraz bardziej też technologicznym, już się przesunęło z Atlantyku na Pacyfik. Bo Stany Zjednoczone, chcąc nie chcąc, muszą się odwrócić w stronę Chin, do Tajwanu, do Japonii, do ASEAN (Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej – przyp. red.), do Indii itd. Natomiast Europa w najnowszej strategii amerykańskiej z grudnia 2025 r. jest w trzeciej klasie. A była w pierwszej.

Drugi megatrend, który przewraca układ sił na globie: na naszych oczach zachodzi proces odrodzenia dwóch cywilizacji ubranych w szaty państw. O Chinach już wiemy i nimi straszymy. O Indiach wiemy znacznie mniej i ciągle kierujemy się stereotypami. Kiedy Indie w styczniu nominalnie wyprzedziły Japonię i stały się czwartą gospodarką świata, i ja tę informację wrzuciłem na X, to mnie atakowano – wylały się wszystkie stereotypy: że brud, że smród, że święte krowy, że kastowe społeczeństwo.

To pewnie prawda, ale co z tego...

– Tymczasem Indie są w tej chwili najszybciej rozwijającym się organizmem w Azji, a może i na świecie. Rosną w tempie 7,5-8,5% rocznie, w latach 2015-2025 podwoiły swój PKB, są najludniejszym państwem świata. I tak pozostanie.

I jeśli jeszcze łączą siły… Bo to trzeci megatrend, którego myśmy do końca nigdy nie przetrawili – w sensie myślowym i strategicznym. Po kryzysie 2008 r. wyłoniła się nowa kategoria państw, Emerging Markets, rynki wschodzące. Jakie? Chiny, Indie, Indonezja, RPA, Brazylia. Te wszystkie, które do 2008 r. wrzucaliśmy do jednego koszyka jako Trzeci Świat. A to już są rynki wschodzące. Ponad 80% światowego wzrostu od roku 2009 do 2019 dały rynki wschodzące.

Wyłonił się też nowy fenomen – oprócz rynków wschodzących mamy Global South, globalne Południe. I mamy rywalizację między Chinami a Indiami o to, kto jest prawdziwym przywódcą tego globalnego Południa. Tylko że Chiny są prawie pięciokrotnie większą gospodarką niż Indie i technologicznie już są wyzwaniem dla Stanów Zjednoczonych. Nie dla Europy, która została w tyle.

Odrodziły się więc starożytne cywilizacje ubrane w szaty państw i to wszystko powoduje, że zmienia się totalnie układ sił, bo obydwa organizmy mają po ok. 1,4 mld ludzi. Każdy zatem trzy razy więcej niż cała Unia Europejska. Mają swoje systemy wartości, interesy, a te nie są zbieżne z naszymi.

To spycha Europę na bok.

– To jest koniec europocentryzmu. Indie, jeśli nadal będą rosły w tempie 7,5-8,5% rocznie, do końca tego dziesięciolecia wyprzedzą Niemcy. I na koniec dekady trzy największe gospodarki świata w sensie nominalnym, a nie siły nabywczej, to będą Stany Zjednoczone, Chiny i Indie. Nie ma w tym gronie Europy.

Ale bez takiego rynku, jakim jest Europa, i Indiom, i Chinom byłoby znacznie trudniej.

– Dlatego i Indie, i Chiny robią wszystko, by tworzyć rynek państw BRICS i być coraz bardziej od Zachodu niezależne. Chiny prowadzą równocześnie globalną cyfryzację i proponują, w ramach BRICS, rozwijanie współpracy technologicznej. Xi Jinping zmienił też strategię rozwoju Chin – na strategię podwójnego obiegu. To, co chińskie, jest kluczowe, zasadnicze, a to, co zachodnie, zewnętrzne – jest uzupełniające.

W jakiej więc roli Xi Jinping jedzie do USA? Jako przedstawiciel świata, który chce podyktować warunki nowego podziału?

– Jedzie spotkać się jak równy z równym. I załatwić sprawę dla niego najważniejszą – zjednoczenia ziem chińskich, bo chce renesansu narodu chińskiego. A żadnego renesansu nie będzie, jeśli po obydwu stronach Cieśniny Tajwańskiej są organizmy z Chinami w nazwie: po jednej Chińska Republika Ludowa, a po drugiej – Republika Chińska.

Samoloty pasażerskie latają na trasie Pekin-Tajpej. Tajwan nie wygląda na oblężoną twierdzę.

– I tak, i nie. Obywatele tego za bardzo nie czują, ale Chiny już parę razy zrobiły próbę generalną czegoś, co prawdopodobnie zechcą zrealizować – pełnej izolacji i blokady wyspy, także od strony Pacyfiku. A Tajwan nie ma surowców, może mieć kłopoty z wodą i wieloma innymi rzeczami. Przy czym to nie jest kwestia zderzenia Pekin-Tajpej, bo wystarczy spojrzeć na mapę, żeby mieć w tej sprawie jasność. To testowanie i sprawdzanie, jaka będzie odpowiedź na pytanie, które dla nas jest zrozumiałe, bo kiedyś w Polsce zadawaliśmy sobie podobne: czy będą walczyli o Gdańsk?

Znamy odpowiedź...

– A teraz Xi Jinping stawia Trumpowi pytanie: czy Amerykanie będą walczyli o Tajwan?

A będą?

– Są wspomnienia urzędników, którzy pracowali z Trumpem w pierwszej kadencji, w tym Johna Boltona, który był jednym z trzech doradców ds. bezpieczeństwa. Bolton opisuje naradę w wąskim gronie pięciu osób w Gabinecie Owalnym, w czasie gdy coś znowu zazgrzytało na Morzu Południowochińskim. I jest taka scena – Trump siedzi przy stole i mówi: „Patrzcie – tu jest mapa, tu

Na naszych oczach zachodzi proces odrodzenia dwóch cywilizacji ubranych w szaty państw. O Chinach już wiemy. O Indiach wiemy znacznie mniej i ciągle kierujemy się stereotypami.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1a9b1c2625

są Chiny, a tu jest Tajwan". Przyłożył go kciukiem: „I już go nie ma. No i jak mam o nich walczyć?".

Podejrzewam zatem, że Trump o Tajwan walczył nie będzie. Natomiast Chińczycy niewątpliwie chcą z Trumpem zagrać w to, co lubi najbardziej – w Big Beautiful Deal! Sto Trump Tower, tysiąc fabryk produkujących damskie torebki dla Ivanki Trump, może coś dla Jareda Kushnera, bo nic nie ugrał u Putina... Czyli transakcje. Natomiast jeśli się nie uda – będzie dużo groźniej.

Dlaczego będzie groźniej?

– A jak postępuje Xi Jinping? Na XX Zjeździe KPCh przed kamerami wyprosił z sali swojego poprzednika Hu Jintao. Wiosną tego roku z najwyższych stanowisk wyrzucił grupę generałów – a wszyscy byli z jego nadania. Dwóch byłych ministrów obrony skazał na karę śmierci – w chińskich realiach oznacza to dożywocie. I wprowadził do Centralnej Komisji Wojskowej przy KC KPCh, jako również głównodowodzący armią, dwóch młodych generałów – takich którzy wykonają każdy rozkaz. Czyli – jeśli trzymać się starożytnych strategów chińskich – kiedy idzie wojna, dowództwo ma być w jednym ręku. I to właśnie w Chinach się stało.

Ale co Chinom da Tajwan? Tak zmieni to świat?

– Zmieni, i to gruntownie. Jedynym państwem na świecie, które to rozumie, jest Japonia, która Tajwan przez 50 lat okupowała. I Japonia, gdyby nie było Trumpa, byłaby najwierniejszym z wiernych sojuszników w obronie Tajwanu, jeżeli Stany Zjednoczone tej obrony by się podjęły. Ale Trump podważył wiarygodność sojuszniczą. Bezustannie atakuje Kanadę, chce zajmować Grenlandię. A kiedy wiarygodność sojusznicza jest zachwiana, Japończycy też do końca nie wiedzą, czy na Amerykę można liczyć, czy nie.

A Tajwan? To 23,5 mln mieszkańców, ale PKB porównywalny z polskim. Tam jest TSMC, największy na świecie producent mikroczipów. Gdyby nastąpiło połączenie Tajwanu i Chin kontynentalnych, z automatu mielibyśmy gospodarkę numer jeden na świecie – ekonomicznie, handlowo i technologicznie. Wszystko by się zmieniło. Dlatego wielu strategów i ludzi trzeźwo myślących w Ameryce nie chce do tego dopuścić. Zwłaszcza że nigdy nie było tak, by dotychczasowe supermocarstwo oddawało pole bez walki.

Na co więc liczą Chiny?

– Liczą na to, co zostało zapisane w najnowszej amerykańskiej strategii. Jest w niej nawiązanie do doktryny Monroego, czyli że tylko zachodnia półkula jest strefą wpływów amerykańskich. Chińczycy interpretują to w taki sposób, że wokół siebie mogą robić, co chcą. Tak jak Putin na Ukrainie może robić to, co chce. A jeszcze Kushner i Witkoff jadą do Kijowa i mówią Ukraińcom: poddajcie się, oddajcie Rosji swoje linie obronne, swoją linię Maginota.

Ukraina przecież tego nie odda.

– Dodajmy, że Zełenski kilkakrotnie przeciwstawił się Trumpowi, nie uległ naciskom. A to dowodzi, że wiarygodność Stanów Zjednoczonych jako najważniejszego państwa na globie jest podważana. A teraz jeszcze tę wiarygodność podważa Iran. Czyli jesteśmy w epoce chaosu, zamieszania, w czymś, co definiuję jako geostrategiczny przeciąg.

My jesteśmy w przeciągu. Bo raczej nie Chińczycy.

– My w Polsce, my w Europie, my w świecie zachodnim. A Chiny umiejętnie budują swoją pozycję. Trump narzuca dodatkowe cła – a Chiny zwalniają z nich wszystkie państwa afrykańskie. Z wyjątkiem Eswatini, które utrzymuje stosunki z Tajwanem. Trump mówi: „Drill, baby, drill", czyli szukaj surowców kopalnych – a Chińczycy rozwijają OZE, wszystkie możliwe rodzaje. Co zrobili z pierwiastkami ziem rzadkich? Trzymają za gardło Zachód i Stany Zjednoczone. Taki F-35 potrzebuje ok. 400 kg różnych pierwiastków ziem rzadkich. A 65% ich wydobycia i ponad 90% rafinacji zapewniają Chiny.

Co w takim razie może zrobić Ameryka? Co będzie mogła zaproponować, kiedy przyjedzie Xi Jinping?

– Po pierwsze, dobrze, że rozmawiają. Po drugie, nie daj Bóg, żeby się za łby chwycili, bo jeżeli dwa słonie walczą, to trawa będzie zdeptana. To znaczy, że dotknie to wszystkich. Jeśli już i za Iran, i za Jemen i Huti płacimy i płacić będziemy, to wyobraźmy sobie, co by było, gdyby nastąpiło zderzenie kinetyczne między Chinami a Stanami...

Lepiej więc, żeby rozmawiali.

– Agenda chińska jest dla mnie oczywista. Pokazać Stanom Zjednoczonym, że jesteśmy już państwem silnym. W opinii mandarynów w Pekinie stan, w którym Tajwan jest oddzielony od Chin, jest dowodem z epoki, kiedy Chiny były słabe i rozszarpywane przez obce mocarstwa. Teraz – mówią – jesteśmy silni, nadchodzi nasz renesans, musimy więc się zjednoczyć. Najlepiej pokojowo. Bo „specjalna operacja wojskowa" Putina pokazała Chinom, co znaczy nieprzemyślany ruch wojskowy. Operacja wokół Iranu w cieśninie Ormuz też.

Czyli spodziewam się raczej forteli, podstępów, transakcji. No i budowania koalicji, czego właśnie byliśmy świadkami.

A agenda amerykańska? Trump może będzie prosił o pomoc w sprawie Iranu i wojny w Ukrainie, próbował dzielić świat. Handlując Tajwanem. Jakie mogą być efekty tych rozmów?

– W sprawie Donalda Trumpa przyjąłem zasadę komentowania tylko do kończącego się dnia. Bo następnego ranka możemy się obudzić w zupełnie innej sytuacji.

Indie są w tej chwili najszybciej rozwijającym się organizmem w Azji, a może i na świecie. Rosną w tempie 7,5-8,5% rocznie, w latach 2015-2025 podwoiły swój PKB.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1a9b1c2625



Z Galicji

Jan Widacki

Narodowe czytanie

W ramach „narodowego czytania” proponuję zbiorowe odczytanie „Kariery Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. No, nie całej książki od razu, można zacząć od fragmentu. Monologu niejakiego Żorża Ponimirskiego.

Nikodem Dyzma właśnie otrzymał propozycję objęcia stanowiska premiera. Wokół grono dygnitarzy, ludzi „z towarzystwa”, pochlebców wpatrzonych w Dyzmę. Atmosferę zakłóca najpierw wybuch śmiechu Ponimirskiego, a gdy wojewoda obrażonym tonem pyta: „Z czego się pan śmieje?”, wywołuje tym pytaniem monolog, który właśnie polecam na „narodowe czytanie”.

„Z czego? Nie z czego, moi państwo, tylko z kogo?! Z was się śmieję, z was! Z całego społeczeństwa, z wszystkich kochanych rodaków! (…) Elita! Cha, cha, cha… Otóż oświadczam wam, że wasz mąż stanu, wasz Cincinnatus, wasz wielki człowiek, wasz Nikodem Dyzma to zwykły oszust, co was za nos wodzi, to sprytny łajdak, fałszerz i jednocześnie kompletny kretyn! Idiota nie mający zielonego pojęcia nie tylko o ekonomii, lecz o ortografii. To cham, bez cienia kindersztuby, bez najmniejszego okrzesania! Przyjrzyjcie się jego mużyckiej gębie i jego prostackim manierom! Skończony tuman, kompletne zero! Daję słowo honoru, że nie tylko w żadnym Oxfordzie nie był, lecz żadnego języka nie zna! Wulgarna figura spod ciemnej gwiazdy, o moralności rzezimieszka. Sapristi! Czy wy tego nie widzicie? Źle powiedziałem, że on was za nos wodzi! To wy sami wwindowaliście to bydlę na piedestał! Wy! Ludzie pozbawieni wszelkich rozumnych kryteriów. Z was się śmieję, głuptasy! Z was! Motłoch!...”.

Po zbiorowym („narodowym”) odczytaniu tego fragmentu nastąpić powinna zbiorowa („narodowa”) dyskusja. A jako że dyskusja powinna się zacząć od jakiegoś bardzo mądrego, wyszukanego intelektualnie zdania, zacząłbym ją od konstatacji, że „Karierę Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza mógł napisać tylko Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Potem już będzie łatwiej. Dyskusja sama się potoczy.

A w ogóle „Karierę Nikodema Dyzmy” (powieść Dołęgi-Mostowicza, którą mógł napisać tylko Dołęga-Mostowicz – miejmy to na uwadze) powinien sobie przeczytać każdy piśmienny wyborca, przed każdymi kolejnymi wyborami.

Najbliższe będą wybory prezydenta Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Już niedługo. Nie wiem, czy Krakowianie zdążą przeczytać. A wybory prezydenta Krakowa to temat sam w sobie ciekawy i pouczający.

W długim poczcie prezydentów tego miasta, miasta nie byle jakiego, bo proszę zważyć: „Stołecznego Królewskiego”, co najmniej od końca XIX w., czyli od czasu uzyskania autonomii przez Galicję, prezydentami obierano wybitne, powszechnie znane i szanowane w mieście osoby. Byli wśród nich profesorowie, tacy jak Józef Dietl, Feliks Szlachtowski, Juliusz Leo, i zasłużeni w pracy społecznej dla miasta prawnicy, jak Mikołaj Zyblikiewicz, późniejszy marszałek Sejmu Galicyjskiego. Byli przedsiębiorcy – Jan Kanty Federowicz czy Karol Rolle, założyciel szkoły ceramicznej. Wśród prezydentów w okresie międzywojennym byli też zasłużeni w walkach o niepodległość i w jej obronie oficerowie, kawalerowie Virtuti Militari – Mieczysław Kaplicki czy Władysław Belina-Prażmowski. Każdy pozostawił po sobie coś trwałego.

Po II wojnie światowej nie było już w Krakowie prezydentów, tylko „przewodniczący prezydiów rady narodowej”. Różne to były figury. Ale gdy w 1956 r. nastąpiła odwilż, funkcję tę powierzono profesorowi Wyższej Szkoły Ekonomicznej Wiktorowi Bonieckiemu, wybitnemu historykowi myśli ekonomicznej.

W III RP pierwszym prezydentem Krakowa został prof. Jacek Woźniakowski, historyk sztuki, intelektualista związany z „Tygodnikiem Powszechnym” i Znakiem. Po nim urząd ten krótko sprawował znany krakowski adwokat Krzysztof Bachmiński. Później wybrany został działacz krakowskiej Solidarności Józef Lassota. Po Lassocie był Andrzej Gołaś – profesor i prorektor AGH, a po nim prof. Jacek Majchrowski, historyk państwa, wieloletni dziekan Wydziału Prawa UJ. Z wszystkich prezydentów Krakowa urzędował najdłużej, bo 22 lata, wygrywając kolejne wybory.

W tym czasie znacznie zmieniła się polska demokracja. Kandydatów na stanowiska prezydentów miast nie szuka się już wśród ludzi znanych, szanowanych, z dorobkiem. Takich, którzy i bez funkcji prezydenta są kimś.

W ostatnich wyborach Platforma wystawiła nikomu w Krakowie nieznanego pana Miszalskiego, szefa swoich mało zresztą aktywnych tamtejszych struktur, człowieka bez dokonań i zasług, o których mieszkańcy by wiedzieli. Niedawno został on odwołany w referendum sfinansowanym przez swojego konkurenta, Łukasza Gibałę.

Niebawem nowe wybory. Kandydatów było bez liku, szczęśliwie część nie potrafiła zebrać nawet 3 tys. podpisów poparcia. Najpoważniejszymi wedle sondaży kandydatami są wspomniany milioner i pani Monika Piątkowska, aktualnie senator KO. Inne jej życiowe dokonania nie są znane ogółowi. Na tle wielkich poprzedników wygląda blado. Ostatnio „Polityka” próbuje zaś prześwietlać biznesy pana Gibały. Ale kto by tam czytał „Politykę”.

Przez ostatnie 20 lat naprawdę coś złego się stało z naszą demokracją. Może rzeczywiście brakuje narodowego czytania „Kariery Nikodema Dyzmy”?

■

eprasa.pl 1a9b1c2625

Prezydent miasta musi być poważny

Wszystkich kandydatów porównują z Jackiem Majchrowskim

Rozmawia Robert Walenciak

Jak poszło panu ze zbieraniem podpisów, by zarejestrować się w wyborach? Na tej przeszkodzie padło wielu kandydatów. Inni prześliznęli się po ścianie.

– Zaczęliśmy tradycyjnie, od ulic i placów. Mieliśmy wolontariuszy. Od razu jednak zauważyliśmy, że ludzie bardzo niechętnie podpisują. Po aferach z wyciekiem danych pytali: „A po co panu mój PESEL?”. Skupiliśmy się więc na zbieraniu podpisów w firmach, u zaprzyjaźnionych przedsiębiorców. Jestem zaangażowany w spółdzielczość mieszkaniową, zbierałem więc w spółdzielniach, w placówkach handlowych… Zauważyłem, że ludzie musieli znać osobę, która zbiera podpisy. Ostatecznie mieliśmy więcej, niż było wymagane, prawie drugie tyle.

Czyli w Krakowie trzeba być zakorzenionym.

– W Krakowie trzeba się mocno zakorzenić, żeby cokolwiek osiągnąć i żeby być zauważonym. Byłem radnym miasta Krakowa od 2002 r., jako bezpartyjny zasiadałem w klubie pana prezydenta Jacka Majchrowskiego Przyjazny Kraków, a od 2010 r. byłem wiceprzewodniczącym rady miasta. Całe życie działam, wśród seniorów, w Stowarzyszeniu Pokolenia, w Nowej Hucie. Jestem prezesem społecznym jednoblokowej spółdzielni mieszkaniowej, pracuję w redakcji „Głosu – Tygodnika Nowohuckiego”, jestem wiceprezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, które prowadzi red. Jerzy Domański…



SŁAWOMIR PIETRZYK

– dziennikarz, samorządowiec związany z Krakowem od ponad czterech dekad, w szczególności z Nową Hutą. Przez ponad 20 lat radny miasta Krakowa, w tym przez 12 lat pełnił funkcję wiceprzewodniczącego rady miasta.

Zna pan wszystkich i pana wszyscy znają.

– Skończyłem prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, moimi kolegami na roku byli Zbyszek Wassermann, Jerzy Jaskiernia i Zbyszek Ćwiąkalski. To się nazywa pluralizm po krakowsku.

Wszystkim przez lata się wydawało, że Kraków jest miastem bardzo stabilnym, że pieczę nad nim sprawuje Jacek Majchrowski. A kiedy Majchrowski odszedł i powstał potworny bałagan.

– Wielu wybitnych polityków próbowało rywalizować z Jackiem Majchrowskim. I kończyło się to porażką.

Walkę o fotel prezydenta Krakowa przegrał z nim Andrzej Duda.

– Byłem świadkiem ich rozmowy. Andrzej Duda mówił: „Łatwiej, panie profesorze, jest wygrać wybory na prezydenta państwa, niż z panem wygrać w Krakowie”. Prof. Majchrowski budził szacunek, był człowiekiem, który wyszedł z lewicy, ale pierwsze, co zrobił, jak został prezydentem, to złożył legitymację. Jako jego współpracownik zrobiłem to samo, bo kiedyś też byłem związany z lewicą. Dziś mieszkańcy Krakowa zachowują prezydenta Majchrowskiego we wdzięcznej pamięci. Sądzę, że coraz bardziej zdają sobie sprawę z jego wartości.

Na czym ta wartość polegała? Na umiejętności dogadywania się?

– Prof. Jacek Majchrowski miał cudowny talent koncyliacji, umiejętność dogadywania się. Kiedyś powiedział mi wprost: „Sławek, ja się potrafię nawet z diabłem dogadać, żeby to było dobre dla mieszkańców”.

I po jego odejściu sprawy się skomplikowały.

– Nie będę wymieniał błędów pana Miszalskiego. Powiem tylko tyle:

eprasa.pl 1a9b1c2625

nie budowało pozycji prezydenta miasta zrzucanie śniegu z dachu magistratu przy muzyce ani sprzątanie mopem korytarza prezydenckiego. Kraków jednak jest miastem konserwatywnym. Prezydent to człowiek, którego darzy się szacunkiem, który ma autorytet. Nie za bardzo więc to wszystko tu pasowało.

Porozmawiajmy o kampanii prezydenckiej.

– Co drugi dzień debata! Niektóre są transmitowane. Sądzę, że dotrą one do ludzi i mieszkańcy zobaczą, kto się na sprawach Krakowa zna, kto będzie pracować dla miasta, a kto chce wyrobić sobie nazwisko pod wybory do Sejmu.

A pan?

– Myślę w kategoriach miasta. Byłem radnym, pracowałem w Komisji Mienia i Mieszkalnictwa oraz w Komisji Infrastruktury. Byłem przez dwie kadencje przewodniczącym Komitetu Audytu dla Gminy Miejskiej Kraków. Znam problemy krakowskie od podszewki.

Które są najważniejsze?

– Przede wszystkim należy uzdrowić finanse miasta. Wiem, jak zwiększyć wpływy, które w ostatnich latach bardzo zmalały. Podam przykład: byłem tym radnym, który inicjował, jeszcze w poprzedniej kadencji prof. Majchrowskiego, rezolucję rady miasta, jeśli chodzi o wprowadzenie opłaty turystycznej. To ważne źródło finansów, na całym świecie z tego korzystają. Ale to nie może być 5 zł, taka kwota jest śmieszna, tyle dzisiaj kosztuje toaleta. W Wenecji czy w innych włoskich miastach to co najmniej 5-6 euro. Uważam, że 10 zł, czyli 2 euro, w Krakowie byłoby w sam raz. I teraz policzmy. Kraków odwiedza 18 mln turystów rocznie. Jeżeli przeliczylibyśmy to przez średnią trzy i pół dnia pobytu, byłoby to ok. 800 mln zł. To są bardzo duże pieniądze, które miastu się należą. Turyści przecież korzystają z komunikacji miejskiej, z całej infrastruktury. Powinni więc ponosić jakieś koszty na rzecz miasta, nie tylko na rzecz hotelarza czy gastronomika.

A inne możliwości?

– Powinniśmy też bardziej energicznie domagać się pieniędzy z budżetu państwa. Nie wiem, czy pan wie, ale edukacja w Krakowie kosztuje 3 mld zł. Z tego my jako miasto dopłacamy 1 mld zł. To są zadania powierzone, które finansujemy z podatków naszych mieszkańców, a to jest obowiązkiem państwa. Ta sprawa jest w sądzie, jest szansa, że coś odzyskamy.

Zadziwia mnie pan. Politycy Koalicji Obywatelskiej wciąż się chwalą, że mogą więcej załatwić w centrali, w Warszawie, bo przecież rządzi ich opcja. Pan Miszalski – kiedyś poseł Koalicji Obywatelskiej, pani Piątkowska – obecna senator KO. I oni muszą załatwiać takie sprawy poprzez sąd?

– Odnoszę wrażenie, że jako członkowie partii rządzącej nie mają śmiałości wystąpić przeciw swoim kolegom w rządzie. Ale ja to zrobię, nie mam skrupułów! Pan Miszalski chwalił się, że chodził do szkoły z Andrzejem Domańskim, że ma wszystkie telefony. Mówiłem mu: „Może i masz, ale co z tego, skoro nie potrafisz niczego załatwić?".

A można coś załatwić?

– Dam prosty przykład. Wiceministrem sportu jest Ireneusz Raś, Nowohucianin. I mamy 50% środków na budowę Hali Wandy, na Grębałowiankę, remont klubu, na zbudowanie nowego boiska na Wolicy, peryferyjnym osiedlu Nowej Huty. Da się!

Trzecie źródło pieniędzy dla miasta, bardzo ważne, to partnerstwo publiczno-prywatne. Zbudowaliśmy teraz tramwaj do Mistrzejowic za ponad 1 mld zł, za pieniądze prywatnego inwestora. I takie inwestycje powinny być prowadzone. Linię buduje konsorcjum. Im to się zwróci, jeszcze na tym zarobią. A my nie wydamy pieniędzy.

Komunikacja miejska – to dziedzina, którą zajmuje się pan od lat.

– Jestem zwolennikiem budowy metra. Wiem, że nie powstanie od razu. Ale trzeba zacząć. Metro powinno być budowane z funduszy zewnętrznych, z pieniędzy Unii Europejskiej. Jestem też zwolennikiem tego, by mieszkańcy Krakowa uzyskali bilet imienny. Chodzi o to, żeby ci, którzy odprowadzają w mieście podatki i mają tzw. kartę krakowską, mogli jeździć za darmo komunikacją miejską. Koszt tej operacji pokryłaby opłata turystyczna. To rozwiązanie odciążyłoby miasto, nie byłoby takich korków, jakie są dzisiaj. A i mieszkańcy mieliby lżej.

Wspomniał pan o lewicy. Jaką ma w Krakowie siłę?

– Lewica jest dość mocna w Krakowie, był nawet czas, że wybieraliśmy tu trzech posłów. Natomiast, niestety, jest podzielona. Jestem z tej starej lewicy i mam poparcie w Stowarzyszeniu Pokolenia, zrzeszającym dawnych działaczy młodzieżowych, do których kiedyś też należałem.

Liczy pan pewnie na poparcie w Nowej Hucie?

– Ile lat tu mieszkałem… Pracuję też w „Głosie – Tygodniku Nowohuckim", który żyje sprawami Nowej Huty. Znam tu każde osiedle. Bardzo mnie cieszy, że Nowa Huta odzyskała blask. Wielu ludzi mówi, że dobrze się tu mieszka, są szerokie, dwupasmowe ulice, dużo zieleni, piękne podwórka, ładne mieszkania. Architektura Nowej Huty, tych pierwszych budynków, nawiązuje do renesansu włoskiego. Prof. Stanisław Juchnowicz, który zmarł kilka lat temu, honorowy obywatel miasta Krakowa, znakomicie nam to wyjaśniał.

Był współautorem jej planu urbanistycznego.

– I to wszystko znakomicie się spisuje do dzisiaj. Tu naprawdę żyje się teraz bardzo dobrze. Były nawet takie tendencje, żeby Nową Hutę z powrotem wydzielić jako odrębne miasto. To pokazuje, że mądra koncepcja, dobrze zrealizowana, może służyć ludziom przez lata.

W gronie faworytów wyborów wymieniany jest Łukasz Gibała, jeden z inicjatorów referendum w Krakowie. Słyszałem o nim taką opowieść, że pożyczył od ojca, bogatego dewelopera, 50 mln zł i powiedział, że zwróci, jak zostanie prezydentem. Nie wiem, czy to jest anegdota, czy coś prawdziwego, i dlatego pytam pana: jak to jest odbierane w Krakowie? Z pensji prezydenta nijak takiej sumy zwrócić się nie da. Zastanawiam się więc, jak zamierza tę obietnicę zrealizować...

– Też się nad tym zastanawiam. ■

FOT. MAREK BEDNARZ/ EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625

Tomasz Śrutkowski laureatem Nagrody im. Henryka Panasa 2026

Marek Książek

Olsztyński dziennikarz i wydawca Tomasz Śrutkowski został laureatem VI edycji Nagrody im. Henryka Panasa, ustanowionej przez oddziały Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej i Związku Literatów Polskich.

Kim jest laureat AD 2026, w środowisku kulturalnym regionu Warmii i Mazur mówić nie trzeba. Jego rodzice przybyli do Olsztyna ze zniszczonej Warszawy i tu właśnie w 1949 r. urodził się ich syn Tomek. Zainteresowany kinem młodzieniec próbował studiować w łódzkiej Filmówce, ale skończyło się na pisaniu recenzji filmowych w „Gazecie Olsztyńskiej". Zajęty był także realizacją filmów dokumentalnych, a także relacjami z pobytu na planie zdjęciowym u Andrzeja Wajdy, np. w czasie kręcenia filmu „Brzezina". Przez wiele lat był dziennikarzem „Gazety Olsztyńskiej", a po transformacji ustrojowej sprawował w niej funkcję redaktora naczelnego. Po kilku latach założył także wydawnictwo Wers, które wydało ok. 140 tytułów.

Nic zatem dziwnego, że spośród nominowanych do wyróżnienia to właśnie Tomasz Śrutkowski zdobył największe uznanie Kapituły Nagrody Panasa. W uzasadnieniu wyboru podano, że statuetkę z wizerunkiem patrona otrzymał „za wieloletnią działalność dziennikarską, filmową i wydawniczą związaną z dokumentowaniem i popularyzacją wiedzy o dziejach, współczesności oraz wybitnych twórcach regionu Warmii i Mazur". 15 września nagrodę laureatowi wręczył członek zarządu województwa Robert Turlej w towarzystwie Jacka Panasa, syna Henryka.

Tomasz Śrutkowski statuetkę otrzymał za działalność związaną z popularyzacją wiedzy związanej z regionem Warmii i Mazur.

Laureatowi gratulowali m.in. Marek Wawrzkiewicz, prezes ZLP i Jerzy Domański, przewodniczący SDRP, redaktor naczelny tygodnika „Przegląd", który podkreślił wagę tej nagrody w środowisku kulturalnym regionu.

W tym roku po raz pierwszy skład Kapituły uzupełnił Mateusz Kossakowski, młody prezes Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Wyróżnienie nabrało więc wymiaru środowiskowego.

Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że Nagroda im. Henryka Panasa po raz szósty została objęta honorowym patronatem marszałka województwa warmińsko-mazurskiego, którym obecnie jest Marcin Kuchciński. Jego poprzednik, Gustaw Marek Brzezin, teraz senator RP, także był obecny na gali.



Tomasz Śrutkowski, laureat VI edycji Nagrody im. Henryka Panasa. Olsztyn, 15 września 2026 r.

Laudację na cześć laureata wygłosił Wiktor Marek Leyk, a obszerny wywiad z redaktorem Śrutkowskim goście gali mogli przeczytać w „Dziennikarzu Olsztyńskim", kwartalniku SDRP.

Konferansjerzy w osobach Katarzyny Leśniowskiej (SDRP) i Jerzego Szczudlika (ZLP) w imieniu organizatorów dziękowali marszałkowi za tradycyjne wsparcie wydarzenia, a prezydentowi Olsztyna za nieodpłatne udostępnienie sali. Prezydent Robert Szewczyk zapewnił równocześnie, że ratusz gotów jest wystąpić w roli gospodarza także przyszłych edycji. Czy tak będzie, przekonają się najdobitniej szefowie oddziałów: Marek Książek (SDRP) i Andrzej Cieślak (ZLP).

I jeszcze jeden dziennikarski akcent: na początku gali Jerzy Domański, prezes SDRP, wręczył honorowe odznaki Stowarzyszenia Dziennikarzy RP trojgu działaczom z Olsztyna: Elżbiecie Szewczenko-Rybak, wieloletniej sekretarz oddziału, aktywnemu członkowi stowarzyszenia Czesławowi Pazerze, byłemu naczelnemu „Gazety Olsztyńskiej" oraz Markowi Książkowi, przewodniczemu oddziału. ■

FOT. ANNA PANAS

eprasa.pl 1a9b1c2625



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Pół wieku KOR

Opowieść o historii jest zawsze opowieścią o teraźniejszości. Wybieramy epizody, bohaterów, punkty widzenia – to, co pomijamy, i to, co uważamy za ważne czy niosące konsekwencje. Niewątpliwie, choć rozumiem, że można z tym polemizować, takim wydarzeniem w najnowszej historii Polski (wówczas PRL) było powstanie Komitetu Obrony Robotników, który po roku przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR.

Za datę „powstania" KOR uważa się 22 września 1976 r., moment wydania pierwszego komunikatu inicjatywy oraz ogłoszenia listy osób, które pod nią się podpisały. Powstanie KOR – pierwszej jawnej, deklarującej bezprzemocowość organizacji opozycyjnej w PRL, było konsekwencją tzw. wypadków w Ursusie i Radomiu w czerwcu 1976 r., czyli protestów społecznych, głównie robotniczych, przeciw podwyżkom cen żywności. Strajki i manifestacje zostały brutalnie spacyfikowane przez władzę, która przez kolejne miesiące namierzała uczestników, sądziła ich i wyrzucała z pracy. Był to również protest i próba pomocy tym wszystkim, którzy ucierpieli w wyniku brutalnych milicyjnych interwencji (przeszły do historii jako „ścieżki zdrowia", polegające na pałowaniu zatrzymanych podczas pędzenia ich między szpalerami funkcjonariuszy).

Wśród inicjatorów powołania komitetu byli Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Jacek Kuroń i Jan Józef Lipski. Wkrótce powstała lista pierwszych sygnatariuszy, do których zaliczali się starsi już, obdarzeni autorytetem społecznym byli działacze PPS: Ludwik Cohn, Edward Lipiński, Antoni Pajdak, Aniela Steinsbergowa, szef Kedywu AK i powstaniec warszawski Józef Rybicki, ks. Jan Zieja, pisarz Jerzy Andrzejewski, Wojciech Ziembiński, aktorka Halina Mikołajska. Do nich dołączyli młodsi aktywiści, niektórzy już po odsiadkach, m.in. Mirosław Chojecki, Bogdan Borusewicz, Wojciech Onyszkiewicz, Adam Michnik. Reprezentantem KOR na Zachodzie był filozof Leszek Kołakowski, pozostający na emigracji od 1968 r.

Powstanie KOR było i zaskoczeniem dla władz, i aktem odwagi cywilnej. Gdzieś w tle istniało wsparcie Aktem końcowym KBWE (1 sierpnia 1975 r.), z którego wynikała Deklaracja zasad rządzących stosunkami między państwami uczestniczącymi oraz Dokument w sprawie środków budowy zaufania oraz niektórych aspektów bezpieczeństwa i rozbrojenia. Za kluczową część Koszyka I Aktu końcowego uważa się:

- katalog zasad obowiązujących w stosunkach międzynarodowych, takich jak suwerenna równość, powstrzymanie się od groźby użycia siły i od jej użycia;
- pokojowe rozstrzyganie sporów;
- nieingerencja w sprawy wewnętrzne;
- poszanowanie praw człowieka i podstawowych wolności;
- równouprawnienie i prawo narodów do samostanowienia;
- wykonywanie w dobrej wierze zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego.

To ustalało, przynajmniej formalnie, nowe reguły czasów zimnej wojny.

Powstanie KOR było, można tak to nazwać, politycznym trzęsieniem ziemi. Za nim pojawił się tzw. drugi obieg, czyli ruch wydawniczy poza cenzurą. Po latach powstała interpretacja, że bez KOR nie byłoby zrywu sierpnia 1980 r. na Wybrzeżu, gdzie w organizację strajku zaangażowany był Borusewicz, ani niezależnego ruchu związków zawodowych. Dalej Solidarność i jej słabnąca, ale nieprzerwana po wprowadzeniu stanu wojennego aktywność zaowocowała przełomem obrad Okrągłego Stołu. Potem wyborami czerwcowymi i nadejściem przełomu transformacyjnego, którego realne impulsy pochodziły ze zmian pierestrojkowych Gorbaczowa. Analityczny rozbiór tych zależności jest atrakcyjnym wyzwaniem dla historyków i publicystów – to bynajmniej nie jest zamknięta karta historii.

Znaczące postacie inicjatywy KOR-owskiej odegrały ważną rolę w procesie transformacji ustrojowej, choć można zauważyć, że dominujące zadania realizowali przedstawiciele świata niezależnej, zbuntowanej inteligencji, a nie NSZZ Solidarność. Być może tu właśnie otwiera się największa przestrzeń do krytycznej refleksji nad fenomenem kolejnych etapów demokratycznej opozycji i jej wpływu na kształt polityczny Polski po 1989 r. Nie zawsze jest to ocena pozytywna, żeby wspomnieć głosy profesorów Karola Modzelewskiego czy Tadeusza Kowalika, który pisał: „Brawurowe wejście na drogę powrotu do kapitalizmu zaprzeczało programowi »Samorządnej Rzeczpospolitej«, uchwalonemu na I Zjeździe NSZZ Solidarność; zaprzeczało porozumieniom Okrągłego Stołu; zaprzeczało deklaracji, z jaką do wyborów szedł Lech Wałęsa!". To były jednak głosy marginalne w tyglu bezkrytycznej fascynacji „nowym".

Czy urodziny KOR staną się pretekstem do pogłębionej, krytycznej debaty o źródłach narodzin „nowego, kapitalistycznego świata" na gruzach 10-milionowego związku zawodowego? Chciałbym, aczkolwiek… I tylko przykro patrzeć na dzisiejszą błazeńską aktywność Macierewicza, ważnej osoby dla tej historii sprzed dekad.

A Komitetowi – wielkie dzięki. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1a9b1c2625

Krwawe żniwa

Dlaczego polscy rolnicy wciąż giną przy pracy?

Marek Czarkowski

Na początku lipca 2026 r. w miejscowości Kików w województwie świętokrzyskim doszło do tragedii. W trakcie prac polowych przygnieciona przez ciągnik rolniczy zginęła 14-letnia dziewczynka. W chwili zdarzenia na polu obecni byli jej 52-letni ojciec oraz 16-letni brat. Przed przybyciem ratowników i policjantów dziecko zostało wyciągnięte spod maszyny. Próby reanimacji podjęte przez ojca nic nie dały. Można by rzec, zdarzenie typowe – rolnik z dziećmi pracował w polu, tak jak jego dziad i pradziad. Gdyby nie straszny dramat, można byłoby mówić o rodzinnej idylli, przywiązaniu do ziemi i wielowiekowej tradycji.

W nocy z 9 na 10 sierpnia 2026 r. w gminie Chełm na Lubelszczyźnie 24-letni mężczyzna prowadził ciągnik podczas orki. Z niewyjaśnionych powodów maszyna wpadła do rowu melioracyjnego. Przygnieciony przez nią młody rolnik poniósł śmierć na miejscu.

Niestety, takie sytuacje od lat powtarzają się z niepokojącą regularnością.

Pod koniec lutego br. w Piotrowej, w województwie opolskim, podczas wykonywania prac w jednym z gospodarstw rolnych, życie stracił mężczyzna przygnieciony przez ciągnik oraz podpiętą do niego maszynę.

Na polskiej wsi ciągnik jest narzędziem pracy, środkiem transportu i maszyną używaną od dekad. Niestety, bywa też śmiertelną pułapką.

W Sieniawie w 2020 r. 47-letni mężczyzna zginął, gdy ciągnik z przyczepą wywrócił się na wzniesieniu. W Porębie życie stracił 75-latek pracujący ciągnikiem przy usuwaniu korzeni. 3 października 2022 r.



Policja i KRUS ciągle odnotowują wypadki z udziałem ciągników rolniczych. Zielona Góra, 27 maja 2026 r.

eprasa.pl 1a9b1c2625

w Woli-Chojnacie w województwie łódzkim 67-letni rolnik kierujący ciągnikiem Ursus C-360 zginął podczas prac przy wyrywaniu korzeni drzew owocowych.

W 2019 r. w Czekarzewicach Drugich w powiecie opatowskim 65-letni rolnik zginął, gdy prowadzony przez niego Ursus C-360 z przyczepą rzepaku przewrócił się na drodze powrotnej z pola. Do zdarzenia doszło podczas zjazdu z niewielkiego wzniesienia – na zakręcie prowadzący stracił panowanie nad zestawem. Ciągnik wjechał na teren posesji, przyczepa zahaczyła o narożnik domu, po czym traktor przewrócił się i przygniótł mężczyznę. Świadkowie wydobyli go spod maszyny oraz wezwali pomoc, lecz obrażenia okazały się śmiertelne

Nie ma jednolitego krajowego rejestru wszystkich tego typu wypadków. W 2024 r. KRUS odnotował 90 wypadków zakończonych odszkodowaniem w kategorii przejechania, uderzenia lub pochwycenia przez środek transportu w ruchu, w tym 12 śmiertelnych.

Policja z kolei zarejestrowała 88 wypadków drogowych z udziałem ciągników rolniczych, w których zginęło 19 osób, a 85 zostało rannych.

Śmiertelne żniwo zbierają w rolnictwie nie tylko ciągniki. 27 sierpnia br. doszło do tragicznego wypadku na terenie gminy Drelów. Ze wstępnych ustaleń wynika, że 62-letni rolnik w trakcie prac polowych na łące, polegających na belowaniu siana, chcąc najprawdopodobniej oczyścić maszynę, użył ręki, by ją udrożnić. Poniósł śmierć na miejscu.

17 marca 2026 r. w Baszkowie w Wielkopolsce 71-letni mężczyzna pracujący przy ciągniku z podłączonym rozrzutnikiem został dosłownie zmiażdżony, gdy pochwycił go element napędu – opisywany jako wał odbioru mocy.

6 grudnia 2025 r. w Dydyni w województwie podkarpackim doszło do podobnej tragedii – 65-letni gospodarz został wciągnięty przez wał odbioru mocy i mimo podjęcia prób reanimacji zmarł.

W ubiegłym roku do Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego zgłoszono 8 631 zdarzeń wypadkowych w rolnictwie. 8111 z nich kasa uznała za wypadki przy pracy rolniczej. 40 wypadków było śmiertelnych.

To nieco lepiej niż rok wcześniej, gdy do KRUS zgłoszono 9930 takich wypadków. I znacznie lepiej niż np. w roku 1993, gdy do ubezpieczyciela zgłoszono 65 936 wypadków, do jakich doszło w gospodarstwach rolnych, z czego 286 było śmiertelnych.

Należy przy tym pamiętać, że na początku lat 90. w polskim rolnictwie pracowało ok. 4-5 mln osób – natomiast w roku 2025 dane GUS wykazywały już tylko ok. 0,9-1,0 mln pracujących w indywidualnych gospodarstwach rolnych.

Uwaga dzieci!

Od 2004 r. dzieci nie są bezpośrednio objęte ubezpieczeniem KRUS z tytułu pracy w gospodarstwach rolnych. Intencje polityków były szlachetne – chodziło o ograniczanie pracy dzieci. Jednak skutek uboczny tej decyzji okazał się brutalny. Wypadki na wsi z udziałem dzieci pojawiały się w materiałach policji, szpitali lub ubezpieczycieli, lecz niekoniecznie w podstawowej statystyce KRUS.

Kasa ma wykaz prac zakazanych dla osób poniżej 16. roku życia. Są to m.in.: prowadzenie ciągników, obsługa pras i kombajnów, przebywanie w strefie pracy maszyn, sprzęganie urządzeń mechanicznych, kontakt z dużymi zwierzętami, praca na wysokości i przy środkach ochrony roślin.

Taka lista jest potrzebna, lecz nie tworzy barier, które chroniłyby dzieci przed pracą w gospodarstwach rolnych, zwłaszcza że od wieków pracowały na roli wraz z rodzicami. Konsekwencje tej pracy dla najmłodszych bywają jednak tragiczne.

25 sierpnia 2014 r. w miejscowości Czerwone w województwie podlaskim, w gospodarstwie rolnym zginęła sześcioletnia dziewczynka, która — według relacji lokalnego serwisu – znalazła się pod kołami poruszającej się maszyny rolniczej.

W marcu br. w województwie podkarpackim mężczyzna wraz z synem wykonywali prace w lesie z użyciem ciągnika rolniczego. W pewnym momencie, z nieustalonych przyczyn, ciągnik przewrócił się na bok. Obydwaj spadli z pojazdu. Dziesięcioletni chłopiec doznał poważnych obrażeń w okolicach brzucha.

18 marca na drodze gruntowej we wsi Budzisław w województwie kujawsko-pomorskim 67-letni mężczyzna przewoził dwoje wnucząt w wieku 7 i 10 lat w… łyżce ładowarki teleskopowej! W trakcie przejazdu 7-letni chłopiec wypadł z niej, a następnie został najechany przez jedno z kół pojazdu. Z uwagi na odniesione obrażenia malec został zabrany przez załogę śmigłowca Lotniczego Pogotowia Ratunkowego i trafił do szpitala w Bydgoszczy. Kierowca ładowarki był trzeźwy.

W ub.r. w Gródku przy napędzie opryskiwacza zginął 2-latek. Kto tak małe dziecko zostawia bez opieki? W marcu br. w Czermnej podczas prac leśnych 10-latek spadł z wywracającego się ciągnika i doznał ciężkich obrażeń. W Rytelach-Olechnach 4-latek został przysypany zbożem podczas jego rozładunku.

Opisane przypadki są dowodem na to, że dzieci w Polsce nadal trafiają do stref maszyn, napędów, ładunków i zwierząt. Ale wykaz urazów, zgonów, hospitalizacji i ewentualnych wyników postępowań związanych z tego typu wypadkami jest w Polsce niepełny. Działania edukacyjne od lat prowadzone przez KRUS, których celem jest uświadomienie zagrożeń związanych z pracą dzieci w gospodarstwach rolnych i skłonienie rodziców oraz opiekunów do przestrzegania zasad BHP oraz obowiązującego prawa, dają efekty, lecz wciąż są niewystarczające.

W 2024 r. KRUS odnotował 90 wypadków w kategorii przejechania, uderzenia lub pochwycenia przez środek transportu w ruchu, w tym 12 śmiertelnych.

FOT. NEWSLUBUSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625

Na szczęście wiemy wystarczająco dużo, by przestać mówić o fatum. Wiemy, że ciągniki się wywracają. Wiemy, że wały odbioru mocy porywają ludzi. Wiemy, że prasy wciągają ofiary, a rozjuszone byki zabijają gospodarzy. I najważniejsze – wiemy, że dzieci nigdy nie powinny znajdować się obok pracujących maszyn.

Znamy zagrożenia znacznie lepiej niż kiedykolwiek i potrafimy je w dużej mierze neutralizować. Pytanie brzmi – czy państwo jest w stanie wyeliminować wypadki w rolnictwie, zwłaszcza te z udziałem dzieci?

Sektor ryzyka

Według danych Eurostatu rolnictwo pozostaje jedną z najniebezpieczniejszych grup działalności zawodowej i ustępuje jedynie górnictwu. W analizie przygotowanej przez ten urząd dla Parlamentu Europejskiego w roku 2021 wskaźnik wypadków śmiertelnych w unijnym rolnictwie wynosił 4,5 na 100 tys. pracujących. Był zatem 2,6 razy wyższy od średniej dla pozostałych sektorów gospodarki, wynoszącego 1,8 na 100 tys. pracujących.

We wsi Budzisław w województwie kujawsko-pomorskim 67-letni mężczyzna przewoził dwoje wnucząt w wieku 7 i 10 lat w… łyżce ładowarki teleskopowej!

Wypadki w gospodarstwach rolnych rzadko są konsekwencją pojedynczej awarii. Częściej wynikają ze splotu różnych okoliczności: pracy w pośpiechu, w pojedynkę, z przemęczenia, braku osłon, rutyny oraz wielofunkcyjności maszyn.

Rolnik jest jednocześnie kierowcą, operatorem, mechanikiem, organizatorem pracy i właścicielem gospodarstwa. W małej firmie lub na etacie część tych obowiązków byłaby rozdzielona.

Europejska Agencja Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy wymienia osiem głównych grup śmiertelnych zagrożeń w rolnictwie: wypadki transportowe – zwłaszcza przejechanie, potrącenie lub wywrócenie pojazdu; upadki z wysokości, uderzenia przez przedmioty ruchome albo spadające, utonięcia i uduszenia w zbiornikach, silosach lub gnojowicy, kontakt ze zwierzętami, pochwycenie przez ruchome elementy maszyn, zasypanie lub przygniecenie przez zawaloną konstrukcję, a także porażenie prądem.

W polskiej praktyce dominują trzy rodzaje zdarzeń:

- przewrócenia ciągnika, przejechania i przygniecenia ofiar przez pojazd albo maszynę;
- pochwycenia przez wał odbioru mocy, wały przegubowo-teleskopowe, prasy, rozrzutniki, sieczkarnie i inne urządzenia z elementami obrotowymi;
- upadki osób – z drabin, przyczep, dachów, maszyn, schodów, podestów i nierównego terenu.

Okazuje się, że ryzyko technologiczne nie znika wraz z zakupem nowych maszyn i urządzeń. Przeciwnie – większa moc i wydajność sprzętu zwiększają konsekwencje błędu.

Cyfryzacja, automatyczne prowadzenie ciągników i kombajnów, czujniki oraz rolnictwo precyzyjne mogą ograniczać część zagrożeń, ale tworzą też nowe: zależność od oprogramowania, trudniejsze procedury serwisowe, pracę przy urządzeniach zautomatyzowanych i niebezpieczeństwo nadmiernego zaufania do systemów wspomagających.

Europejska Agencja Bezpieczeństwa i Zdrowia w Pracy podkreśla, że zmiany klimatu: upały, susze, gwałtowne opady i presja na szybkie wykonanie prac w krótkich „oknach pogodowych" dodatkowo zwiększają zmęczenie, pośpiech i podnoszą ryzyko błędu.

Polskie rolnictwo na tle Europy nie wypada źle. Od 1993 r. zanotowaliśmy duży spadek rejestrowanej wypadkowości. Także liczba rejestrowanych wypadków śmiertelnych – 3,8 na 100 tys. ubezpieczonych w KRUS – jest niższa niż przywoływana dla Unii Europejskiej wartość 4,5 na 100 tys. pracujących w rolnictwie w roku 2021.

Jednak polskie rolnictwo ma cechy, które utrudniają ograniczenie ryzyka. Przede wszystkim wyróżnia je duża liczba relatywnie małych gospodarstw rodzinnych.

Komisja Europejska wskazuje, że krajowa polityka rolna kieruje istotne wsparcie właśnie do małych i średnich gospodarstw.

Program wsparcia dla gospodarstw do 5 ha, który obejmuje nad Wisłą ponad 300 tys. rolników i ich rodzin nie budzi w Brukseli wielkiego entuzjazmu. Urzędnicy Komisji Europejskiej oceniają, że jest on nieopłacalny z punktu widzenia ekonomicznego, a także niezapewniający bezpieczeństwa, gdyż tego typu gospodarstwa prowadzą często osoby starsze, bardziej narażone na wypadki, mniej zainteresowane ich modernizacją.

Rodzinny model jest społecznie ważny, lecz z perspektywy BHP oznacza brak wyraźnej granicy między domem a zakładem pracy. Na terenie gospodarstw rolnych przebywają przecież dzieci, seniorzy i osoby nieuczestniczące formalnie w pracy. A ta bywa wykonywana nieregularnie, często w pojedynkę, natomiast naprawy maszyn prowadzone są „na szybko", bez odłączania napędu. To właśnie w tej przestrzeni ma miejsce wiele najcięższych wypadków.

Kluczowym celem nie tylko polskiej polityki bezpieczeństwa powinno być przesunięcie ciężaru z ogólnej edukacji ku interwencjom technicznym i organizacyjnym. Działania takie winny objąć skuteczną kontrolę osłon wałów odbioru mocy, blokad rozruchu, kabin i ram ochronnych ciągników. Powinien być wprowadzony obowiązek wyłączania napędu przed usuwaniem zatorów, wprowadzenia bezpiecznych stref dla dzieci oraz szkolenia skupione na realnych pracach sezonowych.

Ważne jest też dotarcie do małych gospodarstw, dla których wymiana starego sprzętu, profesjonalny serwis i formalne procedury bywają kosztowne i są traktowane jako zbędny wydatek. Choć to się pewnie prędko nie zmieni.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 1a9b1c2625



Ciekawą i niepozbawioną szans kandydatką na sekretarza generalnego ONZ jest Maria Fernanda Espinosa.

Od nowa zjednoczeni

Kto będzie kolejnym sekretarzem generalnym ONZ i przygotuje organizację do nowych czasów?

Mateusz Mazzini

Jedną z najbardziej widocznych dzisiaj przywar natury ludzkiej jest tendencja do przedstawiania przeszłości – zwłaszcza tej, w której miało się udział – w bardzo romantycznej formie. Ulegają temu szczególnie zachodni liberalni intelektualiści, przeżywający coś na kształt zespołu stresu pourazowego z powodu rozpadu powojennego globalnego porządku. W rezultacie wspominają to, czego byli częścią przez ostatnich kilkadziesiąt lat, zapominając rzeczy złe i wyolbrzymiając dobre. W praktyce sojusz euroatlantycki nigdy nie był ani w pełni harmonijny, ani symetryczny, ani pokojowy.

Tak samo zresztą było z porządkiem liberalnym po 1989 r., w erze spłyconej interpretacji „końca historii" Francisa Fukuyamy. W pamflecie z późnych lat 80. wbrew pozorom nie sugerował on, że wszyscy dojdziemy do horyzontu zdarzeń, którym będzie liberalna demokracja, stawiając tym samym kropkę w ludzkich dziejach. Wręcz przeciwnie, o czym Fukuyama przypomina w wydanej niedawno autobiografii „In the Realm of the Last Man" – alarmował, że jeśli koniec historii nastąpi, przyniesie dekadencką i nihilistyczną nudę, która grozić będzie ujawnieniem się kolejnych destruktywnych dynamik międzyludzkich. Dlatego osoby komentujące jego „Koniec historii" zawsze trzeba pytać, czy doczytały książkę do końca.

To ważny wstęp – tłumaczy problemy ze zrozumieniem kryzysu, w którym znalazła się Organizacja Narodów Zjednoczonych. Jej kłopoty, strukturalne i polityczne, nie są żadną tajemnicą. Po powrocie Donalda Trumpa do władzy Stany Zjednoczone na dobre odwróciły się od samej idei multilateralizmu, a co za tym idzie – od zaangażowania się, także finansowego, w instytucje wielostronne. Dlatego łatwo wpaść w pułapkę poznawczą i przyjąć, że ONZ jest w kryzysie, bo ruch MAGA odciął kroplówkę finansową i zamroził wsparcie humanitarne w postaci inicjatyw USAID. To fałszywa ocena. Każe myśleć, że przed nadejściem Trumpa, nawet tego pierwszego, wszystko w ekosystemie ONZ

FOT. UN PHOTO/ MARK GARTEN

eprasa.pl 1a9b1c2625

działało co najmniej dobrze. A to prawdą nie jest.

Mit przeszłości

Łatwo jest podchodzić do historii ONZ romantycznie. Wspominać pierwszych, wielkich sekretarzy generalnych, którzy gasili kolejne pożary wybuchające w podzielonym na trzy części świecie. Prawda wygląda zaś tak, że ich sprawczość zawsze była umiarkowana, chociażby z powodu ograniczonego wpływu na decyzje dwóch zimnowojennych mocarstw – USA i ZSRR. Dobrze ilustruje to wywiad, którego niedawno w podkaście Gideona Rachmana z „Financial Timesa" udzielił Thant Myint-U, wnuk U Thanta, sekretarza generalnego ONZ z lat 1961-1971. Utyskiwał on, że dzisiaj nikt nie pamięta roli, jaką odegrał jego dziadek w deeskalacji w czasie kryzysu kubańskiego, że wszyscy przypisują sukces prezydentowi Kennedy'emu i jego ludziom. Problem w tym, że gdyby ONZ funkcjonowała zgodnie ze swoim założeniem i mandatem – co także nie było do końca winą U Thanta – do tego kryzysu w ogóle by nie doszło, dlatego że USA i ZSRR powinny prowadzić dialog na forum Rady Bezpieczeństwa.

Jednocześnie nie można umniejszać wpływu ONZ na ogólny obraz ostatnich 80 lat. Organizacja powstała po to, by odebrać ludzkości możliwość wpędzenia się w kolejną wojnę światową – i na razie udało się taki stan utrzymać. Nie doszło również do konfrontacji nuklearnej, choć proliferacji broni jądrowej reżim wielostronny nie zatrzymał. Rakiet jest więcej, podobnie jak krajów posiadających tę broń. Gigantyczne postępy poczyniono w kwestiach, które w Karcie Narodów Zjednoczonych były mniej uwypuklone, takich jak dostęp do edukacji, wyrównywanie szans rozwojowych chłopców i dziewczynek, zdrowie publiczne. Poza tym ONZ, z pomocą wielu różnych organizacji wywodzących się z jej ekosystemu, stała się największym na świecie zbieraczem i agregatorem danych, o czym też mówi się bardzo mało. Tymczasem o wielu rzeczach dziejących się w społeczeństwach Afryki, Azji czy Ameryki Łacińskiej wiemy dzięki temu, że istnieje ONZ, która te społeczeństwa w różny sposób bada. Rządy tych państw mają za mało zasobów i zdolności instytucjonalnych, żeby bezpośrednio analizować sytuację w edukacji czy zdrowiu publicznym. Robią to za nie Narody Zjednoczone, dzięki czemu wszyscy wiemy lepiej, co faktycznie dzieje się na naszej planecie.

ONZ nie ucieknie jednak przed skutkami upływu czasu. Podobnie jak NATO, wspólnoty europejskie czy inne organizacje powojenne powstała w erze, która nie wróci, na potrzeby świata, którego już nie ma. Kiedy tworzono tę organizację, państwa narodowe były fundamentem nowego globalnego ładu, co wielokrotnie podkreślali historycy XX w., np. Brytyjczyk Timothy Garton Ash. Wtedy rząd był wszechmocny, mógł rozwiązywać wszelkie problemy swoich obywateli. Dzisiaj, w porównaniu z końcem lat 40., zmieniło się wszystko: natura demokracji, proporcje demograficzne zachodnich społeczeństw, forma wymiany informacji między ludźmi. Głupotą byłoby zakładanie, że nie zmieni się natura ani forma działania państw narodowych. Teraz mogą mniej, ustępują pola korporacjom, tracą kontrolę nad zasobami analogowymi i wirtualnymi. Do takiego świata ONZ przystosowana nie jest.

Jeśli dodać do tego fakt, że niebezpiecznie zbliżamy się do progu wojny światowej – w rozumieniu jej zasięgu geograficznego – widać, że aby ta organizacja przetrwała i miała sens, musi się dynamicznie zmienić. Już teraz można spokojnie zbudować argument teoretyczny o autostradzie do III wojny światowej. Prof. Paul Poast z University of Chicago twierdzi nawet, że z powodu wojen w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie oraz jawnej współpracy strategicznej Chin, Rosji, Iranu i Korei Północnej pokonaliśmy już dwie trzecie tej drogi – brakującym elementem byłby konflikt Chin i Tajwanu, który może nadejść w 2027 r. Jeśli ONZ chce dorównać mitowi własnej przeszłości i zapobiec kolejnemu globalnemu konfliktowi, musi przejść radykalną transformację. A stanie się to wyłącznie pod przywództwem kogoś, kto będzie miał odwagę zmienić wiele, może nawet wszystko.

Kto wygra wyścig?

Druga i ostatnia kadencja obecnego sekretarza generalnego, Portugalczyka Antónia Guterresa, dobiegnie końca 31 grudnia. Do tego dnia Rada Bezpieczeństwa w pełnym, 15-państwowym składzie musi wyłonić jego następcę. Nie jest powiedziane, że to się uda, bo oczywistego faworyta w tej chwili brak. Do niedawna wydawał się nim Argentyńczyk Rafael Grossi, kierujący obecnie Międzynarodową Agencją Energii Atomowej (MAEA). Jeszcze wiosną tego roku w kręgach dyplomatycznych, głównie europejskich, słyszało się, że wygraną może mieć w garści – także dlatego, że był kandydatem możliwym do zaakceptowania przez Amerykanów i MAGA. Z polskiego MSZ też dochodziły głosy, że Grossi jest dobrym wyborem, nawet jeśli Polska w bieżącym rozdaniu nie ma rotacyjnego miejsca w Radzie Bezpieczeństwa i nie będzie brała czynnego udziału w jego nominowaniu na stanowisko sekretarza generalnego. Wszystko jednak się zmieniło przez amerykańskie awanturnictwo na Bliskim Wschodzie i nikomu niepotrzebną wojnę z Iranem, w teorii rozpętaną z powodu irańskiego programu nuklearnego. Grossi oberwał rykoszetem, również od społeczności międzynarodowej, bo nie był w stanie tej eskalacji powstrzymać. Czy w ogóle był w stanie – to już

Sprawczość ONZ zawsze była umiarkowana, chociażby z powodu ograniczonego wpływu na decyzje dwóch zimnowojennych mocarstw – USA i ZSRR.

eprasa.pl 1a9b1c2625

inna sprawa, prawdopodobnie nie. Wiadomo dzisiaj, chociażby z przecieków opublikowanych w „New York Timesie", że Trumpa na wojnę namówił Beniamin Netanjahu, od czasów Ronalda Reagana szukający amerykańskiego prezydenta gotowego wesprzeć go w tej krucjacie. Rezultat był taki, że Iran przestał się zgadzać na kontrole MAEA, wzbogacony uran gdzieś zniknął i nie wiadomo, jaki jest status tamtejszego programu nuklearnego.

Jak wylicza specjalistyczny portal Geneva Solutions, opisujący wydarzenia w instytucjach ONZ, w tej chwili rozważanych jest ośmioro kandydatów. Tradycja i zasady rotacyjne nakazywałyby przyznanie tej funkcji komuś z Ameryki Łacińskiej – i akurat to kryterium Rafael Grossi spełnia. Coraz częściej mówi się jednak, że wygrać w tym roku powinna kobieta, a kandydatek jest sporo. Gdyby to miał być czynnik decydujący, Grossi zostanie odesłany na koniec kolejki.

Daniel Safran-Hon, analityk zajmujący się polityką wewnątrz ONZ, zauważa w rozmowie z Geneva Solutions, że obecna sytuacja jest bardzo nietypowa. Trzech ostatnich sekretarzy generalnych – Kofi Annan, Ban Ki-moon i Guterres – było faworytami od pierwszego tajnego, niewiążącego głosowania. Przed ostatecznym wyborem państwa zasiadające w Radzie Bezpieczeństwa – piątka z prawem weta oraz 10 członków rotacyjnych – przeprowadzą tajne głosowanie konsultacyjne. O sile kandydata świadczyć będzie uzyskanie 9 na 15 głosów ale – jak twierdzi Safran-Hon – nikt do tego poziomu na razie się nie zbliżył. To może sugerować, że taki pat potrwa aż do grudnia i w nowy rok wejdziemy bez sekretarza generalnego.

Grossi jest w coraz gorszej sytuacji, bo podpadł już dwóm członkom Rady mającym prawo weta. Rosjanie go nie chcą, dlatego że ich zdaniem źle zarządza sytuacją wokół regularnie ostrzeliwanej ukraińskiej elektrowni w Zaporożu – za dużo mówiąc o Ukrainie i jej potrzebach. Z kolei to, co miało być magnesem dla Trumpa, czyli oficjalne wsparcie od rządu Javiera Mileia, staje się problemem dla Wielkiej Brytanii. Rząd Andy'ego Burnhama odważył się niedawno nałożyć sankcje na Izrael, a Milei to największy sojusznik Netanjahu w Ameryce Łacińskiej. Zasada naczyń połączonych działa więc na niekorzyść Grossiego.

Espinosa i Ordo Iuris

Jeśli zatem nie on, to kto? Amerykanie stali się całkowicie nieprzewidywalni, mogą na ostatniej prostej wystawić naprawdę szaloną kandydaturę, kogoś takiego jak szef FIFA Gianni Infantino albo pełniący funkcję wysokiego przedstawiciela ds. Strefy Gazy w Radzie Pokoju Nikołaj Mładenow. Ambicję sięgnięcia po to stanowisko mają też lewicowe polityczki z Ameryki Łacińskiej. Była prezydent Chile Michelle Bachelet byłaby trudna do zaakceptowania przez USA z powodu nowej amerykańskiej polityki wobec regionu. Waszyngton promuje obecnego prezydenta, ultrakonserwatystę José Antonia Kasta, Bachelet jest zaś jego ideologicznym przeciwieństwem.

Ciekawą i niepozbawioną szans kandydatką jest natomiast Maria Fernanda Espinosa, była szefowa ministerstw spraw zagranicznych i obrony w lewicowo-populistycznym ekwadorskim rządzie Rafaela Correi. Z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że Waszyngton byłby w stanie poprzeć taką kandydaturę – także dlatego, że Ekwador waży mniej niż Chile bądź inne kraje regionu.

I tu pojawia się ciekawy wątek polski. Dość agresywną, upolitycznioną kampanię internetową przeciwko Ekwadorce prowadzi Ordo Iuris. Na stronie organizacji można przeczytać, że Espinosa jest „radykalną feministką realizującą program proaborcyjny", stojący w sprzeczności z prorodzinną polityką rządu Stanów Zjednoczonych. Wiadomo powszechnie, że Ordo Iuris jest organizacją sprzymierzoną z Heritage Foundation, prawie satelicką wobec tego zaplecza intelektualnego Trumpa i MAGA. Nie za bardzo z kolei wiadomo, dlaczego Polska miałaby się przejmować tym, że kandydatka na szefową ONZ działa przeciwko celom rządu USA. Już samo to sformułowanie każe zadać bardzo poważne pytania o serwilizm polskiej prawicy względem ludzi Trumpa.

W rozmowie z „Przeglądem" przedstawiciele sztabu kampanijnego Espinosy wyrazili zdziwienie na wieść o działaniach Ordo Iuris. Byli nimi mocno zaskoczeni, bo nie do końca mają nawet świadomość, czym ta organizacja jest i czym się zajmuje.

> Gigantyczne postępy poczyniono w takich kwestiach jak dostęp do edukacji, wyrównywanie szans rozwojowych chłopców i dziewczynek, zdrowie publiczne.

Bez względu na to, kto ostatecznie wygra ten wyścig, ONZ stanie przed wyzwaniem napisania na nowo zasad swojego funkcjonowania. Cięcia finansowe, relokacja (także w wyniku oszczędności) części personelu z Genewy do Afryki czy nawet zamknięcie niektórych instytucji to agenda na dzisiaj, jutro może być znacznie gorzej. Budżet całej ONZ na 2026 r. wynosi 3,45 mld dol., o 7% mniej niż rok wcześniej. Dla porównania – amerykański Departament Stanu ma do dyspozycji ponad 50 mld dol. rocznie. Bez amerykańskiego wsparcia kryzys finansowy się pogłębi, nie widać też szans na reformę Rady Bezpieczeństwa. Co jednak nie znaczy, że ONZ jest instytucją zombie. Nie jest i nie musi być. Może zrezygnuje z roli sworznia porządku międzynarodowego i zacznie po prostu pracować na równi z państwami i korporacjami. Być może odpuści ochronę prawa międzynarodowego, bo i tak nie ma do tego narzędzi. Albo wybuchnie gigantyczny globalny kryzys, który znowu zbierze wszystkich pod parasolem jednej idealistycznej organizacji. Dziś naprawdę nic nie jest nierealne.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 1a9b1c2625

Lewica zjednoczona, ale słaba

Po 80 latach holenderska Partia Pracy przestała istnieć

Łukasz Koterba
Korespondencja z Holandii

Tę anegdotę zna chyba każdy, kto interesuje się historią Holandii. Po II wojnie światowej do Hagi przyjeżdża amerykańska delegacja, a premier Willem Drees przyjmuje gości w mieszkaniu. Poczęstunek? Herbata i herbatniki. Amerykanie są tak przejęci biedą powojennej Holandii i oszczędnością premiera, że kraj dostaje olbrzymią pomoc w ramach planu Marshalla.

Tyle legenda. Według historyków niewiele w niej się zgadza, np. Drees został premierem dopiero w 1948 r. Faktem natomiast jest skromność Dreesa i to, że zmarły w 1988 r. (w wieku 101 lat!) polityk pozostaje do dziś jednym z najpopularniejszych premierów Holandii. A także symbolem tutejszej lewicy – wrażliwej społecznie, ale pragmatycznej.

To właśnie on położył podwaliny holenderskiego państwa opiekuńczego. Wprowadzona za jego rządów (1948-1958) państwowa emerytura AOW (Algemene Ouderdomswet) wciąż istnieje. Między innymi dzięki niej tutejszy system emerytalny uchodzi za jeden z najlepszych na świecie.

Co więc pomyślałby Drees 1 lipca 2026 r.? Tego dnia Partia Pracy (Partij van de Arbeid), której był jednym z pierwszych liderów, przestała istnieć. Założona w 1946 r. PvdA połączyła się z Zieloną Lewicą (GroenLinks) i tak powstała Progresywna Holandia (Progressief Nederland, PRO).

Timmermans nie pomógł

Niektórzy działacze PvdA nie chcieli tej fuzji. I nie chodziło tylko o przywiązanie do tradycji i nazwy – pojawiały się też obawy co do kursu. Partia Pracy była partią robotników, a później też klasy średniej. Jako typowa europejska socjaldemokracja adresowała swój przekaz do masowego wyborcy, w tym do grup wykluczonych: ekonomicznie, społecznie i kulturowo. Czy łącząc się z Zielonymi, popularnymi wśród wykształconych mieszkańców dużych miast, nie oderwie się jeszcze bardziej od korzeni? Dawny robotniczy elektorat socjaldemokracji już od jakiegoś czasu chętnie głosuje na populistyczną prawicę. Potencjalni wyborcy lewicy – sugerowano – bardziej niepokoją się drożyzną i napływem uchodźców niż zbrodniami w Gazie i prawami osób transpłciowych. Ta fuzja to „prezent dla prawicy", pisał w dzienniku „NRC" politolog Jouke Huijzer.

W Holandii bezrobotny nawet przez dwa lata może dostawać zasiłek w wysokości 70% dawnej pensji, a przez pierwsze dwa miesiące 75%.

Jednak większość członków obu partii uznała inaczej. Za fuzją zagłosowało w ubiegłym roku 88% członków PvdA i 89% GroenLinks. W głosowaniu delegatów na kongresie zjednoczeniowym rok później liczby te były jeszcze wyższe.

Zjednoczenie przygotowywano od dawna. Zanim w lipcu oficjalnie powstała PRO, obie partie od kilku lat wystawiały wspólne listy wyborcze. Od 2023 r. liderem koalicji PvdA-GroenLinks był Frans Timmermans. W przedterminowych wyborach jesienią 2025 r. lewica liczyła na przełom. Po upadku słabego, skłóconego rządu Dicka Schoofa wydawało się, że władza jest na wyciągnięcie ręki. Wspólna lista, znany lider, rozczarowanie prawicowym gabinetem – to miało dać zwycięstwo, a Timmermansa wprowadzić do gabinetu premiera.

Stało się inaczej. Na fali rozczarowania prawicowo-populistycznym eksperymentem, jakim był rząd Schoofa, popłynął Rob Jetten – młody lider centrowego, proeuropejskiego ugrupowania D66. Partia Jettena minimalnie wygrała (16,9%) z antyislamską PVV populisty Geerta Wildersa (16,7%).

Koalicja Zielonej Lewicy z Partią Pracy zdobyła niespełna 13% głosów, ustępując również liberalno-prawicowej VVD (14%) byłego premiera Ruttego, teraz sekretarza generalnego NATO. Doświadczony, ale demonizowany przez prawicę Timmermans nie porwał tłumów i zrezygnował. Miał być premierem – został politycznym emerytem.

20 frakcji w senacie

Kiepski wynik lewicy nie zatrzymał procesu zjednoczenia. Nowym liderem PRO został Jesse Klaver. Ma 40 lat, na czele Zielonej Lewicy stał od 2015 r. Klaver już teraz był gotów wejść do rządu z Jettenem jako premierem, co można zrozumieć – lewica ma dość bycia w opozycji. Ostatni raz PvdA współrządziła krajem w latach 2012-2017 jako koalicjant Ruttego. Zielona Lewica przez 36 lat istnienia nie była w rządzie ani razu. Ostatniego lewicowego premiera

eprasa.pl 1a9b1c2625



Nowym liderem PRO został Jesse Klaver.

Holandia miała ćwierć wieku temu i był nim Wim Kok, współrządzący z liberałami.

Polityczna układanka po wyborach z listopada 2025 r. okazała się jednak skomplikowana. Już sam fakt, że wybory wygrała partia, która dostała mniej niż 17% głosów, dowodzi rozdrobnienia tutejszej sceny politycznej. Wynika ono z proporcjonalnej ordynacji bez progu wyborczego. Holenderski sejm, czyli Tweede Kamer, ma 150 miejsc. Jeśli partia zdobędzie ok. 0,7% głosów, wprowadza jednego posła. Zdobycie ok. 1,4% daje dwa mandaty, 2% – trzy itd.

Holendrzy są przywiązani do tego systemu, bo prawie każdy może się czuć reprezentowany. W Tweede Kamer zasiadają i posłowie proekologicznej Partii na rzecz Zwierząt (Partij voor de Dieren, PvdD), i działacze Ruchu Rolników i Obywateli (BoerBurgerBeweging, BBB) reprezentującego sektor rolny. Jest tu miejsce i dla partii seniorów 50PLUS, i dla Denk (Myślcie), skupiającej głównie elektorat marokańskiego i tureckiego pochodzenia.

Po wyborach z 2025 r. do Tweede Kamer weszło aż 15 partii, a teraz, po rozłamach w dwóch populistycznych frakcjach, jest ich 17. W takich warunkach trudno stworzyć stabilną, spójną programowo większość. Tym bardziej że jest jeszcze senat, wybierany w innym terminie i pośrednio. Podział mandatów w senacie bywa zupełnie inny niż w Tweede Kamer, a poziom rozdrobnienia – kuriozalny. 75 senatorów należy do 20 frakcji, w tym siedmiu jednoosobowych!

W Holandii od dekad to centroprawica nadaje ton, a w XXI w. społeczeństwo jeszcze bardziej skręciło w prawo.

Do stabilnych rządów potrzeba większości w obu izbach. Po październikowych wyborach centrowa D66, chadecka CDA i prawicowo-liberalna VVD szybko jak na Holandię uznały, że chcą współrządzić. Aby rząd miał większość choćby w Tweede Kamer, koalicja potrzebowała jeszcze 10 mandatów. Lewicowa koalicja ma ich 20.

Rząd z problemami

Choć dla lewicy nie było to wymarzone towarzystwo, Klaver chciał współrządzić z D66, VVD i CDA. Powstałaby wtedy szeroka koalicja sił mainstreamowych, od lewicy po chadecję i liberałów. Prawdziwy „rząd centrum", stojący na prawej i lewej nodze.

VVD nie chciała o tym słyszeć. Partia byłego premiera Ruttego po jego odejściu do NATO boi się konkurencji z prawej strony. Następczyni Ruttego, Dilan Yeşilgöz, mówiła wprost: do rządu z lewicą nie wejdzie.

W lutym powstał więc trójpartyjny gabinet Jettena bez większości w obu izbach. Jego sukces zależy od opozycji. Liderzy mniejszościowej koalicji próbowali obrócić tę wadę w zaletę: zobaczcie, jesteśmy rządem, który nie traktuje parlamentu jak maszynki do głosowania i z każdym będzie rozmawiać, by osiągać kompromisy.

Pierwsze miesiące rządów Jettena pokazały, że to ryzykowny eksperyment. Już na początku koalicja, szukając pieniędzy na dofinansowanie armii, ogłosiła plany cięć wydatków socjalnych (np. świadczeń dla rencistów) i skrócenia czasu pobierania zasiłku dla bezrobotnych. W Holandii bezrobotny nawet przez dwa lata może dostawać zasiłek w wysokości 70% dawnej pensji (przez pierwsze dwa miesiące 75%). Rząd chciał też przyśpieszyć tempo podnoszenia wieku emerytalnego.

Lewicowa PRO nie mogła na to się zgodzić, podobnie jak związkowcy. Krytyka rządowych planów była szersza – głównie tych dotyczących emerytur. Nawet organizacje pracodawców były zdziwione. W 2019 r. rząd Ruttego po latach negocjacji zawarł przecież ze związkowcami i pracodawcami wielki „pakt emerytalny". Powiązano w nim moment przechodzenia na emeryturę z przewidywaną długością życia. Teraz wiek emerytalny to 67 lat, dla kobiet i mężczyzn, a w 2028 r. będzie wyższy o trzy miesiące.

Dlaczego rząd, który w dodatku nie ma większości, chce znowu grzebać w systemie emerytalnym?

FOT. HOLLANDSE HOOGTE/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625

Oburzenie było tak wielkie, że Jetten musiał się wycofać. Inne plany cięć wydatków socjalnych rząd jednak podtrzymał, co doprowadziło do strajków. 9 września w całym kraju przez dobę nie działał transport publiczny. „Chcemy, by rząd wycofał się ze wszystkich cięć. Także Klaver tego chce i tego się trzymam", mówił Hans Spekman, szef dużego związku zawodowego Federatie Nederlandse Vakbeweging (FNV) w wywiadzie dla NPO Radio 1.

W 2019 r. rząd Ruttego zawarł ze związkowcami i pracodawcami wielki „pakt emerytalny". Moment przechodzenia na emeryturę powiązano z przewidywaną długością życia.

Bez wsparcia opozycji rządowe plany są mało warte. Pod koniec sierpnia trzeba było przygotować wstępny projekt budżetu, ale żadna partia opozycyjna go nie poparła. Przez chwilę wydawało się, że rząd porozumie się z dwiema prawicowymi partiami, ale wtedy ujawniły się podziały w samej koalicji. To VVD dążyła do paktu z prawicą, a D66 i CDA go blokowały, by ocalić centrowy profil gabinetu.

Przy tak słabym rządzie bez większości rośnie znaczenie PRO. Szczególnie że w senacie zjednoczona lewica jest frakcją największą. Jeśli rząd chce przetrwać, jesienią będzie musiał pójść na ustępstwa i przekonać do poparcia budżetu część opozycji. Skoro w sierpniu nie udało się z prawicą, trzeba będzie spojrzeć w lewo.

Dla Klavera może to być słodka zemsta. Yeşilgöz, która zablokowała udział PRO w rządzie i odżegnywała się od współpracy z lewicą, prawdopodobnie będzie musiała się z nią przeprosić. Na razie lider PRO stawia twarde warunki: rozważy poparcie budżetu tylko wtedy, gdy rząd w całości wycofa się z cięć socjalnych. Dla partii przedsiębiorców VVD, od lat domagającej się takich oszczędności, byłaby to gorzka pigułka do przełknięcia.

Z drugiej strony współpraca z centroprawicową koalicją jest dla PRO niebezpieczna. Jak dotąd lewica na twardej opozycji zyskała. Z sondażu Peilingwijzer wynika, że gdyby wybory odbyły się na początku września, PRO zajęłaby pierwsze miejsce, a nie czwarte, jak jesienią 2025 r. Teoretycznie Klaver byłby kandydatem na premiera.

Dla lewicowych uszu brzmi to dobrze, ale diabeł tkwi w szczegółach. Tak, PRO urosła z 13% w ubiegłym roku do ok. 18% obecnie, ale jak na główną siłę lewicy i opozycji to wciąż słabo. Kilka mniejszych partii, które można uznać za lewicowe, jak wspomniane Denk, 50PLUS i Partia na rzecz Zwierząt, a także Partia Socjalistyczna, ma razem ok. 12%, ale to barwne i zróżnicowane towarzystwo. Nawet jeśli doliczyć do tego ok. 12% centrowego D66, taka wielopartyjna centrolewicowa koalicja nie uciułałaby większości.

To nie jest kraj dla lewicy

I tu dochodzimy do istoty problemu holenderskiej lewicy. Zjednoczona czy podzielona, z Timmermansem czy z Klaverem, w opozycji do populistyczno-prawicowego czy do centro-liberalnego rządu, samotna czy nawet z gromadką potencjalnych partnerów – realnych szans na przejęcie władzy, przynajmniej na razie, nie ma.

W Holandii od dekad to centroprawica nadaje ton, a w XXI w. społeczeństwo jeszcze bardziej skręciło w prawo. W tegorocznym badaniu Ipsos aż 50% ankietowanych identyfikowało się z centroprawicą, a jedynie 26% z centrolewicą. Reszta nie ma zdania albo deklaruje poglądy centrowe.

Od czasu Dreesa Holandia miała tylko dwóch lewicowych premierów. Joop den Uyl, który rządził w latach 1973-1977, chciał wielkich reform społecznych, ale trafił na okres kryzysu naftowego, więc pole manewru miał ograniczone. No i był wspomniany już Kok, rządzący w latach 1994-2002. To za jego czasów Holandia jako pierwszy kraj na świecie wprowadziła małżeństwa osób tej samej płci i prawo do eutanazji. W kwestiach gospodarczych Kok – współrządzący z liberałami – był mało lewicowy. Nie bez powodu uważa się go za polityka tzw. trzeciej drogi, mającej godzić lewicę z kapitalizmem – nurtu współczesnej socjaldemokracji kojarzonego kiedyś z Blairem i Schröderem.

Na tle holenderskiej prawicy, dzielącej się na kolejne partyjki, niedawna fuzja głównych sił lewicowych robi wrażenie. Podstawowe pytanie brzmi jednak, czy PRO lepiej niż jej dwie części składowe odpowie na problemy i strachy „zwykłych Holendrów".

Lewica od lat przekonuje, że sposobem na zmniejszenie nierówności czy brak mieszkań jest wyższe opodatkowanie korporacji i bogatych oraz aktywniejsza rola państwa. Prawica, szczególnie ta skrajna, proponuje prostsze rozwiązania, trafiające do emocji sfrustrowanych wyborców: mniej uchodźców, mniej Brukseli, mniej regulacji. Antyislamską PVV Wildersa i skrajnie prawicowe, szerzące teorie spiskowe Forum dla Demokracji popiera łącznie już ponad 20% społeczeństwa. To więcej, niż wynoszą notowania PRO.

Holenderska lewica, jeśli chce wrócić do władzy, musi liczyć na to, że w kolejnym rozdaniu – a część komentatorów przewiduje, że rząd Jettena nie dotrwa do końca kadencji – parlamentarna układanka będzie tak złożona, rozczarowanie eksperymentem mniejszościowym tak duże, a wynik PRO tak dobry, że zawiąże się wielka koalicja sił głównego nurtu, od prawa do lewa. Pewnie jednak nie PRO grałaby w niej pierwsze skrzypce, nawet gdyby była największą partią i dostała fotel premiera.

Warto przypomnieć, że także Partia Pracy powstała w wyniku fuzji kilku ugrupowań. Dwa lata później Drees był premierem, a dla holenderskiej lewicy rozpoczęła się najlepsza dekada w historii. Szanse na powtórzenie tego scenariusza, teraz z PRO w roli głównej, nie wydają się wielkie. Ale kto wie, holenderska polityka już od kilku lat jest mało przewidywalna.

Łukasz Koterba

eprasa.pl 1a9b1c2625

Nieświęci duchowni

Kolejna afera pedofilska na Litwie pokazuje, że Kościół nie chce zmierzyć się z problemem

Tomasz Otocki
Korespondencja z Litwy

Litewski Kościół katolicki od lat zmaga się z problemem wykorzystywania seksualnego dzieci i młodzieży przez kapłanów. Na początku tego roku „Przegląd" pisał o sprawie kard. Henryka Gulbinowicza, patrona jednej z ulic w rejonie wileńskim oraz honorowego obywatela rejonu wileńskiego. Jednak pedofilia to coś, co ma miejsce także tu i teraz.

W sierpniu litewskie media ujawniły informację o dwóch księżach z archidiecezji wileńskiej, którzy usłyszeli poważne zarzuty prokuratorskie. Historia ta wywołała poruszenie społeczne i zdecydowaną reakcję władz państwowych. Głos zabrał nawet prezydent Gitanas Nausėda.

Oskarżenia idą w poprzek podziałów narodowościowych na Wileńszczyźnie – dotyczą 56-letniego litewskiego księdza Tadasa Švedavičiusa oraz polskiego duchownego, 51-letniego Ryszarda Pieciuna. Obaj kapłani służyli w parafiach, często tych samych, na terenie Wileńszczyzny. Švedavičius został oskarżony o przestępstwa seksualne wobec 11 małoletnich. W jego przypadku odnotowano 34 przestępstwa, do których miało dochodzić przez 23 lata – aż do zeszłego roku. To wykorzystywanie seksualne dzieci, posiadanie materiałów pornograficznych oraz nakłanianie małoletnich do spożywania alkoholu. Jego proces, z wyłączeniem jawności, rusza 24 września w wileńskim sądzie okręgowym. Z kolei w sprawie Pieciuna, oskarżonego „tylko" o posiadanie pornografii dziecięcej, formalnie nie ma osób pokrzywdzonych. Jego proces zaczął się 17 września.



Ks.Tadas Švedavičius został oskarżony o przestępstwa seksualne wobec jedenastu małoletnich.

Reakcje polityków i Kościoła

Jak przypomniała polskojęzyczna wersja litewskiego portalu LRT, ks. Ryszard Pieciun jeszcze w maju 2024 r. odbierał w polskiej ambasadzie Srebrny Krzyż Zasługi nadany przez prezydenta Andrzeja Dudę za działalność na rzecz polskiej społeczności na Litwie. Do winy duchowny się nie przyznaje, wskazując, że znalezione przez śledczych materiały nie miały charakteru pornograficznego. Pieciun utrzymuje, że nagrania z rozebranymi dziećmi przesłali mu rodzice, a zaprzyjaźniona rodzina zaprzeczyła, by miały one charakter pornograficzny. Švedavičius nie udziela mediom komentarzy.

Wśród polityków wypowiadających się na ten temat był Juozas Olekas, przewodniczący Sejmu, przedstawiciel rządzącej socjaldemokracji, która także potrafi dobrze żyć z Kościołem. Oświadczył w mediach, że jeśli na Litwie działa sieć chroniąca pedofilów i tuszująca ich działania, należy ją bezwzględnie rozbić.

Prezydent Nausėda podkreślił zaś, że w sprawach dotyczących przemocy seksualnej wobec dzieci „same modlitwy nie wystarczą". Według prezydenta oczyszczenie leży w interesie Kościoła, któremu w konsekwencji grozi utrata wiernych. Według głowy państwa konieczne są pełne upublicznienie procedur i otwartość na współpracę z organami ścigania, aby uniknąć takich tragedii w przyszłości. „Sam Kościół powinien być zainteresowany tym, aby wszystkie wątpliwości i obawy dotyczące możliwości

eprasa.pl 1a9b1c2625

powtórzenia się takich przestępstw w tym świętym miejscu – w Kościele – zostały rozwiane", powiedział dziennikarzom.

Arcybiskup wileński Gintaras Grušas, pełniący funkcję od 2013 r., zapewnił publicznie, że archidiecezja współpracuje z organami ścigania, a obu duchownych odsunięto już od obowiązków. Archidiecezja poinformowała o całej sprawie Watykan. Dziennikarze i wierni zaczęli jednak się zastanawiać, jak to możliwe, że przez dwie dekady w strukturach Kościoła działał drapieżca. Krytykę wzbudziła też spóźniona reakcja hierarchii kościelnej, która skomentowała skandal dopiero po tygodniu od jego upublicznienia.

Rozmawiałem o tym z dr Rositą Garškaitė-Antonowicz, wykładowczynią akademicką Uniwersytetu Wileńskiego i publicystką katolicką. Według niej reakcje biskupów, a zwłaszcza metropolity wileńskiego, były opóźnione i niekonkretne, początkowo ograniczały się do wezwania do modlitwy. – Minął cały tydzień od ujawnienia sprawy, zanim Gintaras Grušas wystąpił w mediach i przeprosił ofiary oraz społeczeństwo. Tydzień to zbyt długo w sytuacji, gdy ludzie są wstrząśnięci takimi doniesieniami. Do dziś zarówno on, jak i inni biskupi unikają mediów (i odpowiedzialności), a dziennikarze skarżą się, że nie sposób przeprowadzić z nimi wywiadu. Komunikacja ma charakter wysoce oficjalny i jednostronny. To samo dotyczy duchownych – z nielicznymi wyjątkami nie chcą publicznie omawiać tych kwestii – mówi dr Garškaitė-Antonowicz.

Zdaniem naukowczyni znacznie lepiej zareagowali świeccy katolicy, a w szczególności nieformalna grupa Svarbus reikalas (Poważna sprawa), która od 2023 r. wzywa biskupów do powołania niezależnej komisji mającej zbadać przypadki nadużyć w litewskim Kościele katolickim. Do dziś taka komisja nie powstała. Darius Chmieliauskas, redaktor naczelny katolickiego miesięcznika „Artuma" oraz diakon, wskazuje, że do tej pory nie pojawiło się żadne wspólne, publiczne oświadczenie Konferencji Episkopatu Litwy. Jedynie arcybiskup Wilna wielokrotnie wypowiadał się publicznie, a arcybiskup Kowna również wydał oświadczenie – poza tym panuje cisza.

– Najwyraźniej wciąż się uważa, że jest to zdarzenie dotyczące tylko jednego biskupa. Nie postrzega się tego jako wspólnego problemu, który wymagałby natychmiastowego zwołania całego episkopatu w celu publicznego zajęcia stanowiska – wyjaśnienia, co zrobiono, co się robi i co zostanie zrobione, aby zapobiec takim sytuacjom i je ujawnić; jak podchodzi się do tych spraw i jak są one rozwiązywane, by zapewnić ochronę dzieciom i osobom bezbronnym w środowisku kościelnym; co dzieje się z podejrzanymi, winnymi i skazanymi; jakie kary są wymierzane; w jaki sposób są wypłacane odszkodowania oraz jakie terapie są oferowane ofiarom i skazanym duchownym, jeśli po odbyciu kary mają oni powrócić do posługi duszpasterskiej – wylicza Chmieliauskas.

Czy na Litwie możliwe jest powołanie specjalnej komisji kościelnej zajmującej się kwestią pedofilii, jak stało się to w Polsce? Według dr Garškaitė-Antonowicz biskupi bardzo niechętnie podchodzą do pomysłu wszczynania takiego dochodzenia. – Obawiają się, że jego wyniki mogłyby położyć kres Kościołowi na Litwie w jego obecnym kształcie – jako ważnemu, mającemu wpływy polityczne podmiotowi życia publicznego, czerpiącemu siłę z faktu, że należy do niego większość społeczeństwa, oraz z historycznej roli, jaką odegrał w kształtowaniu tożsamości narodowej – twierdzi naukowczyni, mając na myśli rolę Kościoła w walce z władzą sowiecką. Biskupi jej zdaniem mogą się bać o swoją pozycję, gdyby okazało się, że ich reakcje na przestępstwa seksualne popełniane przez podległych im księży były niewłaściwe lub wręcz stanowiły próbę tuszowania sprawy. Wreszcie – dochodzenie mogłoby ujawnić inne przestępstwa lub zaniedbania, niezwiązane z wykorzystywaniem seksualnym.

Reakcja polskiej partii i społeczności

W sprawie skandalu pedofilskiego wypowiedziały się także środowiska polityczne związane z chrześcijańską demokracją, choć nie sam prezes Akcji Wyborczej Polaków na Litwie-Związku Chrześcijańskich Rodzin (AWPL-ZChR) Waldemar Tomaszewski, którego sylwetkę przedstawialiśmy w „Przeglądzie" w 2021 r. Tomaszewski jest jednocześnie liderem Związku Polaków na Litwie – obydwie organizacje są blisko związane z Kościołem, który według Tomaszewskiego jest „atakowany". Z ramienia AWPL-ZChR głos zabrała jednak ministra sprawiedliwości Litwy Rita Tamašunienė. Według polskiej polityczki receptą na przypadki pedofilii, także kościelnej, ma być skopiowany z polskiego prawa wprowadzonego przez PiS „rejestr pedofilów". Co ciekawe, pomysł zyskał wstępną akceptację większości rządzącej, która na Litwie składa się m.in. z socjaldemokratów.

„Myślę, że podczas jesiennej sesji Sejmu będziemy musieli te kwestie rozpatrzyć", powiedział dziennikarzom wspomniany już przewodniczący Sejmu Juozas Olekas. Z kolei

Czy na Litwie możliwe jest powołanie specjalnej komisji kościelnej zajmującej się kwestią pedofilii, jak to się stało w Polsce?

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1a9b1c2625



Ks. Ryszarda Pieciuna oskarżono o posiadanie pornografii dziecięcej.

Tamašunienė, reklamując swoją koncepcję, wskazuje, że „nadszedł czas, aby powrócić do tego pomysłu i szukać rozwiązań, które pomogłyby jeszcze lepiej chronić dzieci, tym bardziej że mamy ku temu podstawy. Zdecydowanie popieramy, aby takie dane były publicznie dostępne", powiedziała portalowi LRT.lt. Dla AWPL-ZChR temat księży pedofilów jest niewygodny. Sama ministra, deklarująca się jako osoba wierząca, zaapelowała, by „oddzielić konkretne przypadki od całej wspólnoty księży".

AWPL-ZChR to ugrupowanie, które w samorządzie opowiedziało się przeciwko odebraniu Henrykowi Gulbinowiczowi statusu honorowego obywatela rejonu wileńskiego. Tamašunienė natomiast w sierpniu tego roku uznała, że ulicę polskiego kardynała w rejonie wileńskim należy przemianować. Co warte odnotowania, zmieniła zdanie, bo jeszcze w 2025 r. przekonywała, że werdykt Watykanu w sprawie Gulbinowicza jest oceniany niejednoznacznie.

Jak zareagowała polska społeczność na zarzuty wobec ks. Pieciuna, który posługę pełnił w zamieszkanych przez nią miejscowościach: Bujwidzach, Balingródku, a następnie w Połukniu?

Dr Mariusz Antonowicz, były prezes Polskiego Klubu Dyskusyjnego, wykładowca Uniwersytetu Wileńskiego, mówi: – Po pierwsze, podkreśliłbym, że ten temat nie był aż tak mocno omawiany publicznie. W polskich mediach na Wileńszczyźnie było mniej informacji o tym skandalu niż w litewskich. Po drugie, wydaje mi się, że polska społeczność jest podzielona – jedni są oburzeni, drudzy bronią księdza, podobnie jak to się dzieje w innych krajach.

Doświadczyłem tego sam podczas wizyty we wspomnianych Bujwidzach na odbywającym się we wrześniu festiwalu poezji Maj nad Wilią. Mijaliśmy ulicę Henryka Gulbinowicza w rejonie wileńskim. Jedna z działaczek polonijnych zaczęła, w obecności księdza, sugerować, że „kardynał był po prostu niewygodny".

Za wcześnie na oczyszczenie?

Ponieważ w sprawie pojawia się wątek polski, dość oczywista jest próba porównania sytuacji w Kościele w Polsce i na Litwie. Dr Garškaitė-Antonowicz, która ma polskiego męża i często w Polsce bywa, zauważa, że w litewskim Kościele katolickim obserwujemy dopiero początek kryzysu związanego z wykorzystywaniem seksualnym. – Litewski Kościół mógłby wyciągnąć wnioski z polskich doświadczeń, nawet jeśli te rozwiązania nie są idealne. Przykładem może być utworzenie Fundacji Świętego Józefa niosącej pomoc ofiarom wykorzystywania seksualnego czy udostępnienie archiwów kurialnych badaczom i dziennikarzom – praktyka stosowana już w Krakowie przez kard. Rysia – wskazuje naukowczyni.

Chmieliauskas z kolei podkreśla podobieństwa, z którymi mamy do czynienia na całym świecie: zaprzeczanie, tłumaczenie się niewiedzą, twierdzenie, że to tylko „atak na Kościół". – Daleko nam jeszcze do sytuacji w Polsce. Na przykład tutaj nie chcą słyszeć ani o funduszu dla ofiar, ani o powołaniu niezależnej komisji. Mówią: to jeszcze nie ten moment. Wiele osób głośno więc pyta: kiedy nadejdzie ten moment? Ilu jeszcze ofiar, jak wielkiego cierpienia, łez czy przelanej krwi potrzeba, by ich przekonać, że to już jest ten moment? – emocjonalnie reaguje redaktor katolickiego miesięcznika.

Tematyka pedofilii wraca od czasu do czasu w debacie publicznej na Litwie. Najczęściej jest tak, że ofiarom przestępstw seksualnych sądy zasądzają odszkodowania i zadośćuczynienia, a także zwrot kosztów pomocy prawnej. Jak podaje portal LRT.lt, były poseł konserwatystów, 39-letni Kristijonas Bartoševičius, skazany na siedem lat więzienia za czyny pedofilskie, został zobowiązany przez sąd do wypłacenia pokrzywdzonym 32 tys. euro odszkodowania i zadośćuczynienia.

Czy tego się boi Kościół na Litwie? Nie tylko tego. Również utraty autorytetu społecznego, sięgającego jeszcze czasów Litewskiej SRR, gdy był opoką w walce z władzą sowiecką, przeciw której Litwini się buntowali.

Dziś księża mogą sporo stracić. Z drugiej strony kryzys może oznaczać szansę oczyszczenia się. Duża część wiernych jest jednak po prostu sceptyczna. Badania ośrodka Baltijos tyrimai wykonane w 2023 r. wykazały zresztą, że aż 69% mieszkańców Litwy nie wierzy w zdolność Kościoła do samodzielnego, obiektywnego wyjaśnienia sprawy pedofilii. Po ostatnich wydarzeniach ta liczba może jeszcze wzrosnąć.

Tomasz Otocki

FOT. FB.COM/ KOŚCIÓŁ NIEPOKALANEGO POCZĘCIA NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY W KALESZNIKACH, FB / GIMNAZJUM „MEDEINOS" W POŁUKNIU

eprasa.pl 1a9b1c2625

GAZ Z ALGIERII DLA EUROPY



Szczyt Włochy-Algieria. Dyrektor generalny Eni Claudio Descalzi i prezes Sonatrachu Rachid Hachichi po podpisaniu porozumienia o współpracy, z tyłu premier Włoch Giorgia Meloni i prezydent Algierii Abd al-Madżid Tabbun. Rzym, 23 lipca 2025 r.

Tomasz Skowronek

Wrześniowa wizyta w Algierii Johanna Wadephula, niemieckiego ministra spraw zagranicznych, przypadła na moment wyjątkowo trudny dla europejskiego rynku energii. Niemcy, które po rosyjskiej inwazji na Ukrainę musiały gwałtownie zmienić miejsce, z którego importowały gaz, szukają dziś kolejnych źródeł dostaw. Jednym z państw, na które coraz uważniej patrzy Berlin, jest właśnie Algieria.

To nie przypadek. 2 lipca algierski koncern naftowo-gazowy Sonatrach po raz pierwszy dostarczył skroplony gaz ziemny (LNG) bezpośrednio do Niemiec. Dostawa trafiła do pływającego terminalu regazyfikacyjnego w Wilhelmshaven. Kilka tygodni później niemiecka spółka VNG podpisała z koncernem Sonatrach nową umowę na dostawy gazu, której realizacja ma się rozpocząć w 2027 r.

Podczas wizyty w Algierze minister Wadephul mówił wprost o tym, że Niemcy potrzebują długoterminowych kontraktów gazowych i chcą dywersyfikować dostawy. Dla Berlina to szczególnie istotne, ponieważ gazu w niemieckich magazynach jest znacznie mniej, niż bywało w latach poprzednich. Na początku września zapasy sięgały zaledwie ok. 53%.

Europa szuka gazu poza Zatoką

Problem dotyczy nie tylko Niemiec. Europa w sezon grzewczy wchodzi w wyjątkowo napiętej atmosferze. Wojna na Bliskim Wschodzie poważnie ograniczyła eksport LNG z Kataru, a zakłócenia w żegludze przez cieśninę Ormuz utrudniają dostawy z Zatoki Perskiej. QatarEnergy przedłużył do listopada wstrzymanie części dostaw dla europejskich odbiorców.

Europejskie zapasy gazu są niewielkie. Na początku września magazyny w Unii były wypełnione mniej więcej w dwóch trzecich, a ceny gazu w tym samym czasie gwałtownie rosły. Według Agencji Reutera poziom zapasów jest najniższy od 15 lat, a to zwiększa podatność rynku na kolejne szoki podażowe.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że rośnie znaczenie Algierii. Przewagę kraj ten zawdzięcza przede wszystkim położeniu. Gaz z Afryki

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 1a9b1c2625

Północnej może trafiać do południowej Europy gazociągami, bez konieczności korzystania ze szlaków żeglugowych prowadzących przez Zatokę Perską i cieśninę Ormuz.

Algieria już wcześniej umacniała swoją pozycję na rynku europejskim. W styczniu br. dostawy algierskiego gazu do Unii Europejskiej wzrosły o 22% w porównaniu z grudniem 2025 r. Według danych Forum Krajów Eksportujących Gaz (Gas Exporting Countries Forum, GECF) Algieria była wówczas drugim największym, tuż po Norwegii, dostawcą gazu rurociągowego do UE.

Południe Europy kupuje w Algierii

Najlepiej widać to na południu Europy. Algieria jest obecnie najważniejszym dostawcą gazu np. do Hiszpanii. W pierwszej połowie 2026 r. odpowiadała za 33,9% całego hiszpańskiego importu gazu, wyprzedzając Stany Zjednoczone. Większość dostaw trafia do Hiszpanii gazociągiem Medgaz, który łączy algierskie złoża z Almerią. Jego przepustowość wynosi ok. 10,16 mld m sześc. gazu na rok. Jednak Algieria dostarcza LNG do Hiszpanii również drogą morską, a Madryt chce tę współpracę jeszcze poszerzyć. W marcu minister spraw zagranicznych José Manuel Albares mówił o negocjacjach dotyczących zwiększenia wolumenów dostaw, w tym większego o ok. 12% wykorzystania Medgazu.

Podobny kierunek obrały Włochy. Algieria jest obecnie ich największym dostawcą. W marcu premier Giorgia Meloni podczas wizyty w Algierze zapowiedziała wzmocnienie współpracy między włoskim koncernem Eni a algierską spółką Sonatrach. Chodzi nie tylko o zwiększenie dostaw, lecz także o nowe projekty związane z wydobyciem gazu, w tym poszukiwaniami w formule offshore. W 2025 r. Włochy sprowadziły z Algierii ok. 20,1 mld m sześc. gazu.

2 lipca algierski koncern naftowo-gazowy Sonatrach po raz pierwszy dostarczył skroplony gaz ziemny bezpośrednio do Niemiec.

Współpraca energetyczna ma dla Rzymu również wymiar polityczny. Giorgia Meloni odwołuje się do dziedzictwa założyciela koncernu Eni – Enrico Mattei, przedsiębiorca i polityk, w latach 50. proponował krajom postkolonialnym korzystniejsze warunki współpracy przy wydobyciu surowców. Jego nazwiskiem pani premier ochrzciła ogłoszony w 2022 r. „plan dla Afryki", mający wzmocnić relacje gospodarcze i polityczne z państwami tego kontynentu. Algieria w tym planie jest jednym z najważniejszych partnerów. Dla Włoch oznacza to nie tylko dodatkowy gaz, ale i współpracę przy projektach dotyczących migracji, bezpieczeństwa oraz stabilizacji południowego sąsiedztwa Europy.

Algieria nie zastąpi Kataru

Rosnąca rola Algierii nie oznacza jednak, że kraj ten może zastąpić Katar. Algieria dysponuje dużymi zasobami gazu i rozbudowaną infrastrukturą eksportową, ale jej możliwości zwiększenia produkcji i eksportu w krótkim czasie są niestety ograniczone. Dlatego dla Europy pozostaje przede wszystkim elementem działań dywersyfikacyjnych, a nie nowym pojedynczym źródłem dostaw, które mogłoby rozwiązać wszystkie problemy na rynku gazu.

Jej znaczenie jest jednak większe niż jeszcze kilka lat temu. Pierwsza dostawa LNG do Niemiec w lipcu pokazała, że Sonatrach chce wyjść poza tradycyjne rynki, hiszpański i włoski. A że, jak przypominają analitycy, wojna i problemy z dostawami z Zatoki Perskiej zwiększają rolę państw, które mogą dostarczać gaz drogami alternatywnymi, Algier zyskał kartę przetargową w relacjach z Europą.

W styczniu 2026 r. dostawy algierskiego gazu do Unii Europejskiej wzrosły o 22% w porównaniu z grudniem 2025 r.

„W Algierze widać wolę polityczną, by wykorzystać to rosnące znaczenie kraju jako producenta gazu", mówił analityk think thanku Stimson Center Hafed al-Ghwell, dodając, że obejmuje to również współpracę w zakresie migracji, walki z terroryzmem i stabilizacji w obrębie rejonu Morza Śródziemnego. Chociaż Algieria nie stanie się nagle gazowym hubem Europy, już wkrótce może zostać jednym z filarów europejskiej dywersyfikacji energetycznej. ■



eprasa.pl 1a9b1c2625

KURTYNA W GÓRĘ

Pan Światełko i inne cudeńka



To opowieść o kabarecie, nawiązująca do legendy Qui Pro Quo – a smaku dodaje jej niegdysiejsze sąsiedztwo teatrzyku, który mieścił się nieopodal, w podziemiach Galerii Luxenburga, przy ulicy Senatorskiej 29. Tam jednak na widowni było ponad 500 miejsc, tymczasem Joanna Drozda zmieściła swoje Qui Pro Quo przy Senatorskiej 35 w salce dysponującej dziesięciokrotnie mniejszą widownią.

Kabaret w tej scenerii dzieje się wszędzie: na dwóch scenkach, w środku i z boku, w bufecie, a nawet na galeryjce, czyli w kawiarni Ziemiańska. Zaskakująca transformacja miejsca dokonała się we współpracy ze scenografem Michałem Głaszczką, również współautorem piosenek i magiem od światła. Samba „Pan Światełko" w pełnym uroku wykonaniu Izabelli Rzeszowskiej (w roli Hanki Ordonówny, a także kilku innych wcieleniach) najwyraźniej do niego i wszystkich mistrzów oświetlenia teatralnego była adresowana. Równie ciepłe podziękowania należały się Bartoszowi Dopytalskiemu, który w tej maleńkiej przestrzeni stworzył wyrazistą choreografię i sam wystąpił w kilku, jeśli nie kilkunastu rolach, m.in. jako Nagistka, Niemowlę, Stonoga, o Tacjannie Wysockiej już nie wspominając.

Joanna Drozda nie trzyma się kurczowo historii Qui Pro Quo, proponuje nowe teksty, nierzadko nawiązujące do sławnych rymów poprzedników, np. dowcipów i wersów Juliana Tuwima, głównej podpory kabaretu (w tej roli wszędobylski, roztańczony, rozśpiewany i zwinny jak kot Mateusz Trzmiel). Od czasu do czasu trafiają się aluzje do dzisiejszych konfliktów politycznych, ale co innego ten spektakl ma na widoku. Tym czymś jest etos artysty kabaretu, który bawi, wzrusza i daje do myślenia. Rysunek ten wspólnie szkicują aktorzy, obdarzeni poczuciem humoru, talentem wokalnym i łatwością nawiązywania bliskiej więzi z publicznością. Henryk Rajfer przypomina wice Kazimierza Krukowskiego, przywołując aurę szmoncesu. Monika Chrząstowska ożywia egzaltację gwiazdy międzywojnia, przebojowej Miry Zimińskiej, Piotr Sierecki wywołuje ducha Antoniego Słonimskiego, a dzięki Piotrowi Chomikowi ożywa mistrz kabaretowej konferansjerki Fryderyk Járosy. Tę kolorową grupę z talentem wspomaga Krzysztof Brzeziński jako Pijanista.

Joannie Droździe i jej zespołowi udało się zbudować formę lekką, dowcipną, a zarazem poważną, zgodnie z przesłaniem Antoniego Słonimskiego: „Brak poczucia humoru nie zawsze jest dowodem powagi".

Tomasz Miłkowski

„Bujdagranda", tekst i reżyseria Joanna Drozda, Teatr Żydowski w Warszawie, premiera 19 czerwca 2026

NA EKRANACH



Hot Spot,
reż. Agnieszka Smoczyńska, prod. Grecja/Polska, w kinach od 25 września

Agnieszka Smoczyńska, jeden z bardziej niekonwencjonalnych głosów w Polsce, tym razem pokazuje postapokaliptyczne science fiction. Wizję, w której ludzie albo walczą o swoje człowieczeństwo, albo oddają się kontroli, czyli sztucznej inteligencji zwanej Głową, przypominającej Wielkiego Brata z Orwella. Śledzimy losy granego przez Andrzeja Konopkę detektywa Dżony'ego, fachury badającego sprawę tajemniczego morderstwa. Śledztwo zaczyna powoli wpływać na ciepło jego ogniska domowego, a już wkrótce Dżony będzie musiał podjąć trudne decyzje. I właśnie Konopka, prawdopodobnie jeden z najbardziej utalentowanych aktorów swojego pokolenia, okazuje się największym triumfatorem tego filmowego eksperymentu. W pełni bawi się swoją rolą, po angielsku mówi z najbardziej grubo ciosanym akcentem z możliwych, a do tego przebrany jest w kiczowaty ejtisowy kostium. Prawda jest taka, że „Hot Spot" nie będzie dla każdego; to intensywna, szalona wizja przyszłości, zarazem pełna romantyzmu i przaśna, od której łatwo się odbić. Ale choćby dla samego Konopki warto dać jej szansę.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Slavoj Žižek
Za późno na przebudzenie. Co nastąpi, skoro przyszłość nie istnieje
tłumaczenie zbiorowe
Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2026



Nowy zbiór esejów Žižka to bezkompromisowa i prowokacyjna diagnoza współczesnego świata, sparaliżowanego nakładającymi się kryzysami. Słoweński filozof bierze na warsztat katastrofę klimatyczną, wojnę w Ukrainie oraz widmo globalnego konfliktu, punktując niemoc liberalnej lewicy i manipulacje prawicy. Główna jego teza jest przewrotna: aby zapobiec ostatecznemu załamaniu, musimy odrzucić ułudę, że wciąż mamy czas, i założyć, że katastrofa już się dokonała. Dopiero zaakceptowanie „godziny zero" zmusza do podjęcia realnej, emancypacyjnej akcji zamiast biernego dryfowania. Dla filozofa kluczem do przearanżowania przyszłości staje się przewartościowanie naszej przeszłości i spojrzenie w oczy geopolitycznej prawdzie.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. COURTESY OF FOCUS FEATURES. 2026 ALL RIGHTS RESERVED, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 1a9b1c2625



Oko w oko Tomasz Jastrun

Demony i duchy

„Część polskiej patriotycznej prawicy cieszy się z sukcesu niemieckiego prorosyjskiego neofaszyzmu. Część liberalnych demokratów nadal uważa, że AfD spadło z nieba". Przemysław Szubartowicz ma rację. Ale jakim durniem trzeba być, aby cieszyć się, że w Niemczech odradza się faszyzm, nie hitleryzm, lecz faszyzm? W Saksonii wygrywa partia, która relatywizuje straszną przeszłość własnego kraju, największą zbrodnię w historii ludzkości. AfD to nie jakaś zwykła populistyczna partia. To karmienie demonów z piekła rodem.

Magdalena Parys, niemiecko-polska pisarka, mieszkająca od dziecka w Niemczech, mówiła mi w Wejherowie, że wielkie partie popełnią katastrofalny błąd, jeśli uznają, że wystarczy jeszcze raz wytłumaczyć wyborcom, dlaczego nie wolno głosować na AfD czy w Polsce na Brauna. Problem polega na tym, że – szczególnie u młodych – pragnienie zmiany stało się silniejsze niż lęk przed jej konsekwencjami. Myślę, że zwolennicy radykalnych posunięć przekonają się, jaki to był błąd, gdy będzie już za późno. Niepokoją zmiany w świadomości niemieckiego społeczeństwa i tempo, w jakim to się stało. Taka radykalna zmiana może nastąpić bardzo szybko.

Ideologia Hitlera zaraziła dawne Niemcy w niewiele lat. A teraz? Przecież byliśmy pewni, że Niemcy są wzorem tego, jak można przerobić i uleczyć straszną przeszłość. Jeszcze niedawno nie wolno było tam źle mówić o imigracji, ewentualnie szeptem w kuchni. AfD o tym teraz krzyczy, a ludzie mówią: nareszcie! W klasie syna pisarki 80% to imigranci. Palestyński taksówkarz, który ją wiózł niedawno, mówił: my wam jeszcze pokażemy. Nie tylko Niemcy przesadzili, przyjmując zbyt wielu ludzi z odległych kultur; dzisiaj, przestraszeni, buntują się. Czy więc Polska prawica ma rację, że straszy nas sąsiadem? Ale ona nie analizuje sprawy, wali młotkiem w polskie głowy, odwołując się do dawnych fobii. Nie myśli o problemie, myśli o zyskach wyborczych.

•

W Prudniku spałem w domu kultury, obszerna willa, niemal pałac, właścicielem był Samuel Fränkel, przedwojenny przemysłowiec pochodzenia żydowskiego, bardzo wiele zrobił dla miasta. Świetnie zachowane ciemnobrązowe boazerie, w holu fontanna z dużą rzeźbą. Wszystko to imponujące i bardzo ponure. Jest książka o tutejszych żydowskich przemysłowcach, którzy stworzyli nowy Prudnik. I o ich willach. Już oddala się czas, gdy kłamano i zaciemniano historię, by udowodnić, że to prastare polskie ziemie. Teraz na znakach są też dawne, niemieckie nazwy miejscowości.

Prudnik byłby ładny, gdyby go umyć i odświeżyć. Ale jest elegancka restauracja na rynku, tam też cukiernia ze smacznymi wyrobami. Miałem spotkanie w willi, a przedtem w szkole, budynek sprzed ponad wieku, 160 uczniów, udało mi się ich nie zanudzić, a wie się, czy widownia słucha. Podeszła potem uczennica, by mnie spytać, czy naprawdę znałem Szymborską. Potwierdziłem. Wyglądała na zupełnie oszołomioną. Odeszła zamyślona, jakby spotkała ducha.

Wracając z Prudnika, nie zdążyłem na Pendolino z Opola do Warszawy, następny pociąg był za kilka godzin. I dobrze. Bardzo przyjemny czas w Opolu, rynek, stare miasto, ładnie, słonecznie. W kawiarni na rynku jakiś mężczyzna z córką spoglądał na mnie uporczywie, jak malarz na modela, coś sprawdzał w telefonie, w końcu kiwnął głową, był już pewien, że ja to ja. Nie wyglądało to dobrze. Pomyślałem: zaraz podejdzie i zrobi mi awanturę,

Byliśmy przecież pewni, że Niemcy są wzorem tego, jak można przerobić i uleczyć straszną przeszłość.

że wzywałem do mordowania czytelników „Gazety Polskiej". W Prudniku jakiś miejscowy poeta pisowczyk awanturował się w sieci, jak można kogoś takiego jak ja zapraszać. A tu facet podszedł, zapytał, czy ja to ja, i miał ochotę mnie uściskać – czytelnik moich tekstów, były żołnierz, saper.

•

Na ostatniej miesięcznicy Antoni Macierewicz, szarpany przez liberalne babcie i człowieka o kulach, biegał z pistoletem na farbę i z niego strzelał, potykał się, przewracał, najwyraźniej opętany przez złe moce. Przemawiał potem prezes, też opętany. „Liczymy, że to straszliwe zło, które nas dopadło w roku 2023, się skończy. Liczmy, że to totalne kłamstwo, które trwa przez cały czas, zostanie w końcu przez społeczeństwo odrzucone. Bo ich dojście do władzy wynikało z niebywałego kłamstwa. Te wszystkie wrzaski, opowieści, to nic innego jak tylko echo rozpaczliwej obrony Donalda Tuska i jego ludzi przed całkowicie uzasadnionym oskarżeniem o wielką aferę. To nic innego jak stały instrument tej władzy, to znaczy: kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo". Tak wołał mistrz kłamstwa i knucia. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 1a9b1c2625

ORKIESTRA MŁODYCH TALENTÓW



Wojciech Rodek, dyrygent i dyrektor Sinfonii Iuventus, na otwarcie sezonu zaproponował muzykę z „trzech szuflad" polskich kompozytorów.

Bronisław Tumiłowicz

W filmie o Sinfonii Iuventus, którego realizację właśnie kończy Jerzy Czachowski, pada pełny emfazy okrzyk: „Profesorze – dostałem się!". Tak cieszy się jeden z absolwentów akademii muzycznej, który brał udział w przesłuchaniach i został przyjęty do zespołu.

Co roku część muzyków traci pracę w Sinfonii, bo kalendarz nieubłaganie wskazuje nieprzekraczalną cezurę 30 lat. Organizuje się więc nowe przesłuchania, na które przybywają kandydaci z całej Polski. Praca w orkiestrze jest dosyć wygodnym początkiem kariery muzyka, który otrzymał dyplom, ale jeszcze nikt nie zaklepał dla niego jakiegoś korzystnego zajęcia. Zwycięzcy międzynarodowych konkursów muzycznych od razu otrzymują pakiet propozycji i występów w różnych krajach, zwracają się do nich także firmy nagraniowe, nie muszą zatem szukać stałego zatrudnienia ani tzw. etatu. Niektórych zatrzymują u siebie w charakterze asystentów profesorowie akademii muzycznych, ale to też nie rozwiązuje wszystkich problemów bytowych artysty. Do sieci podstawowych i średnich szkół muzycznych również nie każdemu udaje się dostać, poza tym nie każdy ma chęć stać się pedagogiem.

Polska Orkiestra Sinfonia Iuventus im. Jerzego Semkowa jest dla początkującego artysty wręcz darem od Boga. Pozwala w ciągu kilku lat poznać specyfikę pracy w zawodowym zespole, przećwiczyć najważniejsze, klasyczne pozycje repertuaru orkiestrowego, poznać wymogi i cechy charakterystyczne najlepszych dyrygentów danego czasu, a przede wszystkim umożliwia spokojne poszukiwanie dalszej drogi artystycznej i życiowej.

Guru młodych muzyków w Sinfonii Iuventus był wybitny polski dyrygent Jerzy Semkow. Zainteresował się losami absolwentów uczelni muzycznych i wpadł na pomysł, by państwo pomagało młodym stawiać pierwsze kroki. To było 20 lat temu. Wtedy właśnie powstały zręby organizacyjne i finansowe zespołu oraz ustalono ogólne zasady zatrudnienia w orkiestrze.

Sukcesja

Pamiętam rozmowę z prof. Semkowem w czasie, kiedy podjął tę decyzję. Światowej sławy dyrygent miał poprowadzić koncert z orkiestrą studentów i absolwentów Akademii Muzycznej w Warszawie. Ponieważ na stałe mieszkał we Francji, specjalnie dla niego wynajęto apartament w legendarnej Dziekance – Domu Studenta Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina przy Krakowskim Przedmieściu. Tu profesor przemyśliwał, jaką formę nadać nowej inicjatywie, kogo do niej przyciągnąć, a zwłaszcza jak sprawić, by udział młodych muzyków w tej specyficznej orkiestrze był na początku ich kariery zawodowej prawdziwie skuteczny.

Dziś jak katechizm cytuje się jego słowa: „Chciałbym, by orkiestra przyswoiła sobie stopniowo cały wielki repertuar światowy (...). Jestem pewien, że młodzi koledzy dołożą wszelkich starań (...). Sinfonia Iuventus stanie się dla Polski powodem do dumy".

Niebawem odbył się koncert orkiestry, który prowadził Maestro. W młodych instrumentalistów wstąpił jakby nowy duch – dar zarażania pasją był jedną z niezwykłych cech osobowości tego wielkiego dyrygenta. Podobnie zresztą rzecz się miała z doświadczonymi muzykami występującymi w orkiestrze Filharmonii Narodowej. Jerzy Semkow miał taki autorytet, że nikomu nie przyszło do głowy wygłaszać uwagi w trakcie próby, stękać, ociągać się. Wszystkie nerwy i mięśnie były nastawione na maksymalną sprawność.

eprasa.pl 1a9b1c2625





Pianista Ignacy Lisicki (po lewej) i Tomasz Skweres – kompozytor i wiolonczelista podczas koncertu otwierającego sezon Sinfonii Iuventus.

Jerzy Semkow (zmarł w 2014 r.) 20 lat temu zorganizowanie młodzieżowej orkiestry dla muzyków z całego kraju powierzył znanemu altowioliście prof. Błażejowi Sroczyńskiemu. Gdy ten zapytał Maestra, czy jest ktoś, kto pomógłby w rozmowach z władzami i urzędnikami ministerialnymi, bo przecież trzeba zapewnić muzykom byt materialny, zdobyć środki na ich utrzymanie, na płace w nowej instytucji, dyrygent podpowiedział mu nazwisko osoby, do której miał zaufanie. I tak pierwszym dyrektorem Sinfonii Iuventus została Maria Karwowska. Już wkrótce zapowiedziano przesłuchania kandydatów. Zgłosiło się sporo osób – pocztą pantoflową poszła w świat wiadomość, że tworzy się „orkiestra młodych talentów".

28 szczęśliwców

Teraz, po 20 latach od tamtych wydarzeń, odbył się kolejny nabór. Przyjęto tylko 28 osób, bo tyle zwolniło się miejsc. Wśród nowo przyjętych muzyków znalazł się m.in. skrzypek Antoni Figurski, który w Sinfonii może pracować maksymalnie jeszcze siedem lat, ale sądzi, że pożegna się z orkiestrą kilka lat wcześniej i zwolni miejsce komuś innemu. – Przez cały okres pracy muzyk otrzymuje tutaj taką samą płacę, po pięciu latach zgodnie z przepisami może liczyć na niewielką podwyżkę – mówi Figurski, który należy do bardziej uzdolnionych studentów warszawskiego Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina (UMFC). Już zakosztował występów m.in. w Concertgebouworkest Young (międzynarodowej orkiestrze talentów młodzieżowych) i orkiestrze FAME'S Institute, uczestniczył też w międzynarodowych projektach orkiestrowych w Monachium, Wiedniu i Kolonii.

Jak informuje w rozmowie podczas konferencji prasowej Wojciech Rodek, dyrygent i dyrektor Sinfonii Iuventus, niebawem trzeba będzie zrobić kolejne przesłuchanie. Kilku muzyków przed czasem rozwiązania umowy odeszło do innych, zapewne lepiej płatnych zajęć, chociaż zarobki w tym młodzieżowym, utrzymywanym przez państwo zespole, wcale nie są na poziomie płacy minimalnej, jak to bywa w wielu zespołach orkiestrowych działających w głębi kraju, i oscylują, po uwzględnieniu różnych dodatków, wokół 6,3 tys. zł. W materiałach dla kandydatów znajduje się zresztą informacja: „Osobom wybranym do Polskiej Orkiestry Sinfonia Iuventus im. Jerzego Semkowa oferujemy: umowę o pracę – atrakcyjne wynagrodzenie".

Wojciech Rodek na otwarcie sezonu koncertowego zaproponował muzykę z „trzech szuflad" polskich kompozytorów. Najpierw prawykonanie czegoś całkiem nieznanego – koncert fortepianowy z udziałem solisty Ignacego Lisieckiego „Popiół. Hommage à A.W." Tomasza Skweresa, twórcy mieszkającego w Niemczech, który swoje dzieło zadedykował Andrzejowi Wajdzie. Potem coś romantycznego – diabelnie trudny „I Koncert skrzypcowy fis-moll" Henryka Wieniawskiego z Gają Wilewską jako solistką, a na zakończenie pełen ekspresji i podhalańskich motywów balet „Harnasie" Karola Szymanowskiego z udziałem Chóru Akademickiego Uniwersytetu Warszawskiego, występującego w góralskich strojach. I ten właśnie koncert był chrztem bojowym 28 młodych muzyków przyjętych do orkiestry w kwietniu br.

Sinfonia Iuventus pozwala poznać specyfikę pracy w zawodowym zespole, przećwiczyć klasyczny repertuar orkiestrowy i poznać wymogi najlepszych dyrygentów.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 1a9b1c2625

We mnie jest dwu ludzi: jeden zupełnie rozsądny, drugi wariat

Tomasz Miłkowski



Tak mówił o sobie Stanisław Wokulski, co Bolesław Prus komentował: „Wokulski jest to człowiek, w którym myśli, uczucie, wola i siły organiczne dosięgnęły wysokiego stopnia natężenia. Gdy los złamał w nim rycerza, obudził się uczony; gdy zrobił go wdowcem po starszej kobiecie, ocknął się (z powodu niezużycia sił fizycznych) kochanek, który stał się spekulantem. Gdy zginął kochanek i spekulant, ocknął się znowu uczony".

Dowodem sił witalnych Wokulskiego jest miłość, która osiągnęła poziom monomanii. Rozmaicie tę miłość oceniano – jednych wzruszała i jednała z bohaterem, drugich zniechęcała.

Dzisiaj znowu stajemy przed pytaniem, czy postępowanie Wokulskiego było zgodne z naszymi oczekiwaniami. A wszystko za sprawą serialu Pawła Maślony i filmu Macieja Kowalskiego. Po raz kolejny śledzić będziemy losy kupca galanteryjnego i pięknej arystokratki na tle Warszawy lat 80. XIX w. Role Stanisława Wokulskiego i Izabeli Łęckiej powierzono w tych produkcjach odpowiednio Tomaszowi Schuchardtowi i Sandrze Drzymalskiej oraz Marcinowi Dorocińskiemu i Kamili Urzędowskiej.

„Lalka" wiecznie żywa

Lalka to symbol martwoty, lecz gdy mowa o „Lalce" Prusa, aż ciśnie się na usta: „Lalka wiecznie żywa". Ankieta przeprowadzona parę lat temu wśród zagranicznych dziennikarzy akredytowanych w Polsce przyniosła zaskakujące potwierdzenie jej popularności. W sondażu „Lalka" zajęła pierwsze miejsce, wyprzedzając powieści Sapkowskiego, „Solaris" Lema czy „Quo vadis" Sienkiewicza. Popularność tę wspomagało zapewne ponad 30 przekładów na języki obce, ale poczytności „Lalki" w Polsce już w ten sposób objaśniać się nie da.

Czytają ją w odcinkach aktorzy, radiowa Jedynka przypomina obecnie nagrania Jerzego Kamasa, a w RMF Classic można posłuchać Andrzeja Seweryna. W 1971 r. Teatr Polskiego Radia zrealizował serial w reżyserii Andrzeja Łapickiego, ze Stanisławem Zaczykiem jako Wokulskim, Henrykiem Borowskim jako Rzeckim i Anną Seniuk w roli Izabeli.

Od lat żywi się „Lalką" teatr, począwszy od adaptacji w warszawskim Teatrze Polskim z 1952 r., w reżyserii Bronisława Dąbrowskiego, i pierwszej transmisji telewizyjnej fragmentów tego przedstawienia z Niną Andrycz jako Izabelą Łęcką. Do tej pory powstało ponad 20 adaptacji teatralnych, w tym musical; ostatnią zrealizował w tym roku stołeczny Dramatyczny.

Telewizja wciąż przypomina serial Ryszarda Bera (1997) z Jerzym Kamasem jako Wokulskim i Bronisławem Pawlikiem jako Rzeckim oraz dzieło Wojciecha Hasa (1968). Cóż to za film! Co drugi kadr jak martwa natura, a urodzie parkowych rzeźb czy przejmującym widokom biedy Powiśla towarzyszy przednie aktorstwo: niezapomniany Tadeusz Fijewski jako Rzecki, Mariusz Dmochowski w roli Wokulskiego, Jan Kreczmar jako podupadły arystokrata Łęcki, Kalina Jędrusik – pani Wąsowska, Beata Tyszkiewicz – urodziwa panna Izabela. A to przecież tylko fragment starannie dobranej obsady. Kiedy ogląda się dzieło Hasa, nie czuje się upływu lat, niemal 60 przecież!

Błędy, nieład, chaos

To niesłabnące zainteresowanie pozostaje w sprzeczności z początkowo mało entuzjastycznym przyjęciem powieści, stanowiącej rodzaj przejścia od dawnego sposobu opowiadania do literatury nowoczesnej. Prus określił swój zamiar w taki sposób: „Temat »Lalki« jest następujący: Przedstawić naszych polskich idealistów na tle społecznego rozkładu". Stworzył jednak dzieło o wiele bardziej złożone, niż mu się wydawało. Podobnie jak złożona jest postać głównego bohatera.

eprasa.pl 1a9b1c2625



W serialu Pawła Maślony role Stanisława Wokulskiego i Izabeli Łęckiej powierzono Tomaszowi Schuchardtowi i Sandrze Drzymalskiej.

W filmie Macieja Kowalskiego głównych bohaterów grają Marcin Dorociński i Kamila Urzędowska.

Wielopiętrowość utworu wywołała na początku krytyczne uwagi – dostrzegano przede wszystkim błędy, nieład, chaos – słowem łamanie reguł powieści realistycznej. Wbrew krytykom, i to nie byle jakim, bo znalazł się wśród nich sam Aleksander Świętochowski, właśnie w odstępstwach od reguł objawiała się oryginalność dzieła.

Niektórzy nie mogli się nadziwić, że felietonista, humorysta, kronikarz bardziej niż pisarz zabrał się do takiego przedsięwzięcia. W tym szukali przyczyny błędów i rozproszenia autora, który nierzadko te same fakty pokazywał z różnych punktów widzenia. Tę wielokierunkową narrację, łączącą wszechwiedzącego narratora z narratorem-bohaterem, często zanurzonym w marzeniach, a nawet halucynacjach (Łęcka, Wokulski, czasem Rzecki), narratorem-pamiętnikarzem (Rzecki) i obserwatorem pośredniczącym między autorem a postaciami, brali za usterki w sztuce opowiadania. Tymczasem do polskiej powieści dobijała się nowoczesność.

Najwyraźniej nie dostrzegli, że w bogactwie świata powieściowego, jego pozornym przeładowaniu, kryje się tajemnica wielkości „Lalki". Dzięki temu bowiem stała się ona całościowym ujęciem ówczesnego świata, pokazując sugestywny obraz rzeczywistości w przebudowie, epokę wielkiej przemiany społecznej, kulturowej, gospodarczej, cywilizacyjnej. To wszystko spojone zostało dziejami wielkiej miłości.

Tajemniczy i (nie)rozsądny Wokulski

To na jej fundamentach trzyma się świat „Lalki", a kiedy miłość okaże się zbudowana na iluzjach, świat ten nagle się rozpada. „Umarł przywalony resztkami feudalizmu", powie na koniec o Wokulskim dr Szuman. Powinien raczej powiedzieć: umarł przywalony katastrofą miłości.

Resztki feudalizmu przejawiały się w przesądach, podziałach klasowych, wychowaniu oderwanym od realnego życia, nawykach, których nie była w stanie w sobie przezwyciężyć osoba tak wrażliwa jak Izabela Łęcka. Prus nazywa ją kobietą złą, ale to jej sfera tak ją ukształtowała, może i wbrew niej samej.

Współcześni byli więc mrocznym dziełem Prusa rozczarowani. Zwłaszcza krytycy literaccy, którzy nie zostawili na „Lalce" suchej nitki. Dopiero z czasem jej rozumienie zaczęło rosnąć i nabrała ostatecznie autorytetu arcydzieła. Wówczas dostrzeżono w niej powieść założycielską Polski nowoczesnej.

Uwagę czytelników i krytyków od początku przykuwał główny bohater. Prus wprowadza go na scenę stopniowo. Bliżej jego losy sprzed wielkiej kariery kupieckiej, sprzed zyskownych kontraktów z Suzinem, z okresu małżeństwa z rozsądku z wdową Millerową, poznajemy dopiero w tomie drugim, dzięki zapiskom starego subiekta. Na razie prezentuje się nam dość obcesowy biznesmen, który mięknie tylko na widok Izabeli, a nawet na samą myśl o niej. By oddać mu sprawiedliwość – ulega też współczuciu wobec ludzkiej krzywdy, stąd jego wsparcie dla Wysockich, upadłej kobiety i Węgiełka.

Ale fatalnego zauroczenia Izabelą nie mogli mu darować krytycy, tak jak nie rozumieli tego najbliżsi mu ludzie, przyjaciele, nawet najwierniejszy z wiernych Ignacy Rzecki.

Zofię Nałkowską irytowało, że ten rozsądny Wokulski nie dostrzega pustoty Izabeli. Na tym jednak opiera się strategia autora – nie żąda od bohatera konsekwencji, pozwala mu błądzić, walczyć ze sobą, zmieniać zdanie i to sprawia, że mamy do czynienia z bohaterem prawdziwym. Drugim fundamentem strategii Prusa jest wielostronne oświetlanie postaci Wokulskiego. Z obiektywnością narratora i opiniami przyjaciół mieszają się plotki powtarzane przez niekoniecznie życzliwe osoby i relacje z drugiej ręki. Do tego nader bogate samooceny, spór bohatera z samym sobą o to, kim jest i jakie są jego pragnienia. Wreszcie – zapis odczuć, niepokojów i zmieniających się ocen Izabeli Łęckiej.

Tak rozlegle ustawione punkty obserwacyjne pozwalają na wyjątkowo wnikliwą analizę osobowości bohatera, jakiej nie znała wcześniej żadna polska powieść, a przecież to lata jej bujnego rozkwitu. W tym samym czasie powstaje Trylogia Sienkiewicza czy „Nad Niemnem" Orzeszkowej, trochę później „Krzyżacy" – powieści, w których kwitną związki uczuciowe, ale o dość prostej konstrukcji. W „Lalce" zostało to ujęte znacznie głębiej. Konfrontacja między romantyzmem i pozytywizmem objawiała się w psychice Wokulskiego i w toku jej analizy została ukazana. Syntezy miał dokonać sam czytelnik,

FOT. KINO ŚWIAT, MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

eprasa.pl 1a9b1c2625

mimo że sugestie autora wyraźnie wskazywały mu kierunek.

Jan Kott, jeden z czołowych krytyków i historyków literatury, w miłość Wokulskiego do Izabeli w ogóle nie wierzył: „Ta wielka miłość zrobiona jest z papieru. Prus chciał pokazać, jak wyglądał zakochany romantyk. Ale ten romantyczny kostium pęka na kupcu. Widać szwy ideologii. To rok 1879. Wokulski nie jest biednym poetą, szturmującym do serca bogatej dziedziczki". Kott stawia Prusowi za wzór Balzaka i dowodzi, że tam, gdzie Prus pisze po balzakowsku – sięga wyżyn.

Innego zdania była Maria Dąbrowska, która uważała, że Prus w „Lalce" jako romansie „góruje nad wszystkimi polskimi pisarzami, którzy sobie wielką miłość za bohatera powieści obierali; góruje nawet nad pokrewnymi sobie Dickensem i Balzakiem; żaden z tych pisarzy (…) nie dał obrazu wielkiej namiętności miłosnej równie przejmującego i mrocznego".

Eros na każdym kroku

Pisarz, aby uwierzytelnić romans Wokulski-Łęcka, a zarazem ukazać jego złożony kontekst społeczny, sytuuje tę namiętność na tle innych związków uczuciowych. Większość to romanse nieszczęśliwe, od początku skazane na niepowodzenie.

Charakteryzuje je nader trafnie Szuman: „Jestem Żyd, więc nie wolno mi kochać chrześcijanki… On jest kupiec, więc nie ma prawa do hrabianki… A ty, który nie masz pieniędzy, nie masz prawa do żadnej zgoła kobiety…". W rzeczy samej – młodzieńcza miłość Szumana okazała się niemożliwa, doprowadziła do śmierci ukochanej, a jego samego na skraj rozpaczy.

Podobne doświadczenia ma prezesowa Zasławska. Jej związek uczuciowy ze stryjem Wokulskiego okazał się z punktu widzenia kalkulacji stanowych i majątkowych niestosowny – całe życie nieszczęśliwi kochankowie pielęgnowali w sercach żal do wrogiego im świata. Zasławska to niespełnione uczucie próbuje zastąpić poparciem dla starań Wokulskiego o rękę Izabeli, staje się jego dobrym duchem i niezbyt dyskretną powiernicą.

Także pierwsze małżeństwo Wokulskiego to związek nieszczęśliwy, choć nader korzystny. Dzięki niemu Wokulski wydobywa się z nędzy, zdobywa doświadczenie kupieckie i pomnaża majątek wdowy, który potem odziedziczy.

Zawód miłosny ma też za sobą Rzecki – platoniczne uczucie do Heleny Stawskiej składa na ołtarzu zabiegów o wyswatanie jej z Wokulskim. Mąż Stawskiej, wplątany w bliżej nieokreśloną aferę finansową, na wszelki wypadek ucieka za granicę. Gdy okazuje się, że zmarł w Algierze, Stawska wpada w sidła zastawione przez Mraczewskiego. Lecz związek z zawodowym bawidamkiem nie zapowiada się szczęśliwie. Jedynie matka Stawskiej czule wspomina męża, ale może dlatego, że jest wdową.

Widowiskowo nieudany związek tworzą także baronostwo Krzeszowscy.

Znamiona karykatury nosi namiętność barona Dalskiego do panny Janockiej. Wokulski dostrzega śmieszność tego starczego zaślepienia, choć niekoniecznie jego łudzące podobieństwo do swojej monomanii. A że panna nie podziela entuzjazmu narzeczonego, związek ten kończy się gwałtownym rozstaniem za sprawą jej flirtu z Kazimierzem Starskim.

Jedynie związki w niższych sferach wydają się bardziej obiecujące, choć o małżeństwie Wysockich niewiele wiemy, a związek Węgiełka z Marianną, odratowaną przez Wokulskiego kobietą upadłą, tylko zapowiada się wspaniale. Potem okaże się piekłem, bo dawni klienci przypominają się wybrance Węgiełka, ku jego poczuciu klęski.

Namiętność Wokulskiego na tle tylu nieudanych związków jest wręcz ekscentryczna. Być może to sprawa uczuciowego niedoboru. Młody Wokulski zajęty był bowiem ratowaniem ojczyzny, zdobywaniem wiedzy, opieką nad pogrążającym się w demencji ojcem i walką o jako taką egzystencję. Namiętność, która wybucha w średnim wieku, przybiera zatem kształt swoistego ubezwłasnowolnienia.

Izabela zachowuje dystans, nieczuła na okazywane względy. To zapewne dodatkowo irytowało część czytelników, którzy woleliby, żeby Wokulski znacznie szybciej nabrał rozumu i pojął za żonę stosowniejszą wybrankę – zapowiadał się przecież na rasowego bohatera Balzaka (małżeństwo z Millerową!), a potem tak fatalnie zaprzepaścił rozwijającą się karierę. Prus jednak nie był Balzakiem i swoje cele miał na widoku.

Tomasz Miłkowski



eprasa.pl 1a9b1c2625

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Politykierzy zwaśnionych frakcji nieustannie pracują nad „tematami zastępczymi", które mają służyć przykrywaniu wydarzeń dla nich niewygodnych. Ba, polityczne postrzeganie rzeczywistości przybiera charakter paranoidalny, bo każde działanie widzi się jako prewencyjny ruch przeciwnika, więc zamiast rozważać za i przeciw, myśli się tylko o tym, co oponent chciał „przykryć".

Przygnieciony zatem stosem piętrzących się skandali, z których każdy ma przykryć kolejny, z niejaką ulgą, a nawet rozkoszą konstatuję, że oto nagle Polska zaczęła żyć tematem zastępczym, na który politycy wpływu nie mieli żadnego. Oto bowiem naród żyje „Lalką", choć lada tydzień będzie żył „Lalkami", bo jedna adaptacja drugą pogania, już tak najwyraźniej być w naszym życiu musi, skoro są afery i kontrafery, musimy też mieć dwie „Lalki". W narodzie podzielonym plemiennie wszystko musi być podwójne, dwojakie, bo Polacy konsensusem gardzą; wedle polityki historycznej ipeenowskiej gówniarzerii Okrągły Stół nie był porozumieniem, bezkrwawą rewolucją, lecz zdradą narodową. Takoż Polaków trzeba karmić w dwóch osobnych miskach, filmem i serialem, w kinie i telewizji, żeby mogli nie tylko postponować zachwyty sąsiadów, ale i sami mieli do czego się przytulić.

Do premiery „Lalki" kinowej mamy jeszcze trochę czasu, za to ta netfliksowa już płonie od euforii admiratorów i na stosie przeciwników. Wojsko uparcie i na próżno podrywa myśliwce, a naród żyje tym, jak Wokulski uparcie i na próżno podrywa Łęcką – żyjmy tą szczęsną chwilą, jak dziady nasze w przeddzień wielkiej wojny żyły adaptacjami Dołęgi-Mostowicza, łapmy ostatnie chwile pięknej epoki, w której teksty kultury były ważniejsze od partyjnych przekazów dnia albo doniesień z frontu.

Poważanie się na adaptację literackiego arcydzieła jest z góry skazane na klęskę, jeśli uzna się za naczelne kryterium wierność wobec litery oryginału. Maślona zajął się „Lalką" z dezynwolturą i wyszło to na dobre żywiołowi kina – to na nim się skupia, a nie na literackości.

Jeśli ktoś do języka Prusa tęskni, nich się wybierze na jedną z rozlicznych realizacji teatralnych albo zanurzy jeszcze raz w książce. Dla Pawła Maślony powieść była trampoliną, od której z dramaturgiem Pawłem Demirskim odbili się, a potem odfrunęli. My mamy świętego Prusa, Francuzi mają nietykalnego Prousta – my szarganiem świętości zajęliśmy się sami, bo o Prusie w świecie niewielu słyszało, to siedmioksiąg Prousta jest dziedzictwem kultury globalnej i łasych na adaptację „W poszukiwaniu straconego czasu" nie brakowało. Francuzi obezwładnieni proustowską wielkością nie poważyli się zamachnąć na niego kamerą, uczynili to za nich Niemiec Schlöndorff, Chilijczyk Ruiz czy Belgijka Akerman – wszyscy rzecz jasna odsądzani od czci i wiary.

Skądinąd zarówno Volker Schlöndorff, jak i Chantal Akerman skupili się na wątkach stalkerskich, co niezwykle zbliża zarówno Swanna, obsesyjnie przesłuchującego Odettę na okoliczność jej lekkich obyczajów, jak i Marcela, maniakalnie zazdrosnego o Albertynę i podejrzewającego ją o lesbijskie relacje z przyjaciółką, do Wokulskiego, wbrew rozumowi opętanemu pragnieniem posiadania Izabeli.

Rozbrykanie zamiast bryku

Tam i tu puryści się burzą na niewierność wobec autora, jak i na plugawe sceny. U Maślony współczesne spójniki, czyli k**wy i ch**je, goszczą na ustach bohaterów częściej niż słowo ojczyzna. U Schlöndorffa co prawda postaci mówią Proustem, za to w nieobyczajnych okolicznościach (np. gdy Swann wypytuje o przeszłość Odetty prostytutkę w trakcie stosunku analnego, popalając przy tym w rękawiczkach cygaretkę z fifki).

Jeśli „Kosowi" patronował Quentin Tarantino, to „Lalka" Maślony jest podszyta wajdowską „Ziemią obiecaną" – trudno się oprzeć wrażeniu podobieństw, nie tylko z powodu filmowego rytmu i sceny podpalenia nieubezpieczonej inwestycji, ale także za sprawą wnętrz, w których wybrane sceny kręcono – jak u Wajdy, w łódzkim Pałacu Scheiblera.

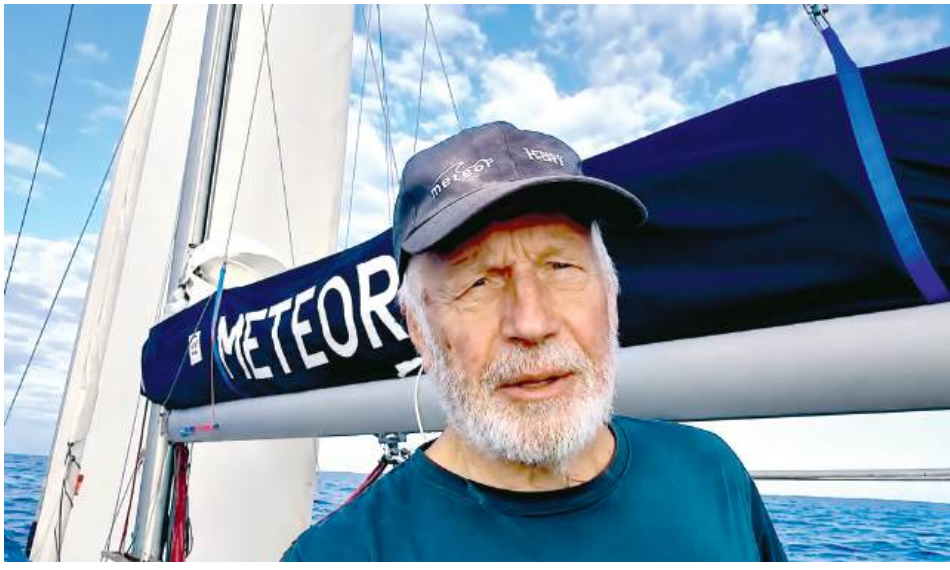
Dawno w polskim filmie nie było też aktorstwa tej miary: Piotr Pacek jako Starski jest zjawiskowy, Jacek Braciak w roli ojca Izabeli jest klasą sam dla siebie, Wokulski Tomasza Schuchardta jako parweniusz na salonach jest niezrównany. Powierzchowność Łęckiej w interpretacji Sandry Drzymalskiej ma w sobie jakąś zajadłą plebejskość, nie ma w niej wyniosłej „suczości" Tyszkiewicz ani lodowatego, bezlitosnego piękna Braunek – jest kostyczność i jad. Może nieco chłodniej postrzegam ewidentny odchył feministyczny, jakby chciał Maślona pożenić „Lalkę" z „Emancypantkami", ale artyście wolno więcej, gdy efekt końcowy jest znakomity. A w tym przypadku jest. Kina nie robi się dla polonistów. Nie robi się dla nich także literatury – jak niegdyś stwierdziła Manuela Gretkowska, dla polonistów pisze się dyktanda. ■

eprasa.pl 1a9b1c2625

DOPÓKI JEST HORYZONT

OCEAN TO MIEJSCE DLA LUDZI, KTÓRZY RESPEKTUJĄ WŁASNĄ SŁABOŚĆ

Jacek Pałkiewicz



Krzysztof Baranowski ma 88 lat i po raz trzeci samotnie opływa świat. Ktoś może zapytać, po co. Ja zapytałbym raczej, dlaczego miałby tego nie robić. Znam bowiem ten szczególny rodzaj niepokoju, który każe człowiekowi zostawić bezpieczny brzeg za rufą. Sam kiedyś w pojedynkę przepłynąłem Atlantyk łodzią ratunkową i wiem, że ocean nie jest miejscem dla bohaterów. Jest miejscem dla ludzi, którzy nauczyli się respektować własną słabość.

Kiedy patrzę dzisiaj na Krzysztofa Baranowskiego, gdzieś na wielkiej, niebieskiej pustyni Oceanu Indyjskiego, nie myślę przede wszystkim o rekordzie. Rekordy mają w sobie coś z księgowości: tyle mil, tyle dni, tyle oceanów, tyle przylądków. Bardziej interesuje mnie człowiek. Mój przyjaciel, który w wieku, kiedy większość ludzi coraz ostrożniej schodzi po schodach, odcumował i samotnie ruszył dookoła globu. Po raz trzeci. Nie na wycieczkę, nie na spokojny rejs wzdłuż brzegu, lecz tam, gdzie przez wiele dni dookoła nie ma niczego poza wodą, niebem i własnymi myślami.

Krzysztof 88. urodziny miał w czerwcu. Ponad pół wieku temu, w latach 1972-1973, jako 35-letni człowiek opłynął samotnie świat na jachcie „Polonezie". Nie wybrał łatwej drogi. Wyruszył przez południowe oceany, wokół wielkich przylądków, z legendarnym Hornem na końcu. W 272 dni przebył ponad 35 tys. mil morskich. Był pierwszym Polakiem, który samotnie pokonał taką trasę. Na Oceanie Indyjskim fale poturbowały „Poloneza", uszkodziły takielunek i samoster. Do Australii Krzysztof dopłynął dzięki rozwiązaniom prowizorycznym, które na oceanie często okazują się ważniejsze od najbardziej eleganckiej techniki. Radzono mu, żeby przerwał rejs. Nie przerwał.

Ćwierć wieku później zrobił to ponownie. W latach 1999-2000 samotnie okrążył świat na „Lady B.", tym razem inną, pasatową trasą, przez Atlantyk, Kanał Panamski, Pacyfik, Ocean Indyjski, Morze Czerwone i Morze Śródziemne. 11 miesięcy, ok. 24 tys. mil. Został pierwszym Polakiem, który dwukrotnie samotnie opłynął Ziemię. Wydawałoby się, że to wystarczy na jedno życie.

Ale w życiu takich ludzi jak Baranowski słowo wystarczy ma inne znaczenie. Jego biografia nie składa się zresztą wyłącznie z samotnych rejsów. Jest on inżynierem elektronikiem, dziennikarzem, pisarzem, człowiekiem telewizji, konstruktorem przedsięwzięć, które na trwałe weszły do historii polskiego żeglarstwa. Pływał na „Śmiałym", zainicjował powstanie „Poloneza", później dwóch wielkich żaglowców – „Pogorii" i „Fryderyka Chopina". Stworzył Szkołę pod Żaglami, bo zrozumiał coś, czego nie da się przekazać w szkolnej ławce: morze wychowuje bez wykładów. Tam każde zaniedbanie ma konsekwencje, każdy człowiek jest komuś potrzebny, a odpowiedzialność przestaje być słowem z podręcznika. Na pokładzie nie można powiedzieć: nie chce mi się. Nadchodząca fala nie przyjmie usprawiedliwienia.

Może właśnie dlatego Krzysztof nigdy nie traktował żeglarstwa jako sportu w zwyczajnym znaczeniu tego słowa. Dla mnie również ocean nie był stadionem. Nie ma tam trybun, sędziów ani publiczności. Jest człowiek i żywioł. I bardzo szybko okazuje się, który z nich jest silniejszy.

W listopadzie ub.r. Baranowski wypłynął z Teneryfy na „Meteorze". Atlantyk, Martynika, Kanał Panamski, Tahiti, Wyspy Cooka, Fidżi, Papua-Nowa Gwinea, Darwin. Kiedy piszę te słowa, ma już za sobą ponad połowę drogi. Przed nim pozostaje końcówka Oceanu Indyjskiego, Afryka Południowa, Kapsztad, ponowne spotkanie z Atlantykiem i zamknięcie

eprasa.pl 1a9b1c2625



Prawie 14-metrowy kecz „Polonez", na którym Baranowski w latach 1972-1973 odbył pierwszy samotny rejs dookoła globu.

Krzysztof Baranowski na Oceanie Indyjskim. Wrzesień 2026 r., dziesiąty miesiąc żeglugi.

pętli na Wyspach Kanaryjskich. Sam przyznawał przed najdłuższym odcinkiem z Darwin na Mauritius, że czuje tremę. I właśnie ta trema podoba mi się najbardziej.

Bałbym się żeglarza, który przestał się bać. Ludzie lubią przedstawiać podróżników i żeglarzy jako istoty pozbawione lęku. To jedna z najbardziej uporczywych legend. Człowiek bez lęku na oceanie nie jest odważny. Jest niebezpieczny, przede wszystkim dla siebie. Strach jest instrumentem pokładowym równie ważnym jak kompas. Ostrzega, mobilizuje, nie pozwala zasnąć wtedy, kiedy trzeba sprawdzić żagle, zmusza do spojrzenia po raz kolejny na barometr i niebo. Odwaga zaczyna się dopiero wtedy, kiedy człowiek zna zagrożenie, a mimo to podejmuje decyzję, że płynie dalej.

Co może się zdarzyć samotnemu żeglarzowi? Wszystko. Sztorm może położyć jacht. Fala może zmyć człowieka z pokładu. Może się złamać maszt, zerwać sztag, odmówić posłuszeństwa samoster. Może się pojawić przeciek, awaria instalacji elektrycznej, pożar. Na zatłoczonych szlakach dochodzi ryzyko kolizji ze statkiem. A jest jeszcze coś znacznie bardziej banalnego: można się poślizgnąć, złamać rękę, skaleczyć, zachorować i dostać gorączki. Na lądzie dzwonimy po pogotowie. Na środku oceanu telefon satelitarny nie stworzy lekarza w kabinie.

W samotnym żeglarstwie najbardziej bezlitosne jest właśnie słowo sam.

W samotnym żeglarstwie najbardziej bezlitosne jest właśnie słowo sam. Kiedy wiatr rośnie w nocy, nie ma kogo obudzić. Kiedy trzeba wyjść na pokład, trzeba wyjść samemu. Kiedy człowiek jest wyczerpany, nie istnieje druga koja, z której podniesie się wypoczęty zmiennik. Samotny żeglarz śpi na raty, uczy się wykorzystywać krótkie chwile spokoju, gotuje, naprawia, nawiguje, obserwuje pogodę i prowadzi jacht. Jest jednocześnie kapitanem, mechanikiem, kucharzem, meteorologiem, lekarzem i ostatnią instancją odwoławczą. Nie ma komu powiedzieć: teraz ty.

Wiem coś o tym. W 1975 r. znalazłem się sam na Atlantyku w zupełnie innych warunkach. Nie miałem jachtu stworzonego do oceanicznej żeglugi. Miałem niewielką łódź ratunkową „Paty", na której spędziłem 44 dni. Chciałem sprawdzić granice ludzkiej wytrzymałości i warunki, w jakich rozbitek może próbować przeżyć na oceanie. Nie porównuję tamtego doświadczenia z rejsami Krzysztofa. To były dwa różne światy. Ale ocean był ten sam. Ta sama noc, kiedy horyzont znika i człowiek pozostaje zamknięty w czarnym kręgu kilku metrów. Ten sam wiatr, którego siłę poznaje się nie z prognozy pogody, lecz po dźwięku. Ta sama świadomość, że najbliższy człowiek może się znajdować setki mil dalej. I ta sama niezwykła rzecz: po pewnym czasie samotność przestaje być pustką. Zaczyna być przestrzenią.

Na lądzie jesteśmy nieustannie atakowani przez cudze sprawy, informacje, telefony, terminy, rachunki, wiadomości. Ktoś czegoś od nas chce, ktoś czegoś oczekuje. Ocean brutalnie redukuje świat do kilku elementarnych pytań. Skąd wieje? Co robi ciśnienie? Czy jacht jest bezpieczny? Ile mam wody? Gdzie będę za dobę? Człowiek odkrywa nagle, jak niewiele naprawdę potrzebuje. I być może właśnie dlatego niektórzy wracają na morze.

Krzysztof powiedział podczas obecnego rejsu coś bardzo charakterystycznego: ocean pozwolił mu zostawić za sobą kłopoty lądowe. Tam świat staje się prostszy. Rozumiem go doskonale. Paradoksalnie na oceanie, gdzie człowiek może zginąć, pewne rzeczy stają się bardziej przejrzyste niż na lądzie. Nie ma miejsca na pozory. Nie da się oszukać sztormu stanowiskiem, pieniędzmi, nazwiskiem ani liczbą orderów. Fala nie wie, kim jesteś. Wiatr nie zna twojej biografii.

I dochodzę do pytania, które zapewne wielu ludzi zadaje dzisiaj Krzysztofowi: po co człowiek mający 88 lat podejmuje takie ryzyko? Nie

eprasa.pl 1a9b1c2625



Krzysztof Baranowski rekomenduje książkę samotnego żeglarza Jacka Pałkiewicza.

znam jednej odpowiedzi. Podejrzewam, że on także jej nie zna. Gdyby można było racjonalnie wyjaśnić potrzebę wyruszania w nieznane, przestałaby być potrzebą. W człowieku istnieje jednak jakiś mechanizm, który każe sprawdzać, czy horyzont rzeczywiście jest granicą. U jednych zanika wraz z młodością. U drugich zostaje na całe życie.

Wiek zmienia wiele. Organizm wolniej się regeneruje. Ruchy nie są już takie szybkie, mięśnie nie mają dawnej siły, a drobny uraz może się stać poważnym problemem. Tego nie wolno romantyzować. Ale wiek daje również coś, czego nie kupi się w żadnym sklepie żeglarskim: doświadczenie. Człowiek, który przez kilkadziesiąt lat obserwował morze, wcześniej zauważa zmianę jego charakteru. Nie musi wszystkiego sprawdzać na własnej skórze. Wie, kiedy zrefować żagle, zanim zrobi się naprawdę źle. Wie, że ambicja jest kiepskim doradcą. Wie też, że czasem największym dowodem odwagi jest zawrócić.

Krzysztof nie walczy z oceanem. To określenie zawsze wydawało mi się pretensjonalne. Z oceanem się nie walczy, bo wynik takiej walki jest przesądzony. Można jedynie nauczyć się z nim współżyć, korzystać z jego siły, ustępować, kiedy trzeba, przeczekać, zmienić kurs. Dobry żeglarz nie pokonuje morza. Pokonuje własną niecierpliwość, pychę i skłonność do lekceważenia sygnałów ostrzegawczych.

Dlatego nie widzę w obecnym rejsie Baranowskiego desperackiej próby udowodnienia, że metryka się nie liczy. Metryka się liczy. On o tym wie lepiej niż ktokolwiek. Widzę natomiast coś znacznie ciekawszego: odmowę przyjęcia do wiadomości, że kalendarz ma prawo decydować za człowieka, co jeszcze wolno mu zrobić.

Morze wychowuje bez wykładów. Tam każde zaniedbanie ma konsekwencje.

Starość bowiem zaczyna się niekoniecznie wtedy, kiedy słabną nogi. Czasami zaczyna się wtedy, kiedy człowiek po raz pierwszy mówi sobie: tego już nie warto. Krzysztof najwyraźniej jeszcze tego zdania nie wypowiedział. Nie chcę robić z niego pomnika. Pomniki są nieruchome, a Baranowski właśnie płynie. Ma swoje słabości, chwile zwątpienia, tremę przed długim oceanicznym etapem. I dobrze. Dzięki temu jego wyprawa jest ludzka. Gdyby wyruszał bez lęku, mielibyśmy do czynienia z szaleńcem. On wyruszył z pełną świadomością ryzyka i ze zgromadzonym przez dziesięciolecia doświadczeniem. To zasadnicza różnica.

My, którzy przez część życia wybieraliśmy drogę z dala od bezpiecznego brzegu, wiemy jeszcze jedno. Przygoda potrafi uzależnić, ale niekoniecznie od adrenaliny. Uzależnia od intensywności życia. W sytuacji granicznej nie ma dni nieważnych. Każdy wschód słońca jest wydarzeniem, każdy posiłek ma smak, każda spokojna noc jest prezentem. Na lądzie można przeżyć tydzień i niemal go nie zauważyć. Na oceanie pamięta się pojedynczą godzinę. Może dlatego człowiek wraca.

Kiedy po moich 44 dniach na Atlantyku znalazłem się ponownie w świecie łóżek, łazienek, restauracji i normalnych rozmów, wiedziałem już, że komfort jest wspaniałym wynalazkiem, ale nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania. Człowiek potrzebuje czasami znaleźć się w miejscu, gdzie nie może udawać kogoś innego. Ocean jest takim miejscem.

Patrzę więc na rejs Krzysztofa nie jak na sportowy rekord 88-latka. Rekord będzie tylko przypisem. Ważniejsze jest świadectwo, że ciekawość świata nie musi się kończyć wraz z młodością. Że doświadczenie nie musi służyć wyłącznie do opowiadania o dawnych czasach. Można je zabrać jeszcze raz ze sobą na pokład.

Przed „Meteorem" wciąż tysiące mil. Ocean Indyjski, potem Afryka, Kapsztad i Atlantyk. Jeszcze niejeden raz Krzysztof będzie w nocy wychodził do kokpitu, patrzył na żagle i słuchał wiatru. Być może przeklnie wtedy pomysł, który kazał mu wyruszyć. Każdy, kto odbył długą wyprawę, zna takie chwile. Sam nieraz zadawałem sobie pytanie: co ja tutaj robię?

A później przychodzi świt. Morze uspokaja się, na horyzoncie pojawia się cienka linia światła i człowiek nagle przypomina sobie odpowiedź.

Dlatego płyniemy. Krzysztofie, trzymaj kurs. Nie musisz już nikomu niczego udowadniać. Wystarczy, że płyniesz.

Jacek Pałkiewicz

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 1a9b1c2625

CHRONIONA PATOLOGIA

Watykan rozmywał odpowiedzialność za pedofilskie przestępstwa nuncjusza w Dominikanie



Prowadzący pogrzeb bp. Wesołowskiego bp Szkodoń powiedział: „Razem ze zmarłym prosimy o przebaczenie. Kto jest bez grzechu, niech pierwszy kamień rzuci".

Artur Nowak, Stanisław Obirek

Jeden z najwybitniejszych polskich teoretyków literatury, Michał Głowiński, autor wielu książek poświęconych nowomowie i językowi nienawiści oraz współautor niezwykle popularnego i wielokrotnie wznawianego „Słownika terminów literackich", był namiętnym czytelnikiem nekrologów. Nie dziwota więc, że w rzeczonym słowniku opracował krótkie hasło poświęcone nekrologowi, definiując go jako „artykuł omawiający życie i dzieło osoby zmarłej, publikowany niebawem po jej śmierci; także ogłoszone w prasie zawiadomienie o zgonie. Nekrolog ma formę bądź osobistego wspomnienia, bądź rozprawy naukowej poddającej analizie dorobek zmarłego". Znający Głowińskiego bliżej opowiadają, że nosił się z zamiarem opracowania monograficznego tego hasła (…)

Nie wiemy, czy Michał Głowiński śledził nekrologi księży i biskupów, bo od Kościoła i religii trzymał się raczej z daleka, choć we wdzięcznej pamięci zachował siostry służebniczki, które w prowadzonym przez siebie w Turkowicach w czasie wojny domu sierot przechowały wiele dzieci (w tym żydowskich) w bardzo trudnych warunkach i niewątpliwie uratowały mu życie. Kilka zakonnic otrzymało potem za to tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Niestety, planowana praca nie powstała, a szkoda, bo podobno miała zawierać rozdział poświęcony kłamstwu nekrologicznemu.

Rozpoczęliśmy opis sylwetki biskupa i nuncjusza Józefa Wesołowskiego w ten nietypowy sposób, gdyż na jego pogrzebie doszło do interesującego przesunięcia znaczeń w jego życiorysie, co nosiło wszelkie znamiona właśnie kłamstwa nekrologicznego. Powiedzmy sobie szczerze, że gdyby nie przedwczesna śmierć nuncjusza, do której doszło w chwili, gdy oczekiwał na proces, i gdyby nie późniejszy osobliwy pogrzeb w jego rodzinnej miejscowości, Czorsztynie, to z całą pewnością nie znalazłby się w naszej kolekcji watykańskich skandalistów.

I podkreślmy to jeszcze raz: nie chodzi nam wcale o wskazanie konkretnego przedstawiciela watykańskiej dyplomacji, tylko o mechanizm tuszowania prawdy i manipulowania opinią publiczną stosowany przez instytucję, która się mieni strażniczką wartości moralnych i obrończynią wartości rodzinnych. Tymczasem jedne i drugie wartości Kościół ma w głębokiej pogardzie, gdy

FOT. ŁUKASZ GAGULSKI/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625

zagrożony jest jego interes i „dobre imię", czego dowodzi też historia Wesołowskiego. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że pogrzeb oskarżonego o pedofilię biskupa prowadził inny biskup, który kilka lat później zostanie oskarżony dokładnie o to samo.

Nie potrzeba wielkiej przenikliwości, by się domyślić, że bagatelizując przestępstwa zmarłego, bp Jan Szkodoń, bo o nim tu mowa, w trakcie przewodzenia uroczystościom pogrzebowym Wesołowskiego zapewne zastanawiał się, czy i jego przestępstwo molestowania nieletniej osoby ujrzy kiedyś światło dzienne.

I Szkodoń, i Wesołowski niemal w tym samym czasie studiowali w seminarium duchownym w Krakowie i zostali wyświęceni na księży (Szkodoń w 1970, a Wesołowski w 1972 r.) przez ich biskupa, Karola Wojtyłę. Trudno więc nie myśleć o ich środowisku seminaryjnym, w którym te „szczególne powołania" się ukształtowały. I jeden, i drugi zrobili karierę… Temat mikrokosmosu seminariów katolickich czeka ciągle na swojego dziejopisa, bo dotychczasowe publikacje są tylko nieśmiałymi odkrywkami tej rzeczywistości. (…)

Warto wspomnieć, że we mszy pogrzebowej Wesołowskiego, odprawionej 31 sierpnia 2015 r. w Watykanie przez kard. Konrada Krajewskiego, użyto formularza dla osób świeckich, natomiast odprawione uroczystości pogrzebowe kilka dni później, 5 września, w Polsce odbyły się z pełnymi honorami i z jawnym pogwałceniem elementarnych faktów, już znanych opinii publicznej.

Miesiące poprzedzające śmierć i podwójny pogrzeb tego kościelnego dostojnika to prawdziwa łamigłówka prawna – mamy nieodparte wrażenie, że Watykan robił wszystko, by rozmyć odpowiedzialność za pedofilskie przestępstwa byłego nuncjusza w Dominikanie. Dzisiaj nie byłoby to już takie łatwe ze względu na dociekliwość dziennikarzy. Ale tak czy siak, publikacja trudno dostępnych akt tej sprawy na pewno rzuciłaby światło na temat sposobów dezinformacji stosowanych w tej kwestii przez Watykan.

Jednym z takich wnikliwych dziennikarzy jest niewątpliwie Mirosław Wlekły, który o Kościele czasów pontyfikatu Jana Pawła II napisał dwie książki. W pierwszej z nich, powstałej pod wrażeniem pierwszych doniesień medialnych o pedofilskich skandalach z udziałem duchownych katolickich „All inclusive. Raj, w którym seks jest Bogiem", głównym bohaterem jest właśnie nuncjusz Józef Wesołowski. Wlekły znalazł się w Dominikanie tuż po wybuchu skandalu i na gorąco notuje reakcje dziennikarzy i bohaterów ich reportaży.

Jednym z nich jest taksówkarz dobrze pamiętający Wesołowskiego. Mówi o nim tak: „Aramis Burgos, jowialny i stale uśmiechnięty taksówkarz z Zona Colonial, zazwyczaj czeka na klientów przy deptaku El Conde. Mówi, że często widział nuncjusza Wesołowskiego przechadzającego się po okolicy. – Chodził z zasępioną miną. Jakiś zamknięty, niedostępny. (…) Później dzieciaki z okolicy zaczęły szeptać, po co ten facet tu się kręci. Aż w końcu z programów Nurii i Alicíi dowiedziałem się, że to nuncjusz. No szok. Teraz ludziom jest wstyd, odchodzą z Kościoła. Ja zrobiłem to wcześniej, rok temu. Dość już miałem tego zakłamania".

Wierni wobec przestępców w sutannach wykazują zdumiewającą wyrozumiałość.

Najciekawsze są rozmowy z diakonem, który został aresztowany za próbę napastowania nieletniego chłopaka. Jak się okazało, to kochanek polskiego nuncjusza, który prokuraturze nie szczędził szczegółów swojej znajomości z „dostojnym" urzędnikiem watykańskim: „Kilka dni później wszyscy już wiedzą, że diakon wyznał prokuratorom, że był kochankiem Wesołowskiego. Poza tym wyszukiwał i dostarczał mu chłopców. Kiedy Reyesa aresztowano za napastowanie nastolatka, nuncjusz czekał »na łup« w zaparkowanym nieopodal samochodzie". A opowiada o tym tak:

„Miałem 22, a może 23 lata, gdy zaczęliśmy ze sobą współżyć. Robiliśmy to w siedzibie nuncjatury. Wesołowski był uzależniony od seksu. Szukał czegokolwiek, co zaspokoi jego apetyt". Objaśnienia Reyesa tylko zwiększają dysonans poznawczy, ale w Polsce sprawa została skutecznie wyciszona (...).

Trudno się więc dziwić, że Mirosław Wlekły wraca do tematu w swojej drugiej książce, opublikowanej osiem lat po śmierci Wesołowskiego. Chodzi o wydaną w 2023 r. „Nie nasz papież. Pontyfikat Jana Pawła II na świecie", w której sprawę Wesołowskiego podsumowuje tak: „Aferę Wesołowskiego zdążyły nagłośnić już lokalne media. Jak się okazało, o pedofilii polskiego duchownego i gwałtach na miejscowych chłopcach z ulicy środowiska duchownych w Santo Domingo wiedziały od przynajmniej kilku lat. Wydaje się mało prawdopodobne, że nikt nie poinformował o tym Stolicy Apostolskiej. Władze kościelne milczały.

Pierwszy zareagował Bergoglio. Wkrótce kanoniczny trybunał Kongregacji Nauki Wiary wydalił Wesołowskiego ze stanu kapłańskiego, a w Stolicy Apostolskiej miał się odbyć proces, pierwszy w historii w sprawie pedofilii tak ważnego hierarchy. W przeddzień jego rozpoczęcia Wesołowski został jednak przewieziony na oddział intensywnej terapii, a półtora miesiąca później zmarł. Według oficjalnego komunikatu na atak serca". To nie ostatnia śmierć duchownego w momencie, gdy miał sądownie zdać sprawę ze swoich przestępczych działań. Przypomina się sprawa Andrzeja Dymera, o której pisaliśmy w „Skandalistach w sutannach". Nie wiemy, czy tak działa miłosierdzie Boże, czy jednak ludzie mu pomagają.

Uporządkujmy podstawowe fakty z życia naszego bohatera. Wikipedia tym razem okazuje się nader precyzyjnym i dobrze udokumentowanym źródłem informacji, zwłaszcza jeśli chodzi o przestępstwa na tle seksualnym, o których swego czasu szeroko rozpisywały się media nie tylko polskie, ale i światowe. Nas jednak te fakty nie bulwersują, zdążyliśmy się z nimi oswoić, dziwi nas natomiast łatwość, z jaką są one zapominane i całkowicie ignorowane nie tylko

eprasa.pl 1a9b1c2625

przez księży i biskupów, ale przez zwykłych wiernych, którzy wobec przestępców w sutannach wykazują zdumiewającą wyrozumiałość, a ich odrażające zachowania tolerują jako zwyczajne, bo przecież „każdemu może się coś takiego przydarzyć, a w ogóle to najlepiej o tym nie mówić, a już w żadnym wypadku nie pisać, bo to szkodzi dobremu imieniu Kościoła, który przecież robi tyle dobrego". Nie podzielamy takiego stanowiska i uważamy, że nie tylko należy o tym pisać, ale też piętnować niszczące dla życia społecznego przemilczanie takich zachowań.

To za pontyfikatu Jana Pawła II doszło do eskalacji kościelnego zainteresowania ludzką seksualnością.

W każdym razie Józef Wesołowski urodził się w 1948 r. we wsi Mizerna, której hasło również znajduje się w Wikipedii z adnotacją, że „urodził się tutaj były duchowny i biskup JW", z linkiem do naszego bohatera. Po ukończeniu szkoły średniej w Nowym Targu wstąpił do seminarium duchownego w Krakowie, gdzie został wyświęcony na księdza.

Jego kariera dyplomatyczna zakwitła w chwili, gdy jego biskup Karol Wojtyła został papieżem w 1978 r. W istocie od 1980 do 2014 r. Wesołowski był pracownikiem watykańskiej służby dyplomatycznej niemal na całym świecie. Nas interesują jednak lata 2008-2013, które spędził jako nuncjusz w Dominikanie, bo stamtąd pochodzą kompromitujące go materiały. Z chwilą ujawnienia aktów przemocy seksualnej wobec nieletnich wydarzenia potoczyły się szybko: wyjazd z Dominikany, areszt w Watykanie, oczekiwanie na proces, choroba i śmierć.

Prowadzący pogrzeb bp Szkodoń powiedział: „Razem ze zmarłym prosimy o przebaczenie. Kto jest bez grzechu, niech pierwszy kamień rzuci, niech rzuci". W myśl rzymskiej zasady, żeby o zmarłych nie mówić źle, Szkodoń nie odniósł się do stawianych zmarłemu duchownemu zarzutów pedofilii. Zaznaczył jednak, że Wesołowski do śmierci był duchownym i codziennie odprawiał mszę. Odczytano też fragment listu zmarłego do rodziny: „Zachowuję pogodę ducha, dlatego że nie popełniłem tych strasznych czynów, a moja główna wina to nieroztropne spacerowanie nad morzem i kontakty z dziećmi ulicy, które okazały się powiązane z handlem narkotykami i prostytucją".

W istocie przed złożeniem trumny do grobu członek rodziny zmarłego – Franciszek Piper – przedstawił własną wersję życia krewnego. Podkreślił, że pełnił posługę kapłańską w wielu krajach, ale nigdzie nie był oskarżany o pedofilię: „Wszędzie oddawano ci szacunek za twoją pomoc. Nuncjusz apostolski Wesołowski był wszędzie tam, gdzie potrzebna była pomoc drugiemu człowiekowi. Ostatnim miejscem jego posługi była Dominikana, jeden z najuboższych krajów świata, trzeci na świecie kraj pod względem moralnej deprawacji dzieci i młodocianych".

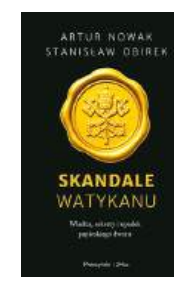
I wszystko wskazuje na to, że uczestnicy pogrzebu właśnie tę wersję wydarzeń przyjęli za najbardziej przekonującą. Natomiast Mirosław Wlekły we wspomnianej książce pisze tak: „»Corriere della Sera« doniósł, że nuncjusz mógł należeć do międzynarodowej siatki pedofilskiej. 86 tys. zdjęć i ponad sto nagrań wideo z dziecięcą pornografią, które znaleziono w jego komputerach, w tym jednym należącym do Watykanu, nazwał archiwum grozy. Podejrzewano, że wykorzystał dziesiątki nieletnich. Ale ze względu na stan zdrowia Wesołowski opuścił areszt domowy". Czy musimy wybierać między tymi wersjami? (...)

Warto podkreślić jeszcze jedną rzecz. To właśnie w czasie pontyfikatu Jana Pawła II doszło do niespotykanej wcześniej w katolicyzmie eskalacji kościelnego zainteresowania ludzką seksualnością. Rygorystyczna doktryna moralna, wypracowywana jeszcze w krakowskim środowisku Wojtyły – przy znaczącym udziale Wandy Półtawskiej, jego najbliższej współpracowniczki w sprawach etyki seksualnej – przerodziła się z czasem w prawdziwą obsesję instytucji.

Nie chodziło już wyłącznie o aborcję. Kościół uczynił polem ideologicznej wojny także antykoncepcję, edukację seksualną, prawa kobiet, prawa osób LGBT, rozwody, zapłodnienie in vitro i wszelkie formy życia intymnego wymykające się doktrynalnej kontroli. Właśnie wtedy katolicyzm zaczął skutecznie konkurować z protestanckimi fundamentalistami, którzy w Stanach Zjednoczonych stworzyli kobietom polityczne i religijne piekło: świat, w którym ciało, macierzyństwo i seksualność stały się przedmiotem nieustannego nadzoru.

Dopiero w tym kontekście widać pełny wymiar hipokryzji instytucji. Kościół, który z taką bezwzględnością rościł sobie prawo do kontrolowania cudzej seksualności, równocześnie przez lata chronił własnych ludzi oskarżanych o nadużycia. Przypadki Józefa Wesołowskiego i Jana Szkodonia – którego wymieniamy tutaj dlatego, że każdy biskup pozostaje częścią hierarchicznego aparatu Kościoła i działa w systemie zależności wobec Stolicy Apostolskiej – pokazują tę sprzeczność w całej ostrości. Z jednej strony: kazania o czystości, grzechu, rodzinie i nienaruszalnym porządku moralnym. Z drugiej strony: milczenie, przenoszenie winnych, zamiatanie spraw pod dywan, chronienie reputacji instytucji i produkowanie języka usprawiedliwień. Im głośniej Kościół mówił o seksualności świeckich, tym bardziej kompromitujące stawało się jego milczenie wobec seksualnej przemocy we własnych szeregach.

Dlatego sprawy Wesołowskiego i Szkodonia nie są marginesem tej opowieści. Są jej logicznym centrum. Pokazują bowiem instytucję, która chciała być sędzią ludzkich sumień, a nie potrafiła – albo nie chciała – osądzić siebie.



Fragmenty książki Artura Nowaka i Stanisława Obirka *Skandale Watykanu*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2026

eprasa.pl 1a9b1c2625



DRZEWA MA

W LESIE JUŻ TRWA WIELKIE WYMIERANIE

Urszula Zajączkowska

Rośliny w porównaniu ze zwierzętami potrzebują zdecydowanie więcej czasu, by zareagować na zmiany środowiska, w którego bliskości żyją. Przede wszystkim jednak nigdzie nie uciekną – jeśli nie dadzą rady, to po prostu umrą. I właśnie umierają. Czas adaptacji czy aklimatyzacji u drzew może sięgać nawet kilku pokoleń, czyli kilkuset lat. To trudne do zamknięcia w klamrze wyobraźni, jaką w odniesieniu do przyszłości dysponujemy. Tym bardziej trudno dostrzec, że to się dzieje już – a niemal niemożliwe staje się włączenie tego w granice naszej empatii, bo dotyka istot przyrody, z którymi się nigdy naprawdę głęboko nie zaprzyjaźniliśmy. Potrafimy rozpaczać nad śmiercią chomika czy kota, ale nad żabami, owadami czy tym bardziej roślinami rzek już tylko trochę.

Trwa wielkie wymieranie, ale nasze doświadczenie ciała mylnie mówi nam, że to tylko nic nieznaczące zmiany. Średnia temperatura wyższa o 1 st. C? To tylko tyci cieplej. Poziom wód o kilka centymetrów wyżej – czy to nie zaledwie jak do kostek? Kilka procent cieńsza warstwa śniegu? Ciut wyższe stężenie CO_2 w atmosferze? To wciąż nie wygląda na katastrofę. A dla wielu gatunków, szczególnie dla drzew, to wyrok.

Już dziś drzewa żyją w powietrzu o stężeniu CO_2, do którego nie są przygotowane. Drobna zmiana stężenia powoduje też, że szczególnie te największe cierpią przez coraz silniejsze w nich podciśnienie, podczas suszy niszczy nawet całą koronę. Kiedy brakuje wody w glebie, muszą ją pobierać z wnętrza własnych ciał. Dostają czkawki, zapowietrzają się, potem wewnątrz nich jest już tylko powietrze. A dookoła pojawia się coraz więcej żarcia. Azot z kominów i rur, azot z pól cieknący pod ziemią to nawozy, którym trudno się oprzeć. Azot niszczy też mikoryzy, czyli grzyby, bez których pobieranie wody przez drzewa jest niemożliwe. Drzewa stają się więc coraz słabsze, są jak tuczone brojlery, którym ciągle chce się pić. Rośliny na całym świecie tworzą też coraz mniej nektaru, bo jest zbyt kosztowny energetycznie, co z kolei dobija zapylacze, i tak już wymęczone przez chemioterapię z uprawnych pól i sadów.

Oczywiście są takie drzewa, dla których obecne warunki przyrody są jeszcze znośne, najczęściej to gatunki z południa lub te o bardzo specyficznej anatomii drewna – ale one też funkcjonują na granicy wytrzymałości i zmieniają się. Drzewem niezwykle wrażliwym na zmiany klimatu jest sosna zwyczajna. To gatunek najczęściej występujący w naszych lasach, rosnący w chłodniejszych rejonach świata, na lichych glebach pełnych piachu. To drzewo ewolucyjnie stare, z szeregiem wymuskanych przez miliony lat ewolucji sposobów na to, by zachować w sobie wodę i zawsze zachować ścieżki, gdy trafi się rana. Sosny żyją nawet na wydmach, zauważycie. Nawet w popiele – wskażecie drzewo zza rogu. Jednak podobnie jak pogoda w danym dniu nie świadczy o zmianach klimatu, tak i żyjąca obok w lesie sosna nie jest przedstawicielką zasięgu zmian na całym kontynencie. Badania pokazują, że z sosnami, jakie znamy, możemy się już żegnać.

Drzewa osłabia nie tylko pogłębiający się całoroczny brak wody, ale przede wszystkim coraz mniej przewidywalne wiosenne susze. Spragniony człowiek nie czyta, nie słucha, nie myśli, on szuka kranu. Gdy się napoi, wystarczy chwila, by odzyskał siły i o tym chwilowym nieszczęściu zapomniał. Rośliny reagują inaczej. Choćby przyszły zaraz rzęsiste deszcze, prawdziwe ulewy, rośliny przez cały rok nie osiągną już poziomu witalności, na jakim by były, gdyby wiosną także padało.

To samo dotyczy pożarów w lasach Kalifornii. Wiemy, że tylko w płomieniach otwierają się sklejone żywicą szyszki tamtejszych sosen, ale te same płomienie ranią drzewa, powodując mniejsze przyrosty drewna, a zatem i mniejszą objętość ich ciał, które będą mogły przewodzić wodę. Do końca sezonu pozostają niedopite.

Pożary i susze występują coraz częściej, drzewa stają się słabsze. Zaraz znajdują się też ci, którzy na czynniki pierwsze zdemontują ten brak żywotności – pasożytnicze

eprasa.pl 1a9b1c2625



JĄ CORAZ MNIEJ CZASU

grzyby, owady i bakterie. Coraz częściej zauważam jemioły rozpierzchłe na wielkich, osłabionych przez suszę sosnach. Wysysają z nich wodę, dokańczając dzieła. Na wielu drzewach jest ich tyle, że z daleka wygląda to jak bogata i gęsta korona. To nawet nie jest początek ich końca, ale bardzo zaawansowany stan wymierania.

Suche lato skrzypi w lesie pod nogami. Nierzadko spotykam liście z poprzedniego roku bez najmniejszych oznak rozkładu materii. Nie zostały zaszczepione bakteriami i grzybami, które mogłyby uruchomić to fundamentalne zjawisko tworzenia życia. Skrzypiąca ściółka w lesie i jemioły w koronach pokazują, że śmierć się dzieje. Samotny orangutan na miejscu rzezi tropikalnej puszczy to tylko miliardowa część promila śmierci na nagle obnażonej glebie.

Wysuszona ziemia ma też zredukowaną zdolność do ponownego przyjęcia wody. Nie chłonie już tak łatwo. I kiedy – jak to bywa ostatnio w Polsce – po kilku tygodniach braku deszczu pojawia się burza, woda spływa po glebie, jeszcze bardziej niwecząc jej strukturę, wypłukuje kolejne warstwy aż do mineralnego rdzenia. Jedynym ratunkiem dla ziemi jest tygodniowa mżawka, łagodny kapuśniaczek, delikatnie pokrywający wysuszonego strupa błonką wody.

Ekosystem stanowi wielowymiarową, przestrzenną macierz nakładających się setek gatunków i dziś niemal wszystkie tam ulegają nieustannemu przemieszczaniu. Więcej jest zagrożonych i na wymarciu niż tych, które mogłyby odbudować biosferę w innej postaci. Na całej ziemi gatunki tworzą zasięgi, które kończą się granicą ich wytrzymałości. To krawędź świata, który dla nich nie jest już do życia. Umieranie zaczyna się właśnie tam. To miejsce działania odmiennego środowiska, które dla gatunku jest swoistą zaporą. Dzieląc ziemię na pola, drogi, wielkie rębnie, zwiększamy działanie nieprzychylnego świata na przyrodę, bo otwieramy jej wnętrza, szatkujemy ją, obnażając z każdej strony.

A zatem jak będą wyglądały drzewa w przyszłości? Wiele modeli pokazuje, że wielkie drzewa będą umierać, ale siewki i młode pokolenia przyśpieszą wzrost, korzystając ze zwiększonej zawartości CO_2 i azotu w środowisku. Jeśli jednak skład atmosfery się nie zmieni, umrą szybciej niż ich macierzysta generacja. Ekstynkcja obejmie coraz większe obszary, lasy częściej zmieniać się będą w stepy, a tam, gdzie się zachowają, będą niższe, liściaste i raczej krótkowieczne. (…)



Fragment książki Urszuli Zajączkowskiej, *Patyki, badyle,* wydanie poszerzone, Marginesy, Warszawa 2026

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 1a9b1c2625

Falstart w Lidze Europy

Czas na Ligę Narodów

Wojciech Kuczok

Takiej jesieni najstarsi kibice nie mogą pamiętać – tyle co się rozkręciły ligi, tyle co wystartowały europejskie puchary, a już nam każą odpoczywać od piłki klubowej aż trzy tygodnie. Wszystko za sprawą Ligi Narodów UEFA, w której europejskie reprezentacje rozegrają po cztery mecze w odstępie 11 dni.

Nasza kadra po raz pierwszy w historii nie wystąpi w najwyższej klasie, z której spadła za kadencji Michała Probierza. O powrót do elity powalczymy w najbliższym czasie dwukrotnie z Bośnią i Hercegowiną, a także z Rumunią w Warszawie i ze Szwecją na wyjeździe. Zwłaszcza mecz w Sztokholmie zapowiada się frapująco jako rewanż za przegrany wiosną baraż przedmundialowy. Ze Szwedami powinniśmy powalczyć o awans, w meczach z pozostałymi rywalami wystąpimy w roli faworytów, jeśli w przypadku polskiej kadry narodowej w ogóle wolno używać takiego określenia.

Na okoliczność najdłuższego od lat zgrupowania reprezentacji Jan Urban ogłosił powołania i choć dziennikarze niejako z obowiązku szukają w liście kadrowiczów sensacji, aby im się teksty klikały, tak naprawdę Urban nie zaprosił nikogo na wyrost ani też nikogo niesprawiedliwie nie pominął. Zagrają najlepsi obecnie nasi piłkarze. Wśród nich kilku debiutantów, których obecność w kadrze jednak dziwić nie może.

Wiktor Nowak szaleje w Slavii Praga – młody polski pomocnik zdobył pięć goli i zaliczył asystę w ośmiu meczach ligi czeskiej, to powołanie było nieuniknione. Piłkarz pięknie się rozwija, szybko przeszedł drogę od pierwszoligowego Znicza Pruszków, przez ekstraklasowy sezon w Wiśle Płock, by stać się podstawowym zawodnikiem mistrza Czech i zadebiutować w pierwszym składzie w Champions League. Wojciech Mońka, obrońca Lecha, jest talentem czystej wody, kolejną młodą gwiazdą poznańskiej akademii piłkarskiej, z której wywodzą się także inni powołani przez Urbana: odrodzony w azerskim Sabah Baku Tymoteusz Puchacz, stoper FC Porto Jan Bednarek, obrońca kijowskiego Dynama Tomasz Kędziora, pomocnik Benfiki Jakub Kamiński oraz skrzydłowy Lens Michał Skóraś.

Spośród nich najtrudniejszy start sezonu miał Kamiński, bo w lidze portugalskiej grzał ławę, ale w czwartek w prestiżowym starciu na San Siro z Milanem był bohaterem wieczoru – zaliczył asystę, a potem pewnie kropnął pod poprzeczkę w meczu Ligi Europy. Szansę na debiut w kadrze dostanie także Adrian Benedyczak, wyjątkowo skuteczny na początku sezonu w bardzo silnej lidze tureckiej.

> Jan Urban nie zaprosił nikogo na wyrost ani nikogo niesprawiedliwie nie pominął.

Dziennikarze najbardziej grymaszą na brak nominacji dla Karola Czubaka, najlepszego polskiego snajpera Ekstraklasy, ale podzielam zdanie selekcjonera, że skuteczność na polskich boiskach nie oznacza jeszcze klasy reprezentacyjnej. Jest za to inny ekstraklasowicz, Karol Świderski, na razie w Widzewie rozczarowujący, ale w reprezentacji sprawdzony i od lat niezawodny. Ja bym bardziej zwrócił uwagę na ignorowanie świetnej formy Mateusza Bogusza, który w Meksyku robi furorę, ale lista napastników siłą rzeczy musiała być ograniczona – skoro Robertowi Lewandowskiemu chce się przylecieć z Ameryki, brak powołania byłby afrontem wobec naszego najlepszego gracza w historii.

Znacznie krótszą drogę do pokonania będzie miał Mateusz Żukowski, supersnajper Magdeburga, ale czy liga meksykańska jest silniejsza od drugiej Bundesligi, nie mam przekonania. Bardzo mnie cieszy wybór bramkarzy, bo jest bezpośrednią reakcją na aktualną formę, nie ma przywiązania do nazwisk – Skorupski i Drągowski obniżyli loty, przytrafiają im się kuriozalne interwencje w kluczowych momentach, jak choćby Drągowskiemu w ostatnich chwilach meczu z Lechem Poznań.

Tymczasem Kamil Grabara zadebiutował w Juventusie w Lidze Europy i od razu zaliczył… asystę, gdy fenomenalnym podaniem przez trzy czwarte boiska obsłużył Nico Gonzáleza. Mateusz Kochalski wyrobił sobie markę zeszłej jesieni, występując w Lidze Mistrzów w Karabachu Agdam, właśnie został sprowadzony do Ekstraklasy i zdążył już stanąć w bramce Wieczystej. Marcin Bułka wrócił po długotrwałej rehabilitacji i gra regularnie w lidze saudyjskiej. Cieszy powrót do kadry Kacpra Urbańskiego, który odbudował się tego lata w Zabrzu i lideruje Górnikowi.

W Zabrzu czas euforii, bo Górnicy idą na majstra – co najmniej do połowy października pozostaną samodzielnym liderem tabeli. Drużyna już ograła głównego kontrkandydata, z ośmiu meczów wygrała siedem, lideruje z dużą przewagą, w dodatku z Europą obeszła się sprytnie – pokopali z potęgami, wstydu nie przynieśli, ale jesienią w pucharach wykrwawiać się nie będą. Reszta sezonu wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie się rozgrywała jak za dawnych lat pod hasłem „gonić Górnika!”. Po ostatnich dwóch

eprasa.pl 1a9b1c2625



Kajetan Szmyt z Jagiellonii (z lewej) walczy o piłkę z Jotą Silvą z Olympiakosu. Mecz fazy wstępnej Ligi Europy. Ateny, 16 września 2026 r.

kolejkach nie bardzo widzę, kto miałby temu zadaniu podołać. Lech oberwał, kiedy już dzielił skórę na niedźwiedziu, Erik Prekop nie mógł się przebudzić w lepszym momencie. Korona u siebie była kompletnie obezwładniona, Górnicy zostawili jej piłkę i postawili na konkrety – reprezentant Dominikany Peter González strzelił dwa gole, podczas gdy gospodarzy przez półtorej godziny stać było na dwa strzały niecelne. Zabrzanie łoją zatem równo tyłki wszystkim i patrzą, jak puchną, a kompletu punktów nie mają tylko przez kilkuminutowe rozkojarzenie w doliczonym czasie klasyka z Gieksą, kiedy dwukrotnie skarcił ich Szkuryn.

W czwartek Lech i Jagiellonia zaliczyły spodziewany falstart w Lidze Europy. Jagiellonia dzielnie walczyła w Pireusie, dopóki boiska w przerwie nie opuścił Taras Romanczuk. Nastoletni Eryk Kozłowski nie był w stanie zrównoważyć straty doświadczonego kapitana drużyny. Jakość rezerwowych po raz kolejny okazała się decydująca – polskie kluby wciąż mają zbyt krótką ławkę na taki poziom rozgrywek. Grekom zwycięstwo zapewnił właśnie zmiennik, Roman Jaremczuk, wykorzystując swój główny atut – świetne uderzenie głową.

Liga Europy nie wybacza nawet chwili rozkojarzenia, ale ekipie Siemieńca należy przyznać, że w pierwszej odsłonie grała świetne zwody i mogła nawet prowadzić dwoma golami, po przerwie zaś długo szczęśliwie się broniła. Choć konsekwentne wykonywanie zalecenia trenera, aby rozgrywać piłkę pod presją od bramki, graniczyło z obsesją i mogło przyprawić o palpitacje serca, gdy Sławomir Abramowicz do ostatnich chwil zwlekał z podaniem do obrońcy, przez co często był na granicy niebezpiecznej straty albo nie miał już czasu, by podać celnie. Skończyło się honorowym 1:2.

Niestety, Lech w Londynie się skompromitował, oberwał 0:4 od Crystal Palace na własne życzenie. Zaczął odważnie, powinien nawet szybko zdobyć gola, gdyby nie fatalne zachowanie Mikaela Ishaka w czystej sytuacji – z kilku metrów przymierzył tak koszmarnie, że strzelił na aut… boczny. To, co wyczynił w 10. minucie Ghańczyk Terry Yegbe, zakrawa na dywersję. Na wysokości własnego pola karnego wyrzucił piłkę z autu w poprzek boiska prosto pod nogi hiszpańskiego napastnika – a Yeremi Pino bez trudu wykorzystał sytuację sam na sam. Taki sabotaż podcina skrzydła, Lechici wyraźnie zgaśli i zaczęli popełniać proste błędy w defensywie. Radosław Murawski udawał, że kryje przy centrze o 15 cm wyższego Chrisa Richardsa, i nawet nie podskoczył do główki, po której padł drugi gol. Kilka minut później sfaulował rywala w polu karnym – jedenastka i 3:0, z Lecha nie było co zbierać. Jeszcze przed przerwą Yegbe zdołał trafić do własnej bramki z… 40 m, na szczęście sędzia po konsultacji VAR dopatrzył się u zarania tej akcji spalonego Anglików. W drugiej połowie dramat Lecha się dopełnił za sprawą wracającego po kontuzji Nketiaha. Murawskiego już wtedy na boisku nie było, bo za drugie żółtko wyleciał z boiska.

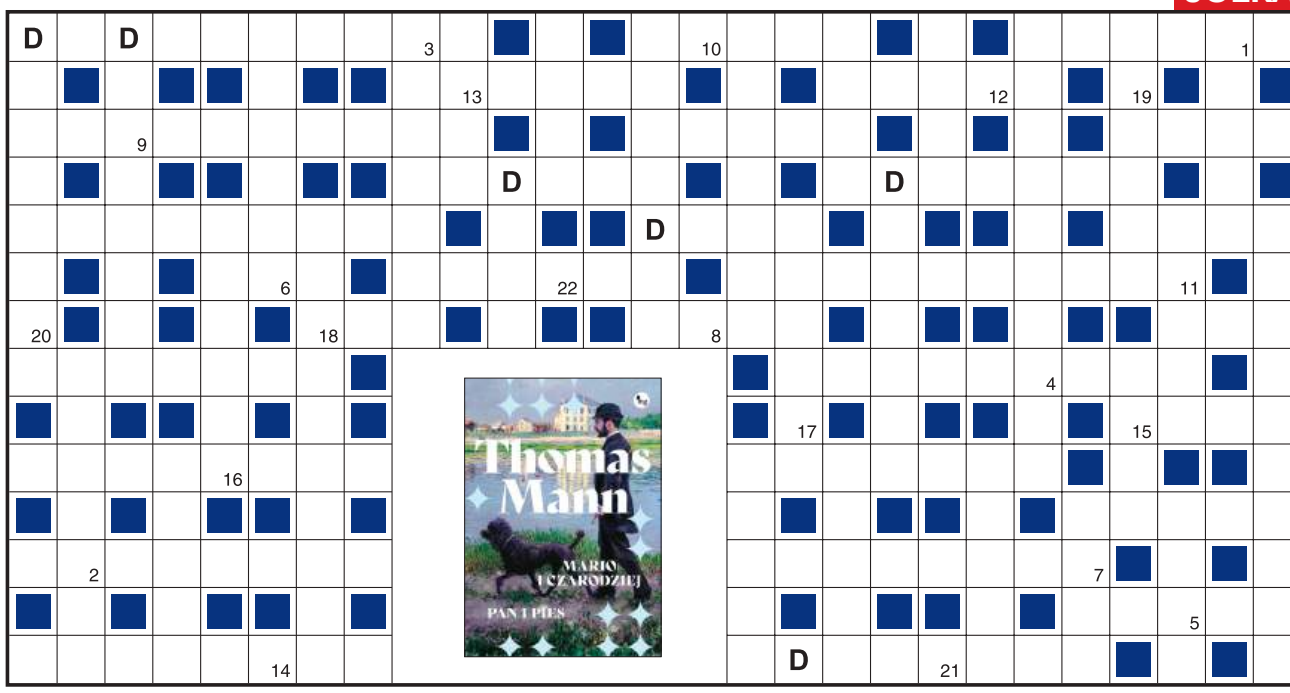
W starciach z silniejszymi rywalami mam zawsze tylko jedną nadzieję i wymagania wobec polskich klubów – skoro i tak są sportowo słabsi, porażka hańbą ich nie okrywa, ale niechże przynajmniej przeciwnik się wysili, aby dopiąć swego. Olympiakos w Pireusie musiał zagrać na swoim najwyższym poziomie, żeby w końcu złamać Jagę. Lech trzy z czterech goli rywalom podarował, przy czym pierwszy prezent należałoby raczej uznać za łapówkę i nadać mu wymiar piłkarskiego kryminału. W lipcu Yegbe dał się zapamiętać cudownym golem w Aarhus, teraz będzie mu raczej wypominany koszmarny, niepoczytalny błąd w Londynie.

Że Liga Europy to za wysokie progi dla naszych klubów, mogliśmy przypuszczać, teraz już o tym wiemy. Na domiar złego Lech miał naprawdę kiepskie losowanie. O awansie nie ma raczej co marzyć, a spoglądając na terminarz, jest wysoce prawdopodobne, że przynajmniej do grudnia Lechici pozostaną w tabeli z zerowym dorobkiem punktowym. Jaga ma szanse coś tam uciułać, ale wedle moich intuicji obie nasze ekipy zakończą rozgrywki już w styczniu, na fazie ligowej. ■

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7

8	9	10	11	12	13

14	15	16

17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- duża, barwna papuga
- sedan, SUV lub kabriolet
- po zdrowie albo nadawany sprawie
- i klinga, i tnąca część piły
- …sauvignon – popularna odmiana winorośli
- napisał „Śniadanie u Tiffany'ego"
- robi ją z gęby niesłowny, kłamca
- krwista polewka
- wojak uciekinier
- dostatek, wysoki poziom życia
- dawka, porcja
- drobina z deski
- …słoneczny nad głową boga Ra
- gdy na haczyku, to rosówka
- części składowe
- od Portugalii po Czukotkę
- birbant, utracjusz
- pisarka Murdoch lub posłanka bogów
- do robienia kopii przy pisaniu na maszynie
- „Panie Janie" lub Pachelbela
- wyznawczyni najliczniejszego nurtu chrześcijaństwa
- obozowisko wędrowców, bezdomnych
- motorower jak tnący owad
- Ochrony Pogranicza lub kadetów
- dryfująca tafla lodu
- diabeł z bagien i powieści Nienackiego
- kryty balkon w postaci wnęki
- mięczak w dwuczęściowej muszli
- szczotka do zmywania podłogi
- wymaga go zegarek mechaniczny
- ci, co atakują, także na murawie
- czegoś na swoją korzyść lub o 180 st.
- powstają w niej dzwony
- i część aktu, i nowa forma, postać
- wyraz uznania publiki
- lufcik jego częścią
- polski producent płytek ceramicznych
- napitek z browaru
- i znak dodawania, i dodatnia strona
- popularne włoskie wino musujące
- zboże na kaszę jaglaną
- pojazd przystosowany do bycia ciągniętym
- Hood lub pomocnik Batmana
- coś zwiniętego w kształt walca
- zadrapanie, pęknięcie, szczelina
- …roście patrząc na te czasy!
- łysy w glanach
- czy warto łapać dwie za ogon?
- bez butów chodzi w powiedzeniu
- z francuska zbiór czynników wpływających na wino
- karciana trójlistna koniczynka
- zorganizowany urlopowy wypoczynek
- pokrywa kufra
- soczewka w drzwiach
- krzyk taki, że uszy bolą
- wszywany kawałek koronki, tkaniny
- stare żelastwo
- kamyki na alejkę

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1292". Do rozlosowania książki „Mario i czarodziej. Pan i pies" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 27 września 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1289" z nr. 36: *Wiele daje, kto daje z radością.*
Nagrody otrzymują: Zofia Grzelak z Karczewa, Arkadiusz Kowalski ze Skarżyska-Kamiennej, Elżbieta Wiercińska z Bełchatowa.

eprasa.pl 1a9b1c2625

Strasburg. Znowu zmiana

Kto za kogo? Gdy Aleksander Pociej, prawnik, senator, wyjeżdżał do Strasburga na stanowisko szefa Stałego Przedstawicielstwa RP przy Radzie Europy, jedna z posłanek PO rozpływała się nad jego talentami. Że jako szef delegacji parlamentarzystów RP wyrobił sobie wielkie znajomości. I że to placówka akurat dla niego. A on umacniał ją i innych w tym przekonaniu, opowiadał, jakie rzeczy można w Radzie Europy załatwić i jak trzeba walczyć, żeby było tam więcej Polaków. Takie snuł plany. Cóż, mylili się oboje. Dość mocno. Aleksander Pociej wrócił do Warszawy. Dwa lata mu wystarczyły.

Że wróci, wiadomo było sporo wcześniej. W zasadzie już wtedy, kiedy ustalono, że na stanowisko jego zastępcy ma jechać Hubert Czerniuk. Niektórzy się temu dziwili – inni znacząco się uśmiechali. Czerniuk najlepsze swoje lata w MSZ zawdzięcza PiS i Andrzejowi Papierzowi. W centrali był zastępcą dyrektora Biura Dyrektora Politycznego, potem pracował w ambasadzie RP przy Unii Europejskiej i był zastępcą ambasadora Andrzeja Sadosia. Potem był konsulem w Lyonie. I tak płynnie przeszedł w nowe czasy. Było tylko pytanie, jak szybko się pozbiera. I czyim kosztem. Padło na Pocieja.

W ten sposób Strasburg wrócił w obszar wpływów PiS, albo raczej Kancelarii Prezydenta. Możemy tylko spekulować, czy niechcący, czy w wyniku jakichś ustaleń.

A jest to dosyć istotne, gdyż nawet takie małe placówki potrafią wywinąć wielkim tego świata niezły numer. Mało kto już to pamięta, ale przecież latem 2024 r. polska ambasada przy Radzie Europy była na ustach wszystkich. To był moment, kiedy policja weszła do mieszkania byłego wiceministra Marcina Romanowskiego i go zatrzymała. Na jeden dzień. Bo następnego dnia wieczorem, 16 lipca, sąd nakazał go zwolnić. I jak Romanowski wyszedł z aresztu, tak ucieka do dziś. A wyszedł dlatego, że do marszałka Sejmu dostarczony został list Teodorosa Rusopulosa, przewodniczącego Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, z napomnieniem, że „jako członek Zgromadzenia pan Marcin Romanowski korzysta z immunitetów i przywilejów przewidzianych w Umowie Ogólnej w sprawie przywilejów i immunitetów Rady Europy".

Szybko ustalono, jak do napisania tego listu doszło. Otóż w tym czasie ambasador w Strasburgu Jerzy Baurski był nieobecny. Zastępowała go Magdalena Marcinkowska. To nie była taka sobie zastępczyni – za PiS pracowała w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, była bliską współpracowniczką Piotra Glińskiego. Gdy Romanowski został zatrzymany, nie pisała do MSZ, że w Radzie Europy mogą być jakieś wątpliwości, które trzeba wyjaśnić. Nic z tych rzeczy. Za to powiadomiła o zatrzymaniu Sekretariat Generalny Zgromadzenia Rady Europy. I we wtorek, w trybie pilnym, sekretarz generalna, radca prawny i przewodniczący Rusopulos napisali list chroniący Romanowskiego. I wysłali do Warszawy.

Co było później – wiemy. Za tę nielojalność Marcinkowska wróciła do kraju. Odwołany został także ambasador Baurski. Zastąpił go Aleksander Pociej, już jako chargé d'affaires a.i. A teraz karuzela strasburska znów poszła w ruch.

Attaché



Teraz mówimy o wspólnych dążeniach – gospodarz szczytu BRICS Plus w New Delhi, premier Narendra Modi, z partnerami-rywalami Władimirem Putinem i Xi Jinpingiem. 12 września 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 1a9b1c2625







PENETRACJE

PROF. BOLESŁAW SAMOLIŃSKI,
ALERGOLOG, SPECJALISTA ZDROWIA PUBLICZNEGO

Na stronach Polskiego Towarzystwa Alergologicznego są autoryzowane przez naukę wiadomości. Co do wszystkich innych, to trzeba zachować ostrożność, bo mamy sporo szarlatanów, również w obszarze alergologii. Na przykład próbują diagnozować pacjentów z alergią dietetycy. Często stosując metody, które zostały wykluczone przez alergologów. Na przykład robiąc tzw. test Cambridge. Testy na IgG. Biorezonans, który jest stosowany już nawet nie przez dietetyków, ale w ogóle szarlatanów. To wszystko jest niewiarygodne. Myśmy już to sprawdzili, udowodniliśmy, że to nie działa. Za tym się kryje kasa. Jak zrobią test na IgG, to wezmą za to 2,5 tys. zł.

MARTA KULIGOWSKA,
DZIENNIKARKA TELEWIZYJNA I RADIOWA

Dostałam propozycję pracy w nowo powstałym TVN 24. Nie było wtedy telewizji stricte informacyjnej, żadnego kanału z newsami całą dobę, taka telewizja wydawała mi się abstrakcyjna. Zostałam zatrudniona 1 kwietnia 2001 r., w prima aprilis, brzmi jak żart, ale żartem nie jest. Pamiętam kartony, kable, wszystko w powijakach, cała redakcja mieściła się w trzech pokojach. Żartowano, że Mariusz Walter robi telewizję dla pięciu osób, w tym czterech swoich kolegów. Przez 12 lat wstawałam o czwartej rano, to było bardzo trudne, ale też strategiczne z punktu widzenia rodzica, bo pozwalało mi godzić bycie matką z obecną pracą. Dzięki temu, że kończyłam o 10.30 – co wszyscy widzą, ale nie widzą, o której się zaczyna – mogłam być z dziećmi.

KATARZYNA DOMAGAŁA-PEREIRA,
REPORTERKA

Nie o takim zakończeniu kariery marzył 67-letni Stephan-Andreas Casdorff. W czerwcu br. znany niemiecki dziennikarz w atmosferze skandalu został zawieszony w swojej publicystycznej działalności dla berlińskiego dziennika „Der Tagesspiegel". Spędził w nim 27 lat, w tym kilkanaście jako współredaktor naczelny i sześć lat jako wydawca gazety. Przez ostatnie półtora roku współpracował z dziennikiem, publikując w nim komentarze. Jak się okazało – generowane przez sztuczną inteligencję. Casdorff nie oznaczył ich jako wytworów AI, a tego wymagają wytyczne, które w 2025 r. ustaliła redakcja stołecznego dziennika.

STAN BORYS,
PIOSENKARZ

Co w życiu jest najważniejsze?

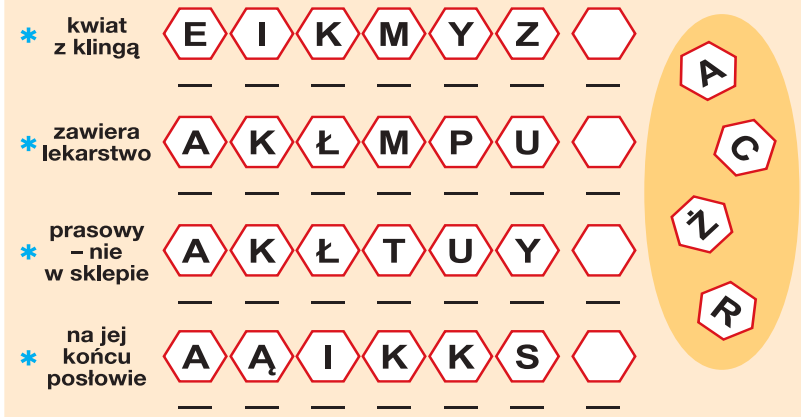
– Umiar. Nigdy się nie objadałem. Prawie nie paliłem i nie piłem alkoholu. Nauczyłem się swojego ciała, nie przesadzam w niczym, bo sztuka umiaru jest sztuką życia. Trzeba mieć pokorę, skromność i warto uczyć się każdego dnia nowych rzeczy. (…) Mój głos przez ostatnie lata był słaby i zmieniony. Nie mogłem praktycznie nic mówić bez kaszlu. Kilka tygodni temu dostaliśmy się do Centrum Słuchu i Mowy w Kajetanach. Tam w światowej sławy Instytucie Fizjologii i Patologii Słuchu naprawiali mi głos.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 1a9b1c2625

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.



ROZWIĄZANIA: MIECZYK, AMPUŁKA, ARTYKUŁ, KSIĄŻKA



Aby język giętki…

RENATA GROCHAL
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jakie haki pan Zbyszek ma na prezesa, że ten postanowił bronić go publicznie, robiąc z siebie idiotę?

GRZEGORZ SCHETYNA
O URZĘDNIKACH PREZYDENTA NAWROCKIEGO

Byli na straży tego przestępczego procederu kryptowalutowego, który był prowadzony przez Krala i spółkę. Byli ogromnie zaangażowani.

JOANNA SOLSKA O KORPOLUDKACH

Są pewne siebie, lubią demonstrować swój status, czyli mieszkanie na kredyt, auto w leasingu oraz weekendy w Barcelonie, Berlinie…

MARCIN PIĄTEK O CEZARYM KULESZY

Krążą relacje o słabości do alkoholu, jak również o grubiańskim i prostackim stylu bycia prezesa PZPN.

ANDRZEJ STANKIEWICZ
O BOGDANIE ŚWIĘCZKOWSKIM

Nie walczy o praworządność. Walczy o swój zadek.

TOMASZ KOT O JANUSZU CHABIORZE

Charyzmatyczny, typ lidera. Jego poczucie humoru to mieszanka Monty Pythona z Woodym Allenem.

MAGDA WALIGÓRSKA
O OŚWIADCZYNACH MĘŻA MATEUSZA

W końcu wydukał to jedno zdanie – „Czy byłabyś skłonna zostać moją żoną?”.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

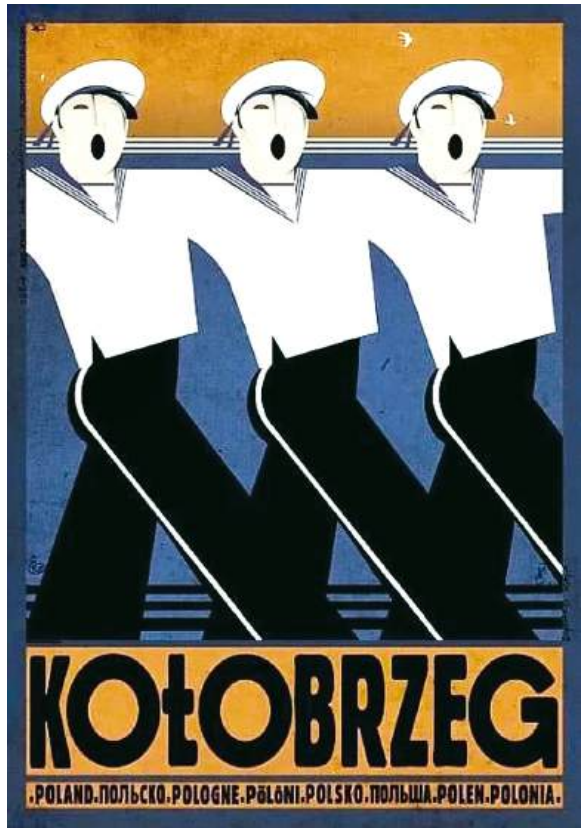
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

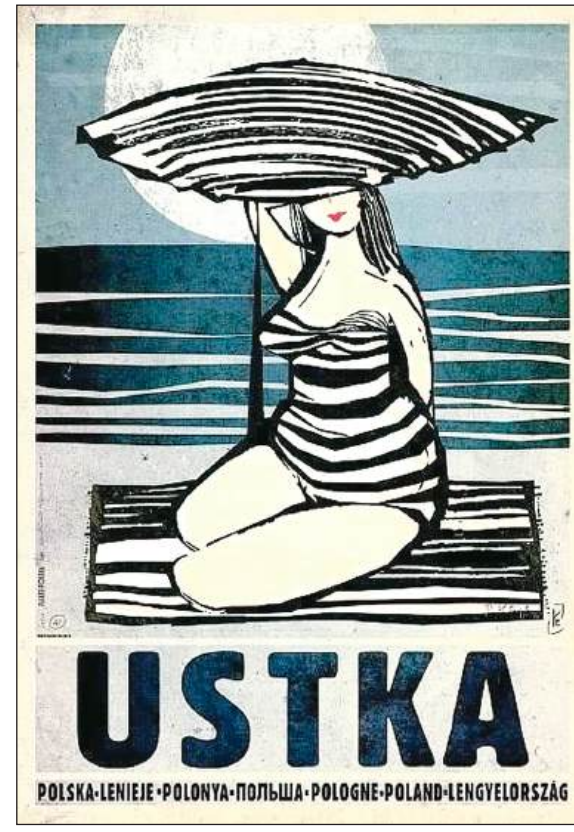
Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 1a9b1c2625

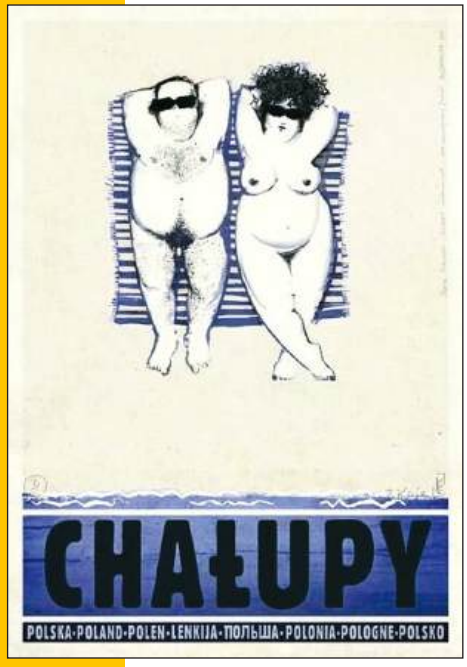
POLSKA
Plakaty Ryszarda Kai



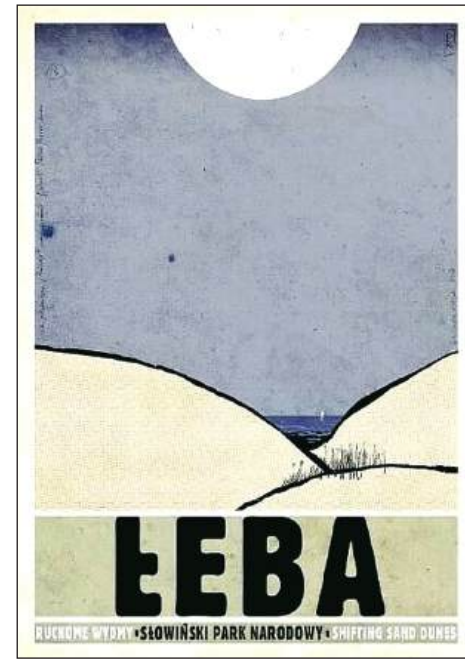


Grafik, scenograf i malarz Ryszard Kaja (1962-2019) w kultowym cyklu „Polska" z charakterystycznym poczuciem humoru, czułością i wyczuciem detalu stworzył niezwykły wizualny „przewodnik" po miastach i regionach. Wyrazista estetyka retro, błyskotliwe skojarzenia i rozpoznawalny styl Kai sprawiają, że prace te są jednocześnie opowieścią o polskiej tożsamości i atrakcyjnymi obiektami kolekcjonerskimi. Prezentuje je druga część wystawy „Wasze ulubione plakaty".

Galeria Grafiki i Plakatu
Warszawa, ul. Hoża 40
do 29 września







FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 1a9b1c2625

35 lat MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

KOBIETY Niepodległej

Aleksandra Piłsudska

Prelekcja
Joanny Oleszczuk

29.09.2026
wtorek /godz. 17.00



RóBREGE RÓBCZad

ceny biletów 80/120 zł

im. Roberta Brylewskiego

26/09/2026

Start 17:30



PALLADIUM
WARSZAWA

FATE
APOGEUM
THE HEMPOLICS (UK)
DUBSKA
tribute to "RAP GENERATION"
DUB INC (FR)
NEUROBY (ROBERT MATERA I KOSTEK USENKO)

organizatorzy

Warszawa

stołeczna estrada

KONFEDERNIA ROBREGE

media

Trójka POLSKIE RADIO

Przegląd

RRR.COM.PL

Reggaenet.pl

partnerzy

Palladium

zima.sklep.pl

ZIMARECORDS

positiveconcept PROMOTION

prp Promocja Artystyczna Management i PR

POLSKA FUNDACJA MUZYCZNA

bilatyna.pl

eprasa.pl 1a9b1c2625